

LUCY MAUD MONTGOMERY

# OPOWIEŚCI Z AVONLEA

TYTUŁ ORYGINAŁU CHRONICLES OF AVONLEA  
PRZEŁOŻYŁA EWA FISZER

## ZALOTY LUDWIKA

Pewnego sobotniego wieczoru Ania Shirley siedziała z podwiniętymi nogami na parapecie okna saloniku Teodory Dix i patrzyła z rozmarzeniem w gwiazdny świat za wzgórzami zachodzącego słońca. Ania przyjechała na dwa tygodnie wakacji do Chatki Ech, gdzie państwo Irving spędzali lato, i często zaglądała do starego domostwa Dixów, by poplotkować z Teodora. Tego wieczoru nagadały się już do syta i Ania rozkoszowała się budowaniem zamków na lodzie. Oparła o framugę okna kształtną główkę otoczoną koroną rudych warkoczy, a jej szare oczy lśniły jak jeziorko w księżycowej poświacie.

Nagle zobaczyła, że alejką nadchodzi Ludwik Speed. Alejka była długa, znajdował się jeszcze daleko, jednakże Ludwika można było rozpoznać z każdej odległości. Nikt w Środkowym Grafton nie miał tak wysokiej, acz przygarbionej sylwetki i nie chodził tak spokojnym, powolnym krokiem.

Wyrwana z marzeń Ania doszła do wniosku, że taktownie będzie się pożegnać. Ludwik starał się o rękę Teodory. Wiedziało o tym całe Grafton, jeżeli zaś ktoś żył w nieświadomości, to na pewno nie dlatego, że nie miał czasu się dowiedzieć, Ludwik bowiem już od piętnastu lat przychodził do Teodory, zawsze tym samym niespiesznym krokiem.

Kiedy Ania, wiotka, dziewczęca i romantyczna Ania, zerwała się, by wyjść, praktyczna, pulchna i kobieca Teodora powiedziała z błyskiem w oczach:

— Nie śpiesz się, dziecko. Siedz spokojnie. Zobaczyłaś, że nadchodzi Ludwik, i wyobrazasz sobie, że będziesz nam przeszkadzać. Nie będziesz. Ludwik lubi obecność kogoś trzeciego, a co dopiero ja. Obecność trzeciej osoby ożywia rozmowę. Kiedy jakiś mężczyzna odwiedza cię od piętnastu lat dwa razy na tydzień, czasem nie bardzo się wie, co by tu jeszcze można powiedzieć.

Teodora zawsze mówiła o Ludwiku bez fałszywego wstydu. Nie unikała rozmów o jego przewlekłych zalotach, wspomniała o nich z pewnym rozbawieniem.

Ania usiadła i razem patrzyły, jak Ludwik nadchodzi, rozglądając się dokoła, wpatrując w bujną koniczynę i wijącą się w dolinie błękitną rzeczkę.

Ania spojrzała na piękną, spokojną twarz Teodory i usiłowała sobie wyobrazić, co by czuła, gdyby to ona, nie Teodora, czekała na podstarzałego amanta, któremu potrzeba aż tyle czasu, by zrobić decydujący krok. Ale nawet Anię zawiodła wyobraźnia.

„Tak czy owak — pomyślała zniecierpliwiona — gdybym go *chciała*, znalazłabym jakiś sposób, by go zmobilizować. Ludwik Speed!\* Trudno o bardziej nieodpowiednie nazwisko! Takie nazwisko dla takiego człowieka zakrawa wręcz na kpinę.”

Wreszcie Ludwik pojawił się przed domem, ale tak długo stał na schodkach ganku wpatrując się w zieloną gęstwinę wiśniowego sadu, że Teodora otworzyła mu drzwi, nim jeszcze zapukał. Kiedy wprowadzała go do saloniku, zrobiła do Ani porozumiewawczą minę.

Ludwik uśmiechnął się serdecznie. Lubił Anię, była jedyną młodą dziewczyną, jaką znał, na ogół bowiem unikał towarzystwa młodych panien — czuł się przy nich niezręcznie. Ale nie przy Ani. Ania z każdym umiała nawiązać kontakt i choć Ludwik i Teodora znali ją od niedawna, uważali za starą przyjaciółkę.

Ludwik był wysoki i niezgrabny, ale dzięki niewzruszonemu spokojowi nie pozbawiony godności. Miał jedwabiste opadające wąsy i małą spiczastą bródkę, która uchodziła w Grafton za szczyt ekscentryczności, tutejsi mężczyźni bowiem albo się golili, albo zapuszczali prawdziwe brody. W błękitnych rozmarzonych oczach czał się wyraz melancholii.

Ludwik usiadł w wielkim wybrzuszonym fotelu, w którym dawniej siadywał ojciec Teodory. Ludwik zawsze tu siadał i Ania oznajmiła kiedyś, że fotel ten już się do niego

---

\* Speed (ang.) — chyżość.

upodobnił.

Rozmowa się szybko ożywiła. Kiedy ktoś potrafił go rozruszać, Ludwik stawał się dobrym rozmówcą. Był czytany, często zadziwiał Anię trafnymi komentarzami na temat spraw i ludzi świata, którego tylko słabe echa docierały do Grafton. Lubił także dyskutować z Teodora o religii, gdyż Teodorę mało obchodziła polityka i historia, żywo za to interesowały doktryny teologiczne. Kiedy zatem rozmowa zamieniła się w przyjacielską sprzeczkę Teodory z Ludwikiem na temat *Christian Science*<sup>\*</sup>, Ania doszła do wniosku, że nie jest już potrzebna.

— Nadeszła pora gwiazd i pora na dobranoc — oznajmiła i cicho wyszła.

Ale kiedy oddaliła się od domu, zatrzymała się na łące wygwieżdżonej biało—złotymi stokrotkami, żeby się porządnie wyśmiać. Wiał przesycony zapachami wietrzyk. Ania oparła się o białą brzozę i wybuchnęła śmiechem, który często nawiedzał ją, gdy myślała o Teodorze i Ludwiku. Młodość jest niecierpliwa, zatem te przewlekłe zaloty wydawały jej się czymś niebywale komicznym. Lubiła Ludwika, ale zachowywał się naprawdę drażniąco.

— Kochany bałwan! — powiedziała głośno. — Nie ma drugiego tak sympatycznego idioty. Zachowuje się jak krokodyl w tym starym wierszyku. Nie chce leżeć, nie chce iść, tylko podryguje i podryguje.

W dwa dni później Ania znów zajrzała wieczorem do domu Dixów i rozmowa zesłała na Ludwika. Teodora, która była najpracowitszą osobą na świecie, a w dodatku przepadała za robótkami ręcznymi, dziergała niezwykle skomplikowaną koronkę. Ania pół leżała na bujanym fotelu, złożywszy ręce na kolanach, i bacznie przyglądała się Teodorze. Uświadomiła sobie, że Teodora jest na swój sposób piękna, wygląda jak Junona, jędrne białe ciało, wyraziste regularne rysy, wielkie brunatne, trochę krowie oczy. Kiedy Teodora przestawała się uśmiechać, bił od niej majestat. Ani przyszło na myśl, że Ludwik jej się po prostu boi.

— Czy cały sobotni wieczór spędziliście z Ludwikiem na rozmowie o *Christian Science*?

Teodora uśmiechnęła się.

— Tak, a w dodatku pokłóciliśmy się. W każdym razie *ja* zaczęłam się klócić. Ludwikowi to się nie zdarza. Kiedy go atakujesz, czujesz, jakbyś walczyła z powietrzem. Nie lubię przeciwnika, który nie oddaje ciosów.

— Teodoro — zaczęła przymilnie Ania. — Zamierzam zadać ci bezczelne pytanie. Możesz mi dać po nosie. Dlaczego się nie pobierzecie?

Teodora tylko się roześmiała.

— Pewnie całe Grafton od dawna się nad tym zastanawia. Cóż, nie miałabym nic przeciwko temu, żeby wyjść za Ludwika. Jestem szczerą, prawda? Ale jak tu wyjść za kogoś, kto cię o to nie prosi? A Ludwik tego nie zrobił.

— Może nie śmie? — nalegała Ania, chcąc wykorzystać nastrój Teodory i dotrzeć do sedna sprawy.

Teodora opuściła robótkę i spojrzała niewidzącymi oczami na otaczającą ją zieleń letniego świata.

— Nie, nie sędzę. Ludwik nie jest nieśmiały. Zachowuje się po prostu jak typowy Speed. Speedowie są rozpaczliwie marudni. Trzeba im wielu lat, by powziąć jakąś decyzję. Czasem zastanawiają się tak długo, że nigdy nie dochodzi do czynu. Alder Speed stale powtarzał, że musi się wybrać do Anglii w odwiedziny do brata, i nigdy nie pojechał, choć nic nie stało na przeszkodzie. To nie lenistwo, po prostu trzeba im czasu, żeby się na coś zdecydować.

— Zatem Ludwik jest ciężkim przypadkiem choroby speedyzmu? — zasugerowała Ania.

— No właśnie! Nigdy mu nie spieszo. Od sześciu lat zamierza odmalować dom. Co jakiś czas omawia to ze mną, wybiera kolor farby i na tym sprawa się kończy. Kocha mnie i

---

<sup>\*</sup> *Christian Science* — nauka religijna oparta na słowach i dziełach Chrystusa, zapoczątkowana w 1875 roku w USA przez Mary Baker Eddy.

zamierza poprosić mnie o rękę. Tylko czy to kiedyś nastąpi?

— Dlaczego go do tego nie nakłonisz? — spytała niecierpliwie Ania.

Teodora znów się roześmiała i wzięła robótkę.

— Jeśli nawet Ludwika dałoby się ponaglić, ja się do tego nie nadaję. Jestem zbyt nieśmiała. Wiem, że w ustach kobiety w moim wieku i mojej tuszy, brzmi to śmiesznie, ale taka jest prawda. Tak, wiem, że to jedyny sposób, by skłonić kogoś ze Speedów do małżeństwa. Jedna z moich kuzynek wyszła za brata Ludwika. Nie

twierdzą, że mu się oświadczyła, ale zapewniam cię, Aniu, że tak to mniej więcej wyglądało. Raz próbowałam. Uprzytomniłam sobie, że wszystkie moje rówieśnice wyszły już za mąż, a ja więdnę i gorzknieję, i zamierzałam powiedzieć coś, co mogłoby skłonić Ludwika do oświadczeń. Ale słowa ugrzęzły mi w gardle. Teraz już przestałam się tym przejmować. Jeśli zmiana nazwiska Dix na Speed ma zależeć od mojej inicjatywy, to pozostanę Dixówną do końca życia. Ludwik nie widzi, że się starzejemy. Uważa nas ciągle za parę młodzików, która ma przed sobą mnóstwo czasu. To wada wszystkich Speedów. Dopiero gdy umrą, dowiadują się, że żyli.

— Kochasz Ludwika, prawda? — spytała Ania, wyczuwszy w paradoksalnych stwierdzeniach Teodory nutkę goryczy.

— Tak — odpowiedziała szczerze Teodora. Nie uważała za stosowne rumienić się z powodu tak oczywistej prawdy. — Jest dla mnie wszystkim. I w dodatku widzę, że pilnie potrzebuje kogoś, kto by się nim zajął. Chodzi zaniedbany, niemal obszarpany. Sama widziałas. Jego stara ciotka jakoś tam radzi sobie z domem, ale nie z nim. A on zbliża się do wieku, kiedy o mężczyznę należy dbać, należy na niego chuchać. Ja czuję się samotna tutaj, Ludwik tam, i wszystko to wydaje się dosyć śmieszne. Nie dziwię się, że stanowimy przedmiot kpin całego Grafton. Sama się z tego śmieję. Przyszło mi kiedyś do głowy, że mogłaby go pobudzić do działania zazdrość. Ale nigdy nie umiałam flirtować, a zresztą nie mam z kim. Wszyscy uważają mnie za własność Ludwika i nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby mu się narazić.

— Teodoro! — zawołała Ania. — Mam pomysł!

— Mów!

Ania wyjaśniła swój plan. Z początku Teodora protestowała ze śmiechem. Wreszcie zarażona entuzjazmem Ani ustąpiła, choć nie bez zastrzeżeń.

— Dobrze, spróbuję — powiedziała z rezygnacją. — Ale ładnie będę wyglądała, jeśli Ludwik obrazi się i przestanie do mnie przychodzić. Cóż, nie ma zwyczajstwa bez ryzyka. Jakaś szansa jest i muszę przyznać, że mam już dosyć tego guzdralstwa.

Ania wróciła do Chatki Ech bardzo przejęta swoim planem. Zaraz odszukała Arnolda Shermana i poinformowała go, czego się od niego oczekuje. Arnold Sherman wysłuchał i roześmiał się. Był on starszym owdowiałym panem, bliskim przyjacielem Stefana Irvinga i przyjechał na Wyspę Księcia Edwarda, by spędzić z państwem Irving część wakacji. Był przystojny, nie utracił jeszcze młodzieńczej chęci do płatania figli, zatem dość chętnie zgodził się na plan Ani. Bawiła go myśl, że ma posłużyć za przynętę dla Ludwika Speeda, i wiedział, że Teodora Dix odegra godnie swoją rolę. Cokolwiek z tego wyniknie, nie będzie to nudne przedsięwzięcie.

Pierwszy akt rozegrał się w czwartek wieczorem po nabożeństwie. Kiedy wychodzono z kościoła, świecił jasny księżyc, wszyscy więc mogli rozkoszować się tym widokiem. Arnold Sherman stał na stopniach przed bramą kościoła, a Ludwik Speed jak zwykle od lat opierał się o róg cmentarnego ogrodzenia. Chłopcy twierdzili, że stał w tym miejscu farbę ze sztachet. Ludwik nie widział powodu, dla którego miałby podejść do wrót kościelnych. Teodora wyjdzie, a on zbliży się do niej, gdy będzie mijała ogrodzenie.

A tymczasem oto, co się zdarzyło. Teodora zeszła po schodach, latarnia oświetliła jej majestatyczną sylwetkę. Arnold Sherman spytał, czy może ją odprowadzić do domu, a

Teodora spokojnie przyjęła ofiarowane jej ramię i oboje minęli osłupiałego Ludwika, który stał bezradnie, wyglądając tak, jakby nie wierzył własnym oczom.

Po chwili jednak ruszył za niestałą damą swego serca i jej nowym wielbicielem. Za nim pobięło paru chłopców i nieodpowiedzialnych młodzieńców oczekujących dramatycznej sceny, jednakże spotkał ich zawód. Ludwik dogonił Teodorę i Arnolda Shermana i potulnie szedł tuż za nimi.

Nie można powiedzieć, by Teodorze ta przechadzka sprawiała przyjemność, choć Arnold Sherman robił, co mógł, by ją rozerwać. Serce wyrywało jej się do Ludwika, cały czas słyszała, jak człapie za nią, i czuła, że zachowuje się okrutnie, ale już nie mogła się wycofać. Pocieszała się myślą, że robi to dla dobra Ludwika, i rozmawiała z Arnoldem Shermanem tak, jakby był jedynym mężczyzną na świecie. Biedny opuszczony Ludwik szedł pokornie z tyłu i słyszał każde słowo; gdyby Teodora wiedziała, jak gorzki jest ten kielich, który kazała mu wychylić, nigdy nie znalazłaby dość sił, by nawet w najszczytniejszym celu postąpić, jak postąpiła.

Kiedy Teodora z Arnoldem weszli do bramy jej ogrodu, Ludwik musiał się zatrzymać. Teodora obejrzała się i zobaczyła, że stoi wciąż na drodze. Wyglądał tak żałośnie, że widok ten dręczył ją całą noc.

Gdyby następnego dnia nie przybiegła Ania, by ją podtrzymać na duchu, pewnie by przedwcześnie zmiękła i wszystko popsuła.

Tymczasem Ludwik, nie zwracając uwagi na kpiny i komentarze rozbawionej hordy chłopców, stał bez ruchu aż do chwili, kiedy Teodora i jego rywal znikli za jodłami. Potem odwrócił się i poszedł do domu, a jego zamaszty krok, tak inny od zwykłej powolności, wskazywał, w jakiej był rozterce.

Czuł oszołomienie. Nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby nastąpił koniec świata lub gdyby leniwa rzeczka Grafton wystąpiła z brzegów i zalała wzgórza. Od piętnastu lat po każdym nabożeństwie odprowadzał Teodorę do domu, a dziś porwał mu ją sprzed nosa nieznajomy starszy pan, od którego biła aura „Stanów”. I co gorsze, Teodora poszła z nim chętnie i dobrze się w jego towarzystwie bawiła. Ludwika ogarnęło święte oburzenie.

Kiedy doszedł do końca swojej alejki, zatrzymał się przed własną bramą i spojrzał na dom, widoczny za półkolem brzoź. Nawet nocą widać było, jaki jest zaniedbany. Ludwik przypomniał sobie plotki głoszące, że Arnold Sherman mieszka w Bostonie w „pałacowej rezydencji”, i nerwowo pogładził się po bródce. Potem zacisnął pięść i walnął w słupek od bramy.

— Niech Teodora nie wyobraża sobie, że po piętnastu latach może mnie rzucić — powiedział głośno. — Ja także mam tu coś do powiedzenia, choćby mi weszło w drogę stu Arnoldów Shermanów.

Następnego ranka Ludwik pojechał do Carmody i zlecił Józefowi Pay odmalowanie domu, a wieczorem wybrał się do Teodory, choć nie była to sobota, dzień jego zwykłych odwiedzin.

Ale Arnold Sherman pojawił się wcześniej i siedział już w jego fotelu. Ludwik musiał zadowolić się nowo nabytym przez Teodorę bujanym fotelem, w którym czuł się bardzo nieswojo i tak też wyglądał.

Jeśli Teodora czuła, że sytuacja jest niezręczna, to tego nie okazała. Nigdy nie wyglądała piękniej i Ludwik zauważył, że ma na sobie jedwabną suknię, jedną z najlepszych w jej garderobie. Zastanawiał się smętnie, czy włożyła ją oczekując wizyty rywala. Dla niego nigdy nie wkładała jedwabnych sukien. Ludwik był najłagodniejszym i najpotulniejszym ze śmiertelników, ale teraz siedząc w milczeniu i przysłuchując się gładkim słowom Arnolda Shermana czuł, jak wzbiera w nim żądza mordy.

— Szkoda, że nie widziałas, jak siedział patrząc spode łba — następnego dnia opowiadała Teodora zachwyconej Ani. — Może to paskudnie z mojej strony, ale cieszyłam się jak dziecko. Bałam się, że będzie wściekły i zacznie mnie unikać. Ale nie mam się czym martwić,

póki będzie się wściekać u mnie w domu. Biedak naprawdę cierpi i mam wyrzuty sumienia. Wczoraj usiłował zostać dłużej niż pan Sherman, ale mu się nie udało. Nigdy nie widziałas kogoś tak zgnębionego jak on, gdy oddalał się szybkim krokiem. Tak, *on* i szybkim.

W następną niedzielę wieczorem Arnold Sherman poszedł do kościoła z Teodora i usiadł w jej ławce. Kiedy weszli, Ludwik zerwał się ze swego miejsca pod chórem. Zaraz zresztą usiadł, ale wszyscy mieszkańcy Grafton to zauważyli i z wielką przyjemnością omawiali to wydarzenie do późnej nocy.

— Tak, pastor czytał właśnie biblię, a on zerwał się, jakby ktoś go pociągnął za sznurek — opowiadała jego kuzynka Lovella Speed, która była w kościele, swojej siostrze, która w kościele nie była. — Zbladł jak prześcieradło, a oczy wyłaziły mu z orbit. Słowo daję, nigdy nie byłam tak przejęta! Myślałam, że się na nich rzuci. Ale tylko sapnął ciężko i usiadł. Nie wiem, czy Teodora Dix go widziała. W każdym razie zachowała całkowity spokój, jakby jej to w ogóle nie dotyczyło.

Teodora nie widziała Ludwika, ale jej spokój był pozorny, w głębi serca czuła się potwornie. Nie mogła zabronić Arnoldowi Shermanowi, by poszedł z nią do kościoła, ale bała się, że posunęła się za daleko. W Grafton szło się z kimś do kościoła dopiero wówczas, gdy było się o krok od zaręczyn. A jeśli to zamiast obudzić Ludwika, popchnie go do rozpacz? Przez całe nabożeństwo trapiła się i nie słyszała ani słowa kazania.

Ale Ludwik zdobył się na następny spektakularny występ. Speedów trudno jest może poruszyć, ale kiedy się to uda, nic nie jest w stanie ich powstrzymać. Gdy Teodora i pan Sherman wyszli z kościoła, Ludwik czekał na stopniach. Stał poważny, wyprostowany, odrzuciwszy w tył głowę, spojrzał z wyzwaniem na rywala i gestem władcy dotknął ramienia Teodory.

— Czy mogę odprowadzić panią do domu, panno Dix? — powiedział, a jego ton mówił: „odprowadzę panią tak czy owak”.

Teodora, obdarzywszy Arnolda Shermana przeproszającym spojrzeniem, przyjęła ofiarowane jej ramię, a Ludwik poprowadził ją alejką, wśród nagle zapadłej ciszy, której nie śmiały zakłócić nawet konie przywiązane do ogrodzenia.

Następnego dnia Ania przysłała aż z Avonlea, by dowiedzieć się, co zaszło. Teodora uśmiechnęła się z zażenowaniem.

— Tak, Aniu, wielka decyzja zapadła. Ludwik odprowadzając mnie wczoraj do domu, oświadczył się zniecka, nie zważając, że to niedziela. Mamy się pobrać jak najszybciej. Ludwik nie życzy sobie zwłoki.

— Zatem udało się pobudzić do działania powolnego Ludwika Speeda — zauważył pan Sherman, kiedy podniecona nowinami Ania wpadła do Chatki Ech. — Pani się oczywiście cieszy, a ofiarą padła moja biedna duma. Pozostanę w pamięci Grafton jako ten facet, któremu nie udało się zdobyć Teodory Dix.

— Ale pan będzie wiedział, że nie ma w tym słowa prawdy — pocieszała go Ania.

Arnold Sherman pomyślał o dojrzałej urodzie Teodory, o jej kojącej obecności i westchnął:

— Nie jestem tego taki pewny.

## STARA DAMA

### ROZDZIAŁ MAJOWY

Plotka spencervalska głosiła, że „Stara Dama Lloyd” jest bogata i skąpa, i dumna. Plotka, jak to zwykle plotki, zawierała w sobie tylko cząstkę prawdy. Stara Dama nie była ani bogata, ani skąpa, wręcz przeciwnie, była tak żałośnie uboga, że „Krzywy Jaś” Spencer, który skopywał jej ogródek i rąbał drzewo, był wobec niej bogaczem, on przynajmniej jadał trzy razy dziennie, a Stara Dama musiała często ograniczać się do jednego posiłku. Ale była dumna, tak dumna, że wolałaby umrzeć, niż zdradzić się ze swym ubóstwem wobec mieszkańców Spencervale, wśród których królowała za młodych lat. Wolała, by uważano ją za skąpą dziwaczkę, starą pustelnicę, która nigdzie nie bywa, nawet w kościele, a której składka na pensję pastora jest najmniejsza w całej parafii.

— A przecież tarza się w złocie — mówiono z oburzeniem. — Tego skąpstwa nie odziedziczyła po rodzicach. Oni byli i hojni, i towarzyscy. Stary doktor Lloyd był prawdziwie wielkim panem. Pomagał ludziom, wmawiając im, że to oni wyrządzają mu łaskę. Cóż, jeśli Starej Damie tak się podoba, to niech sobie siedzi w domu na tych swoich pieniądzach. Nie chce się z nami zadawać, to nie. Ale mimo tych bogactw i tej pychy wcale nie wygląda na szczęśliwą.

I tak niestety było, Stara Dama nie zaznała szczęścia. Jak tu być szczęśliwą, kiedy zżera cię pustka i samotność, a przed głodową śmiercią chroni tylko parę groszy ze sprzedaży jajek.

Stara Dama mieszkała jak to nazywano: „tam, za wsią”, w starej siedzibie Lloydów. Był to malowniczy niski dom z wysokimi kominami i kwadratowymi okienkami, otoczony gąszczem świerków. Stara Dama mieszkała sama i całymi tygodniami nie widywała nikogo prócz Krzywego Jasia. Mieszkańcy Spencervale zastanawiali się często, jak Stara Dama spędza czas. Dzieci sądziły, że zabawia się liczeniem złota, które trzyma pod łóżkiem w czarnej skrzynce. Dzieci ze Spencervale panicznie bały się Starej Damy, część z nich, te z „Drogi Spencera” uważały ją za czarownicę, a wszystkie uciekały, kiedy szukając w lesie jagód lub żywicy świerkowej widziały z oddali, jak wyprostowana, chuda Stara Dama zbiera chrust. Jedynie Marysia Moore uporczywie twierdziła, że Stara Dama nie może być czarownicą.

— Czarownice są brzydkie — mówiła — a Stara Dama jest ładna. Ma taką bielutką twarz i wielkie czarne oczy, i białe puszyste włosy. Te dzieciaki z „Drogi” same nie wiedzą, co mówią. Mama twierdzi, że to banda nieuków.

— No dobrze, ale ona nie chodzi do kościoła i jak zbiera chrust, to sama do siebie gada — upierał się Kubaś Kimball.

Stara Dama rzeczywiście rozmawiała z samą sobą, była bowiem osobą towarzyską i ceniącą konwersację. Oczywiście, kiedy przez dwadzieścia lat rozmawia się tylko z samą sobą, zaczyna to być monotonne. Stara Dama wyrzekłaby się wszystkiego, z wyjątkiem dumy, by zdobyć czyjeś towarzystwo. Z goryczą wypominała losowi, że ją aż tak pokrzywdził. Została pozbawiona daru miłości, a nie może być większej tragedii.

Najtrudniej bywało wiosną. Kiedyś, dawno temu, Stara Dama, która wówczas nie była jeszcze Starą Damą, lecz śliczną, samowolną, ochoczą Małgorzatką Lloyd, uwielbiała wiosnę; teraz nienawidziła jej, gdyż to na wiosnę otwierały się stare rany. Obecna wiosna była szczególnie ciężka do zniesienia, Stara Dama myślała czasem, że dłużej już nie zniesie bólu. A ból sprawiało wszystko — zieloniutkie koniuszki gałązek świerków, delikatna mgła w dolinie za domem, świeży zapach czerwonej ziemi, kiedy Krzywy Jaś przekopywał ogródek. Stara Dama przeplakała całą księżycową noc. Cierpienia duszy kazały jej zapomnieć

o głodzie, a cały tydzień głodowała. Jadła tylko suchary z wodą, inaczej nie mogłaby zapłacić Krzywemu Jasiowi za roboty w ogródku. Kiedy nad świerkami pojawiła się biała jutrzienka, Stara Dama ukryła twarz w poduszkach, by jej nie widzieć.

— Z góry już nienawidzę tego nowego dnia — szeptała buntowniczo. — Będzie tak samo ciężki i nudny jak poprzednie. Nie chce mi

się wstawać. A pomyśleć, że kiedyś radośnie wyciągałam ręce do każdego nowego dnia jak do przyjaciela, który nadchodzi niosąc dobre wieści. Wtedy uwielbiałam poranki — każdy świt, obojętnie czy pochmurny, czy słoneczny, zachwycał mnie jak nieprzeczytana książka — a teraz nienawidzę świtu, nienawidzę, nienawidzę!

Niemniej Stara Dama Lloyd wstała, wiedziała bowiem, że Krzywy Jaś pojawi się wcześniej, by skończyć pracę w ogródku. Uczesła starannie piękne i gęste białe włosy i włożyła purpurową jedwabną suknię w złote kropki. Stara Dama z oszczędności nosiła zawsze jedwabne suknie. Taniej było nosić jedwabną suknię po matce niż kupić w sklepiku kreton. Stara Dama odziedziczyła po matce wiele jedwabnych sukni. Nosiła je rano, w południe i wieczorem, a mieszkańcy Spencervale uważali to za jeszcze jeden przejaw dumy. Wprawdzie były niemodne, ale to pewnie dlatego, że skąpiła na krawcową. Nie śniło im się nawet, że Stara Dama co dzień rano, wkładając jedwabną suknię rozpacza nad jej fasonem, i chociaż tylko Krzywy Jaś miał oglądać niemodne falbanki i baskinki, trudno to było znieść kobiecej próżności.

Ale mimo że Stara Dama bez przyjemności powitała nowy dzień, jego uroda oczarowała ją, kiedy po obiedzie — a raczej po zjedzeniu w południe suchara — wybrała się na przechadzkę. Dzień był urzekający, pełen słodczy i świeżości, a świerkowy las wokół starej siedziby Lloydów aż wibrował wiosną, migotały w nim światła i cienie. Cząsteczka tego uroku wkradła się do zgorzkniałego serca Starej Damy i kiedy weszła na drewnianą kładkę nad strumieniem pod bukami, znów poczuła pogodę ducha. Rósł tam jeden stary buk, szczególnie bliski Starej Damie z jej tylko znanych powodów, wysoki buk o pniu jak szara marmurowa kolumna, z zieloną koroną liści nad nieruchomą brunatnozieloną taflą maleńkiego stawu, przez który przepływał strumyk. W czasach, które opromieniała miniona świetność Starej Damy, buk ten był jeszcze wątłym drzewkiem.

Stara Dama usłyszała dziecięce głosy i śmiech, dochodziły one z drogi położonej tuż za lasem. Była to boczna droga, ale dzieci Spencera tędy właśnie, na skrót, szły do szkoły.

Stara Dama ukryła się szybko za kępą młodych świerków. Nie lubiła dzieci Spencerów, bo zawsze na jej widok okazywały przerażenie. Spoza ściany świerków widziała, jak wesoło kroczą dróżką — z przodu dwoje starszych, a z tyłu bliźniaki, które trzymały z dwóch stron za ręce wysoką szczupłą dziewczynę — zapewne była to nowa nauczycielka muzyki. Stara Dama słyszała od handlarza jaj, że nowa nauczycielka ma zamieszkać u Williama Spencera, nie znała jednak jej nazwiska.

Przyjrzała jej się z ciekawością — i nagle serce Starej Damy zaczęło bić tak, jak się to już nie zdarzyło od wielu lat, oddychała szybko, drżąc na całym ciele. Kim — *kim* może być ta dziewczyna?

Spod słomkowego kapelusza nowej nauczycielki muzyki spływały sploty kasztanowych włosów, o tym samym odcieniu i tak samo falujące jak włosy, które pamiętała Stara Dama, a spod czarnych brwi spoglądały wielkie fiołkowe oczy znane Starej Damie równie dobrze jak własne. Twarz nowej nauczycielki, piękna twarz o delikatnych rysach i pastelowych rumieńcach, ta tryskająca młodością twarz była twarzą należącą do przeszłości Starej Damy, z jedną jedyną różnicą — tamta twarz przy całym swym uroku była twarzą słabego człowieka, a z tej dziewczęcej buzi bił wyraz siły. Kiedy dziewczyna przechodziła koło kryjówki Starej Damy, roześmiała się z jakiegoś żartu dzieci, a Stara Dama rozpoznała także i ten śmiech. Słyszała go już kiedyś, pod tym właśnie bukiem.

Gdy dziewczyna z dziećmi znikła za zalesionym wzgórzem z drugiej strony kładki, Stara



Dama wróciła do domu, idąc jak we śnie. Krzywy Jaś energicznie kopał w ogródku. Zwykle Stara Dama unikała rozmów z Krzywym Jasiem, czuła bowiem odrazę do powtarzanych przez niego plotek, tym razem jednak weszła do ogródka, wyglądając bardzo majestatycznie w swojej purpurowej, przetykanej złotem sukni, z blaskiem słońca w siwych włosach.

Krzywy Jaś widział, jak wychodziła, i pomyślał, że Stara Dama bardzo się posunęła, była tak mizerna i blada. Teraz doszedł do wniosku, że się pomylił. Miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy. Podczas spaceru ubył jej przynajmniej dziesięć lat. Krzywy Jaś oparł się o szpadel i stwierdził, że rzadko zdarza się taka piękna kobieta jak Stara Dama. Szkoda tylko, że skąpa...

— Panie Spencer — spytała uprzejmie Stara Dama, która zawsze zwracała się do osób niższej rangi z wyszukaną uprzejmością — czy będzie pan tak łaskaw powiedzieć mi, jak się nazywa nowa nauczycielka muzyki, która zamieszkała u pana Williama Spencera?

— Sylwia Gray — odparł Krzywy Jaś.

Starej Damie znów mocniej zabiło serce. Choć już i tak wiedziała, że dziewczyna z włosami, oczyma i śmiechem Lesliego Graya musi być jego córką.

Krzywy Jaś splunął na dłonie i wrócił do roboty, ale szybciej machał językiem niż szpadlem, a Stara Dama chciwie wsłuchiwała się w jego słowa. Po raz pierwszy błogosławiła gadulstwo Krzywego Jasia i jego plotkarstwo sprawiało jej przyjemność. Każde jego słowo było dla niej złotym jabłkiem.

Owego dnia, kiedy przyjechała nowa nauczycielka, Krzywy Jaś pracował u Williama Spencera, a jeżeli w ciągu całego dnia Krzywy Jaś nie zdobył o kimś wszelkich informacji, nie było to — przynajmniej jeśli chodzi o fakty — warte wzmianki. Lubił się jak najwięcej dowiedzieć i niemal tak samo lubił opowiadać, czego się dowiedział, nie wiadomo zatem, komu następne pół godziny dostarczyło więcej przyjemności — Starej Damie czy Krzywemu Jasiowi.

W dużym skrócie opowieść Krzywego Jasia mówiła, co następuje: rodzice panny Gray zmarł, kiedy była małym dzieckiem, wychowała ją ciotka i panna Gray była bardzo uboga, ale miała wielkie ambicje. — Chce się edukować w muzyce — skończył Krzywy Jaś — i, dalibóg, wie, co mówi. Nigdy nie słyszałem takiego głosu. Śpiewała nam po kolacji jak jaki anioł. Aż mi się bebechy wywracały. Ma już dwudziestu uczniów, tu i w Grafton, i w Avonlea.

Kiedy Stara Dama usłyszała już wszystko, co wiedział Krzywy Jaś, weszła do domu i usiadła przy oknie, w saloniku, chcąc sobie to przemyśleć. Od stóp do głów drżała z podniecenia.

Córka Lesliego! Stara Dama przeżyła kiedyś romans. Dawno temu — przed czterdziestu laty — była zaręczona z Lesliem Grayem, studentem, który przez jeden letni semestr uczył w szkole w Spencervale. Było to złote lato życia Małgorzatki Lloyd. Leslie był nieśmiałym, rozmarzonym przystojnym młodzieńcem żywiącym literackie ambicje; i on, i Małgorzatka święcie wierzyli, że uwieńczone zostaną sławą i fortuną.

Potem, pod koniec złotego lata, zdarzyła się niemądra sprzeczka. Leslie odjechał zagniewany. Napisał, ale Małgorzatce Lloyd nie przeszła jeszcze uraza i powodowana dumą, wysłała cierpką odpowiedź. Więcej listów nie nadeszło. Leslie Gray nigdy nie powrócił i któregoś dnia Małgorzatka uświadomiła sobie, że na zawsze już wyгнаła ze swego życia miłość. Wiedziała, że już jej nie zazna, i od tego momentu zaczęła zmierzać przez dolinę cieni ku samotnej, ekscentrycznej starości.

W wiele lat później dowiedziała się o małżeństwie Lesliego, potem o jego śmierci i o tym, że życie nie spełniło jego marzeń. I to było wszystko, aż do dziś, kiedy w kotłince pod bukami zobaczyła jego córkę.

— Jego córka! A mogła być moją córką — szepnęła Stara Dama. — Ach, gdybym mogła poznać ją, kochać — a nawet, kto wie, zdobyć także jej uczucia. Ale to niemożliwe. Córka

Lesliego Graya nie może się dowiedzieć o moim ubóstwie, o tym jak nisko upadłam. Tego bym nie zniosła. I pomyśleć, że mieszka tak blisko. Będę co dzień widziała ją, jak przechodzi — choć tyle! Ach, gdybym mogła coś dla niej zrobić, sprawić jej jakąś przyjemność! To by było cudowne.

Kiedy wieczorem Stara Dama przypadkiem weszła do nie używanego pokoju na pięterku, zobaczyła, że między drzewami na wzgórzu błyszczy światełko. Wiedziała, że błyszczy ono w oknie gościnnego pokoju Spencerów. Zatem było to światełko Sylwii. Stara Dama stała w ciemnościach i wpatrywała się w to światełko, póki nie zgasło, a w sercu poczuła niezwykłą słodycz — tak słodko pachną tylko — kiedy ich dotknąć — zasuszone płatki róży. Wprost widziała, jak Sylwia kręci się po pokoju, szczotkuje i zaplata włosy, układa drobiazgi, przygotowuje się do snu. Kiedy światełko zgasło, Stara Dama wyobraziła sobie, że w łagodnym świetle gwiazd klęczy przy oknie wiotka biała postać, i Stara Dama też uklękła i odmówiła pacierz. Modliła się tymi samymi słowy, co zawsze, ale przenikał je inny duch i skończyła prośbą:

— Ojczy nasz, ześlij mi natchnienie, podszeptaj, co mogłabym dla niej zrobić; tak chciałabym sprawić jej choć najdrobniejszą przyjemność.

Stara Dama całe życie spała w tej samej sypialni wychodzącej na północ, na świerki, i bardzo była do niej przywiązana, niemniej zaraz następnego dnia bez żalu przeprowadziła się do pokoju na pięterku. Była szczęśliwa, od wielu lat nie czuła się tak szczęśliwa. Jej życie nabrało celu, to dziwne nowe zainteresowanie, nie mające nic wspólnego z trudnym dniem powszednim, przynosiło jej pociechę i ulgę. A w dodatku udało jej się wymyślić, czym może sprawić przyjemność Sylwii.

Mieszkańcy Spencervale z żalem utrzymywali, że w Spencervale nie ma pierwiosnków, i dzieciarnia ze Spencervale biegała po pierwiosnki aż do położonego o sześć mil Avonlea. Stara Dama wiedziała lepiej. W swoich samotnych wędrówkach natrafiła na małą polankę na nasłonecznionym stoku lasu, rozgwieżdżoną wiosną pierwiosnkami. I na tę polankę Stara Dama wyruszyła któregoś popołudnia, idąc leśnymi ścieżkami pod arkadami świerków radosnym krokiem osoby świadomej swego celu. Znów wiosna wydała jej się piękna i drogocenna, gdyż miłość powróciła do jej wygłodzonego serca.

Stara Dama znalazła na piaszczystym zboczu mnóstwo pierwiosnków. Napęłniła nimi koszyczek, zachwycając się ich wdzięczną urodą, która miała sprawić przyjemność Sylwii. Wróciwszy do domu napisała na kartce: „Dla Sylwii”. Choć mało było prawdopodobne, by ktoś w Spencervale znał jej charakter pisma, napisała te słowa dużymi okrągłymi literami dziecka. Zaniósła pierwiosnki do dolinki, włożyła koszyczek w zapadlinę wśród korzeni starego buka i zatknęła na patyczku kartkę.

Potem schowała się za kępę świerków. Włożyła na tę okazję ciemnozieloną suknię, by łatwiej się ukryć między drzewami. Nie musiała długo czekać. Wkrótce Sylwia Gray pojawiła się na wzgórzu w towarzystwie Mattie Spencer. Kiedy doszły do kładki, Sylwia zobaczyła pierwiosnki i wydała okrzyk zachwyty. Potem przeczytała swoje imię i na twarzy jej ukazało się zdumienie. Stara Dama patrząc przez gałęzie, miała ochotę śmiać się z radości, jej plan odniósł sukces.

— To dla mnie! — zawołała Sylwia biorąc kwiaty. — Czy to możliwe? Mattie, kto mógł je tu dla mnie zostawić?

Mattie zachichotał.

— Pewnie Krzyś Stewart. Wczoraj wieczorem był w Avonlea. Mama mówiła, że się do pani pali — widziała, jak na panią patrzył przedwczoraj, kiedy pani śpiewała. To do niego podobne zrobić coś tak dziwnego — bardzo jest do dziewczyn nieśmiały.

Sylwia lekko zmarszczyła brwi. Nie podobały jej się sformułowania Mattie, ale kochała pierwiosnki i nie czuła niechęci do Krzysia Stewarta, który sprawiał na niej wrażenie skromnego, miłego chłopca. Podniosła bukiet i ukryła w nim twarz.

— Ktokolwiek jest ofiarodawcą, jestem mu bardzo wdzięczna — oświadczyła wesoło. — To moje ulubione kwiaty. Są cudne!

Kiedy odeszły, Stara Dama wyszła z ukrycia, zarumieniona z zadowolenia. Nie martwiła się, że Sylwia może uważać za ofiarodawcę Krzysia Stewarta, tym lepiej, nie będzie się zastanawiała, kto położył tu pierwiosnki. Najważniejsze, że jej się podobają. Rozpromieniona Stara Dama wróciła do samotnego domu czując ciepło w sercu.

Wkrótce po Spencervale rozeszła się plotka, że Krzyś Stewart co drugi dzień zostawia w bukowinie pęk pierwiosnków dla nauczycielki muzyki. Krzyś przeczył temu, ale nikt mu nie wierzył. Po pierwsze, w Spencervale nie rosły pierwiosnki, a po drugie, Krzyś co drugi dzień odwoził mleko do mleczarni w Carmody, a w Carmody pierwiosnki rosły, po trzecie wreszcie, Stewartowie znani byli z romantycznych skłonności. Czyż nie były to wystarczające dowody?

Tymczasem Sylwii nie przeszkadzał zachwyty Krzysia, skoro objawiał się w tak subtelny sposób. Uważała, że to bardzo miłe, gdyż poza tym jej się nie narzucał, spokojnie więc mogła rozkoszować się pierwiosnkami.

Stara Dama usłyszała tę plotkę od handlarza jaj i aż jej się zaśmiały oczy. Handlarz jaj opowiadał potem, że nigdy nie widział Starej Damy w tak świetnej formie jak tej wiosny, zaczęła się nawet interesować poczynaniami młodzieży.

Stara Dama pilnie strzegła swej tajemnicy, dzięki której poczuła się odmłodzona. Póki kwitły pierwiosnki, co dzień chodziła po nie na polankę i co dzień ukrywała się w kępie świerków, żeby zobaczyć Sylwię. Z dnia na dzień bardziej ją kochała i bardziej chciała poznać. Naturalne, tak długo tłumione pragnienie miłości znalazło ujście w uczuciu do nieświadomej tego dziewczyny. Stara Dama dumna była z wdzięku i urody Sylwii, z jej słodkiego głosu i śmiechu. Poczowała sympatię do małych Spencerów, gdyż wyraźnie uwielbiali Sylwię, i zazdrościła pani Spencerowej, że może się koło Sylwii krzątać. Handlarz jaj stał się cennym gościem, gdyż znosił nowiny — opowiadał o towarzyskich i zawodowych sukcesach Sylwii, o tym jak jest lubiana i podziwiana.

Starej Damie nawet się nie śniło ujawniać wobec Sylwii. Uniemożliwiała jej to świadomość własnego ubóstwa. Cudownie byłoby gościć Sylwię w starym domostwie, rozmawiać z nią, brać udział w jej życiu. Ale nie wchodziło to w rachubę. Duma Starej Damy silniejsza była od miłości. Duma ta była jedyną rzeczą, której nie potrafiła poświęcić.

## ROZDZIAŁ CZERWCOWY

W czerwcu nie było już pierwszokwiśców, ale ogród Starej Damy pełen był kwieciami i co rano Sylwia znajdowała pod bukiem świeżą wiązaną — pachnącą narcyzy, płomienne tulipany, bajeczne gałązki bzu, wczesne różyczki, maleńkie, kolczaste, o niezrównanym zapachu. Stara Dama nie obawiała się, że ją zdradzą, kwiaty te bowiem kwitły w co drugim ogródku w Spencervale, nie wyłączając ogródka Stewarta. Kiedy podkpiwano sobie z uczuć Krzysia Stewarta do nauczycielki muzyki, uśmiechał się tylko i milczał. Krzys wiedział, kto jest ofiarodawcą kwiatów. Kiedy rozpoczęły się plotki, postanowił się dowiedzieć prawdy i dowiedział się. Ale zrozumiał, że Starej Damie zależy na tajemnicy, i nikomu nie szepnął słowa. Krzys lubił Starą Damę od owego dnia, kiedy przed dziesięciu laty spotkała go zapłakanego w lesie, gdzie rozciął sobie nogę, zabrała do domu, opatrzyła ranę i dała dziesięć centów na cukierki. Stara Dama tego wieczoru nie jadła kolacji, ale o tym Krzys nie miał się nigdy dowiedzieć.

Stara Dama uznała, że nigdy jeszcze nie było piękniejszego czerwca. Przestała się obawiać nowych dni, cieszyła się na nie.

— Każdy dzień jest teraz dniem niezwykłym — powtarzała sobie radośnie, gdyż niemal każdego dnia udawało jej się zobaczyć Sylwię. Poza niedzielą, toteż niedziele zaczęły się Starej Damie bardzo dłużyć.

Któręś dnia handlarz jaj przyniósł nowe wiadomości.

— Nauczycielka muzyki zaśpiewa jutro w kościele solo. W czarnych oczach Starej Damy zabłysło zainteresowanie.

— Nie wiedziałam, że panna Gray należy do chóru.

— Wstąpiła dwie niedziele temu. Mówię pani, warto teraz posłuchać naszej muzyki. Kościół będzie jutro przepelniony. Cała okolica wie już, jak ona śpiewa. Powinna pani przyjść, panno Lloyd.

Handlarz powiedział to ze zwykłej brawury, chciał pokazać, że mimo jej całego dostojenstwa nie obawia się Starej Damy. Stara Dama

nic na to nie odparła, pomyślał więc, że się obraziła. Odszedł, żałując swoich słów, nie wiedział, że Stara Dama zapomniała, że na świecie istnieje w ogóle ktoś taki, jak handlarze jaj. Myślała tylko o tym, jak bardzo chciałaby usłyszeć występ solowy Sylwii.

Wzburzona Stara Dama weszła do domu i zaczęła z sobą walczyć. Ale choć wezwwała na pomoc całą swoją dumę, wiedziała, że musi usłyszeć śpiew Sylwii. Duma mówiła: „Żeby ją usłyszeć, musiałabyś pójść do kościoła. Nie masz się w co ubrać. Narazisz się na kpiny”. Ale po raz pierwszy odezwał się w jej sercu głos silniejszy od dumy i po raz pierwszy Stara Dama posłuchała go. To prawda, nie była w kościele od dnia, kiedy musiała zacząć nosić stare jedwabne suknie matki. Wiedziała, że źle postępuje, przestrzegała więc pilnie wszelkich niedzielnych rygorów oraz rano i wieczorem odprawiała własne prywatne nabożeństwo. Ale nie potrafiła przemóc się i pójść do kościoła w starej, niemodnej sukni — ona, która kiedyś dyktowała modę całemu Spencervale; a im dłużej pozostawała w domu, tym bardziej pójście do kościoła wydawało się niemożliwe. Teraz to, co uznawała za niemożliwe, stało się konieczne. Tak, choćby wyglądała śmiesznie, choćby miała się narazić na plotki i kpiny, musi pójść do kościoła i usłyszeć śpiew Sylwii.

Nazajutrz po południu wierni Spencervale przeżyli w kościele prawdziwą sensację. Tuż przed rozpoczęciem nabożeństwa Stara Dama przeszła główną nawą i zasiadła tuż przed ołtarzem w od dawna pustej ławie Lloydów.

Stara Dama przeżywała męki. Przed wyjściem z domu przejrzała się w lustrze — odwieczna jedwabna czarna suknia według mody sprzed kilkudziesięciu lat i dziwaczny czarny czepeczek z marszczonego atlasu. Czowała, jak śmiesznie będzie wyglądać w oczach

świata.

Prawdę mówiąc, wcale tak nie było. Istotnie, wiele kobiet wyglądałoby w tym stroju dość absurdalnie, ale majestat Starej Damy był tak zniewalający, że nie zwracało się uwagi na jej ubiór.

Stara Dama nie wiedziała o tym. Wiedziała natomiast, że pani Kimball, żona sklepikarza, weszła z szumem do następnej ławki w najmodniejszej sukni z najmodniejszego materiału; obie należały do tej samej generacji i w swoim czasie obecna pani Kimball mogła najwyżej naśladować sposób ubierania się Małgorzaty Lloyd. Potem przyjęła oświadczyzny sklepikarza, wszystko się zmieniło i teraz biedna Stara Dama z goryczą myślała o tej zmianie, i niemal zaczęła żałować, że wybrała się do kościoła.

Nagle jednak Dobry Anioł dotknął skrzydłem tych niemądrych myśli zrodzonych z próżności i pychy, i znikły bez śladu. Na chór weszła Sylwia Gray, usiadła, a blask zachodzącego słońca otoczył jej głowę aureolą.

Nigdy dotąd Starej Damie nie udało się dobrze przyjrzeć Sylwii. Spoglądała na nią tylko ukradkiem. Teraz wpatrywała się w nią do woli, zachwycając się jej urodą — błyszczące włosy Sylwii tak ślicznie okalały czoło, tak uroczo opuszczała powieki, gdy napotkała czyjś natarczywy wzrok, a ręce, które trzymały psalterz, były pięknymi rękami Lesliego Graya. Była skromnie ubrana — biała bluzka i czarna spódniczka — ale reszta dziewcząt mimo pięknych piórek mogła się przy niej schować, jak orzekł handlarz jaj wracając z żoną z kościoła. Stara Dama z ogromną przyjemnością przysłuchiwała się hymnom, którymi rozpoczęło się nabożeństwo. Głos Sylwii wybijał się nad inne głosy. Ale kiedy kościelni wyszli z tacami, zebranych przeszył dreszcz podniecenia. Sylwia wstała i podeszła do siedzącej przy organach Janki Moore. Piękny głos wzbął się pod sklepienie świątyni, niczym dusza muzyki — czysty, mocny, pełen słodyczy. Nikt w Spencervale nie słyszał nigdy takiego głosu, poza Starą Damą, która za młodu słyszała wielu słynnych śpiewaków i mogła docenić piękno tego śpiewu. Uświadomiła sobie, że dziewczyna ma wielki talent, który — jeżeli będzie mogła się kształcić — przyniesie jej sławę i fortunę.

Kiedy Sylwia umilkła, sumienie Starej Damy nakazało jej zwrócić wzrok i uwagę na pastora, który przez całą pierwszą część nabożeństwa schlebiał sobie, że Stara Dama właśnie ze względu na niego wybrała się dziś do kościoła. Dopiero od paru miesięcy był w Spencervale, uważał się za dobrego kaznodzieję i sądził, że Starą Damę to właśnie sprowadziło do kościoła.

Po skończonym nabożeństwie wszyscy sąsiedzi Starej Damy podeszli, by z nią porozmawiać, uśmiechali się i ściskali jej rękę. Uważali, że teraz, kiedy zrobiła krok we właściwym kierunku, powinni wyjść jej naprzeciw; Starą Damę ucieszyła ich serdeczność, zwłaszcza że krył się w niej ten sam szacunek pełen względów, do którego przywykła za dawnych lat — szacunek, który wzbudzała we wszystkich samą swoją osobą. Starą Damę dziwiło, że dalej potrafi go nakazać mimo staromodnego czepeczka i przedpotopowej sukni. Sylwia Gray wracała z kościoła z Janka Moore.

— Widziałaś Starą Damę? — spytała Janka. — Nie uwierzyłam własnym oczom, kiedy weszła do kościoła. Nie pamiętam, żeby kiedyś tam przyszła. Co za dziwaczna postać! Jest bardzo bogata, a donasza stare suknie po matce i nic sobie nigdy nie kupuje. Mówią, że jest skąpa, ale ja uważam — oznajmiła wyrozumiale Janka — że jest zwykłą ekscentryczką.

— Nigdy jej przedtem nie widziałam, ale od razu pomyślałam sobie, że musi to być panna Lloyd — odparła Sylwia. — Bardzo pragnęłam ją zobaczyć — mam ku temu specjalny powód. Ma niezwykłą twarz. Strasznie chciałabym ją poznać.

— Raczej ci się to nie uda — beztrząsco odpowiedziała Janka. — Nie lubi młodzieży, a zresztą nigdzie nie bywa. Ja tam nie chciałabym jej spotkać. Miałabym pietra — jest taka dostojna i ma taki przenikliwy wzrok.

— Ja bym się jej nie bała — powiedziała do siebie Sylwia skręcając w alejkę Spencera. —

Ale pewnie jej nigdy nie poznam. Chyba poczułaby do mnie niechęć, dowiedziawszy się, kim jestem. Dotąd na pewno nie przyszło jej na myśl, że jestem córką Lesliego Graya.

## ROZDZIAŁ LIPCOWY

Pierwszego lipca Sylwia znalazła pod bukiem łódeczkę z brzozonej kory pełną poziomek. Były to pierwsze poziomki, Stara Dama zebrała je w sobie tylko znanym zakątku. Byłyby miłym dodatkiem do skromnego jadłospisu Starej Damy, ale nawet nie przyszło jej na myśl ich skosztować, tak cieszyła się wyobrażając sobie, jak przyjemnie będzie Sylwii zjeść je na podwieczorek. Odtąd poziomki pojawiały się pod bukiem na zmianę z kwiatami; gdy się skończyły, zastąpiły je czarne jagody i maliny. Czarne jagody rosły bardzo daleko i Stara Dama musiała się dobrze nachodzić. Wieczorem często bolały ją kości, ale nie zważała na to. Łatwiej znieść ból kości niż ból duszy, a po raz pierwszy od wielu lat Starej Damie przestała dokuczać dusza. Odżywiła się manną z nieba.

Któregoś wieczoru Krzywy Jaś pojawił się, by naprawić studnię Starej Damy. Stara Dama szybko powędrowała w jego stronę, wiedziała bowiem, że cały dzień pracował u Spencerów, więc uda jej się zdobyć jakiś strzęp informacji o Sylwii.

— Oj, tej nauczycielce muzyki musi być dzisiaj bardzo niewesoło — zauważył Krzywy Jaś wyczerpawszy cierpliwość Starej Damy opowieściami o nowej pompie Williama Spencera i nowej maszynie do prania pani Spencerowej, i nowym kawalerze Amelii Spencer.

— Dlaczego? — spytała pobladła Stara Dama. Czyżby Sylwią spotkało coś złego?

— Brat pani Moore zaprosił ją do miasta na wielkie przyjęcie, ona nie ma co na siebie włożyć — odparł Krzywy Jaś. — To grube ryby i wszyscy się wystroją jak te lale. Pani Spencerowa mówi, że panny Gray nie stać na nową suknię, bo musi pomóc ciotce zapłacić rachunek za lekarza. Pani Spencerowa mówi, że panna Gray się strasznie martwi, choć nic po sobie nie pokazuje. Ale słyszeli, że płakała wczoraj w nocy.

Stara Dama odwróciła się i szybko weszła do domu. To okropne. Nie, Sylwia musi pójść na to przyjęcie, *musi*. Ale co by tu można zrobić? Stara Dama przebiegła myślą jedwabne suknie matki. Nie, żadna nie nadawałaby się, nawet gdyby był czas na przeróbki. Nigdy jeszcze Stara Dama tak gorzko nie żałowała utraconego bogactwa.

— Mam w domu zaledwie dwa dolary — pomyślała — i musi mi to starczyć aż do następnej wizyty handlarza jaj. Gdybym mogła coś sprzedać... Ależ tak, mam przecież ten dzban z winogronami.

Dotąd Stara Dama łatwiej chyba sprzedalaby własną głowę niż ów dzban. Dzban liczył sobie dwieście lat i odkąd był dzbanem, znajdował się w posiadaniu rodziny Lloydów. Był to duży, brzuszasty dzban przyozdobiony różowymi wypukłymi winogronami, po jednej stronie z wymalowaną linijką wiersza; otrzymała go w prezencie ślubnym prababka Starej Damy. Odkąd Stara Dama pamiętała, stał na najwyższej półce kredensu w saloniku, zbyt cenny, by go używać.

Przed dwoma laty trafiła do Spencervale pani szukająca starej porcelany i usłyszawszy o tym dzbanie wtargnęła śmiało do domostwa Lloydów i zaoferowała kupno. Do śmierci nie zapomni, jak przyjęła ją Stara Dama, ale należąc do nowoczesnego pokolenia zostawiła na

wszelki wypadek wizytówkę, oświadczając, że jeśli kiedyś panna Lloyd zmieni zdanie, przekona się, że ona swojego nie zmieniła i chętnie dzban kupi. Kiedy ktoś jest zapalonym kolekcjonerem starej porcelany, nie może się przejmować opryskliwością posiadaczy rodzinnych skarbów, a owa pani nigdy nie widziała jeszcze czegoś, co by ją tak zachwyliło.

Stara Dama podarła wizytówkę w strzępy, zapamiętała jednak nazwisko i adres. Podeszła do kredensu i zdjęła ukochany dzban.

— Nie myślałam, że się z nim kiedyś rozstanę — powiedziała z żalem — ale Sylwia musi mieć nową sukienkę i nie ma innego wyjścia. I ostatecznie po mojej śmierci także by trafił w obce ręce. Więc równie dobrze może teraz. Jutro rano pojedę do miasta, bo jeśli to przyjęcie ma być w piątek, nie ma czasu do stracenia. Już od dziesięciu lat nie byłam w mieście.

Bardziej się boję tej wyprawy niż rozstania z dzbanem. Ale to przecież dla Sylwii.

Następnego rana po całym Spencervale rozeszła się wieść, że Stara Dama pojechała do miasta niosąc ostrożnie wielkie pudło. Wszyscy zastanawiali się nad celem podróży, większość doszła do wniosku, że Stara Dama usłyszawszy o dwóch kradzieżach w Carmody złąkla się o pieniądze z czarnej skrzynki pod łóżkiem i wiezie je do banku.

Stara Dama odszukała dom kolekcjonerki, drżąc z obawy, że ona wyjechała lub umarła. Jednakże pani ta była zdrowa i cała i dalej marzyła o posiadaniu dzbanka. Stara Dama pobladła, ale zdeptała swoją dumę, sprzedała dzban z winogronami i odeszła, przekonana, że jej prababka przewraca się w tej chwili w grobie. Stara Dama poczuła się zdrajczynią rodzinnych tradycji.

Ale nieustraszenie udała się do domu towarowego i dzięki Opatrzności, czuwającej nad naiwnymi duszami starych ludzi podczas niebezpiecznych wypraw w wielki świat, znalazła uczynną ekspedientkę, a ta dokładnie zrozumiała, o co jej chodzi, i pomogła w zakupach. Stara Dama wybrała gustowną muślinową sukienkę, pantofelki i rękawiczki i kazała natychmiast wysłać pannie Sylwii Gray, zamieszkałej u pana Williama Spencera w Spencervale.

Potem zapłaciła — wydała całą sumę uzyskaną za dzban minus półtora dolara na pociąg — i dostojnie odeszła. Wychodząc ze sklepu spotkała postawnego, ulizanego, zamożnie wyglądającego pana. Kiedy ich wzrok spotkał się, mężczyzna drgnął, twarz mu spurpurowiała, podniósł rękę do kapelusza i uklonił się. Ale Stara Dama patrzyła na niego tak, jakby nie istniał, i minęła go obojętnie. Zrobił krok w jej kierunku, ale zaraz się zatrzymał i odwrócił wzruszając ramionami i uśmiechając ironicznie. ~

Nikt nie zgadłby widząc Starą Damę, że aż wzdryga się z odrazy. Nawet dla Sylwii nie wybrałaby się do miasta, gdyby przypuściła, że spotka tam Andrzeja Camerona. Na sam jego widok serce Starej Damy znów zalała gorycz, niemniej myśl o Sylwii pomogła i po chwili Stara Dama uśmiechnęła się triumfalnie uważając słusznie, że zwycięsko wyszła z tego spotkania. Ona przynajmniej nie zarumieniła się, nie zadrżała i nie straciła przytomności umysłu.

„Choć trudno się dziwić, że on tak zareagował” — pomyślała mściwie. Ucieszyło ją, że Andrzej Cameron nie potrafił zachować wobec niej kamiennej twarzy, którą okazywał reszcie świata. Cameron był jej kuzynem i jedynym człowiekiem, którego Stara Dama nienawidziła, a nienawidziła go i pogardzała nim z całą mocą namiętnego usposobienia. Wyrządził krzywdę i jej, i jej bliskim. Stara Dama przekonana była, że wolałaby umrzeć niż okazać, że go zauważa. Wkrótce zresztą przestała sobie zaprzętać głowę Andrzejem Cameronem. Świętokradztwem byłoby myśleć jednocześnie o nim i o Sylwii. Kiedy wieczorem złożyła na poduszce znużoną głowę, czuła się tak szczęśliwa, że nawet myśl o pustej półce, na której dotąd stał dzban, sprawiła jej tylko chwilową przykrość.

„Słodko jest coś złożyć w ofierze komuś, kogo kochamy, słodko jest mieć kogoś, dla kogo możemy coś zrobić” — myślała Stara Dama. Jedno spełnione pragnienie rodzi następne. Stara Dama sądziła, że jest zadowolona, ale w piątek wieczór zaczęła gorączkowo marzyć o zobaczeniu Sylwii w wizytowej sukience. Wyobrażała ją sobie, owszem, ale czuła, że musi ją zobaczyć.

— I zobaczę — powiedziała głośno Stara Dama patrząc przez okno na błyszczące wśród jodeł światelko w pokoju Sylwii. Otuliła się zieloną chustą, wymknęła z domu i podążyła leśną ścieżką. Była mglista księżycowa noc i przepojony zapachem koniczyny wietrzyk przyleciał jej na spotkanie.

— Chciałabym móc wlać tę woń w jej życie — powiedziała Stara Dama do wiatru.

Sylwia Gray stała w swojej izdebce, gotowa do wyjścia. Otaczała ją półkolem zachwycona rodzina Spencerów: pani Spencerowa, Amelia Spencer, dziewczynki. Ale był jeszcze jeden widz. Za oknem, pod bzem, stała Stara Dama. Wyraźnie widziała Sylwię — prosta



wykwintna sukienka, a we włosach różowe różyczki, które tego ranka Stara Dama zostawiła pod bukiem. Różyczki nie były jednak aż tak różowe, jak policzki Sylwii, oczy błyszczały jej jak gwiazdy. Amelia Spencer wyciągnęła rękę, by poprawić opadającą różę, i Stara Dama poczuła zazdrość.

— Suknia leży, jak ulał — powiedziała z podziwem pani Spencer. — Śliczna, prawda, Amelko? Kto ją przysłał?

— Mnie się zdaje, że to pani Moore była dobrą wróżką — powiedziała Sylwia. — Nie widzę nikogo innego, kto mógłby to zrobić — wiedziała, jak bardzo mam ochotę pojechać z Janka na to przyjęcie. Chciałabym, żeby mogła mnie zobaczyć ciocia. — Rozradowana Sylwia westchnęła. — Mam tylko ją jedną.

Sylwia nie miała racji. Miała jeszcze kogoś. Miała Starą Damę, która pożerała ją wzrokiem stojąc pod krzakami bzu, a po chwili odeszła skradając się jak cień przez zalany księżycową poświatą sad, a potem las i zabierając z sobą wizję dziewczęcej urody, by towarzyszyła jej tej bezsennej letniej nocy.

## ROZDZIAŁ SIERPNIOWY

Któregoś dnia żona pastora zebrała się na odwagę, której brakowało mieszkańcom Spencervale, bohatercko wkroczyła do domu Starej Damy i zapytała, czy by nie zechciała uczestniczyć w zebraniach Kółka Robótek Ręcznych, które odbywały się w co drugą sobotę po południu.

— Chcemy wysłać paczkę do naszej misji w Trinidadzie — powiedziała pastorowa — i bardzo cieszylibyśmy się, panno Lloyd, gdyby zechciała nam pani dopomóc.

Stara Dama zamierzała wyniośle odmówić. Nie dlatego, że miała coś przeciwko misjom lub kółkom, wręcz przeciwnie, ale wiedziała, że każda członkini musi co tydzień przynieść dziesięć centów na koszty materiałów do szycia, a biedna Stara Dama zdawała sobie sprawę, że jej na to nie stać. Ale olśniła ją nagła myśl i nie wypowiedziała słów odmowy.

— Mam nadzieję, że w pracach Kółka uczestniczą też młode dziewczęta? — spytała chytrze.

— O tak — odparła pastorowa. — Janka Moore i panna Gray przychodzą zawsze. To bardzo ładnie ze strony panny Gray, że poświęca nam sobotnie popołudnia, jedyne swoje wolne popołudnia, ale ta dziewczyna jest z natury dobra.

— Tak, wstąpię do waszego Kółka — oznajmiła bez namysłu Stara Dama. Trudno, ograniczy się do dwóch posiłków dziennie.

Następnej soboty poszła na zebranie do Jakuba Martina i prześlicznym ścięciem zszywała koszulę. Była tak biegła w szyciu, że nie musiała myśleć o igle; całe szczęście, gdyż myśli jej zajęte były Sylwią, która w przeciwległym kącie siedziała z Janka Moore, pochylona nad chłopięcą drelichową koszulą. Nikomu nie przyszło na myśl przedstawić Sylwię Starej Damie, a Stara Dama była z tego rada. Szyła i wsłuchiwała się w dziewczęce głosy. Dowiedziała się jednej rzeczy: dwudziestego sierpnia przypadają urodziny Sylwii. I Starą Damę natychmiast ogarnęła nieprzeparta chęć wręczenia Sylwii urodzinowego upominku. Pół nocy nie spała zastanawiając się, co mogłaby zrobić, i z bólem uprzytomniła sobie, że przy największych ograniczeniach nie oszczędzi wystarczającej sumy. I to nękało ją aż do następnego zebrania Kółka.

Tym razem odbywało się ono u pani Moore, która powitała Starą Damę szczególnie serdecznie, nalegając, by usiadła w fotelu w saloniku. Stara Dama wolałaby siedzieć wraz z dziewczętami w jadalni, ale wymogi uprzejmości nakazały jej ulec i została za to wynagrodzona. Jej fotel stał tuż przy drzwiach i w którymś momencie Janka Moore i Sylwia Gray wyszły i usiadły na schodkach, by odetchnąć ożywczym powiewem wietrzyku.

Rozmawiały o swych ulubionych poetach. Janka, jak się okazało, Uwielbiała Byrona i Scotta. Sylwia wolała Tennysona i Browninga. — Wiesz, Janko — powiedziała cicho Sylwia — mój ojciec był poetą. Wydał tomik wierszy, ale wyobraź sobie, że nigdy go nie Widziałam, choć dużo bym za to dała! Tomik ten został wydany prywatnie, kiedy ojciec był jeszcze na uniwersytecie. Nic więcej nie opublikował. Biedny ojciec, nie poszczęściło mu się w życiu. Tak bym chciała zobaczyć ten tomik. Nie mam żadnych jego utworów. Gdybym je miała, czułabym, że posiadam część jego myśli i serca. Przestałby być anonimowym ojcem.

— A on nie miał własnego egzemplarza? Twoja matka nie miała?

— Matka nie miała. Wiesz, umarła przy moich narodzinach. I ciocia mówi, że wśród jej książek nie było tomiku ojca. Matka nigdy nie interesowała się poezją, ciocia zresztą także. Ojciec po śmierci matki wyjechał do Europy i zmarł tam w rok później. Nie odesłano nam jego rzeczy. Przed wyjazdem sprzedał większość książek, tylko najbardziej ulubione zostawił dla mnie u cioci. Ale nie było wśród nich jego wierszy. Pewnie nigdy nie uda mi się znaleźć tego egzemplarza, a tak strasznie bym chciała.

Kiedy Stara Dama wróciła do domu, wyjęła z górnej szufladki biurka inkrustowane

pudełko z sandałowego drzewa. Leżał w nim malutki cienki tomik owinięty w bibułkę — największy skarb Starej Damy. Na tytułowej kartce widniał napis: „Małgorzatce z wyrazami miłości”.

Stara Dama drżącymi palcami przewracała zżółkłe kartki i z oczyma pełnymi łez czytała wiersze, które od lat znała na pamięć. Postanowiła oddać tę książeczkę Sylwii w urodzinowym upominku — miał to być jeden z najcenniejszych darów, jakie kiedykolwiek ktoś otrzymał, jeżeli wartość zmierzmy stopniem poświęcenia. W tomiku owym ukryta była miłość — i śmiech, i łzy, cała uroda świata, która zakwitła przed laty jak róża, i do dziś wydobywała się z niej słodka woń zeschniętych płatków.

Stara Dama wyrwała wymowną kartkę i późnym wieczorem w przeddzień urodzin Sylwii, ukrywając się w ciemnościach, jakby chodziło o jakieś nieczne przedsięwzięcie, poszła do sklepiku, gdzie była także poczta, i wrzuciła przez szparę w drzwiach cienki pakunek. Potem znów ukradkiem wróciła do domu, czując się osamotniona, tak jakby utraciła kogoś bliskiego. Oddała ostatnią rzecz, która łączyła ją z młodością. Nie żałowała tego. Sylwia ucieszy się, a radość Sylwii była najważniejsza.

Następnego wieczoru długo nie gasło światelko w oknie Sylwii i Stara Dama patrzyła nań triumfalnie, wiedząc, co to oznacza. Sylwia czytała wiersze ojca, a Stara Dama szeptem powtarzała znane strofki. Ostatecznie cóż jej szkodziło oddać książkę? Do niej należała dusza tych wierszy i ta kartka, na której Leslie napisał jej imię, imię, którym nikt już jej nie nazywał.

Kiedy podczas następnego zebrania Kółka Stara Dama siedziała na kanapie Marshallów, podeszła do niej Sylwia i usiadła obok. Ręce Starej Damy zaczęły drżeć i chusteczka, którą miał na Gwiazdkę otrzymać jakiś oliwkowoskóry kulis z Trynidadu, nie została obrębiona tak misternym ścięciem jak zwykle.

Sylwia zaczęła rozmawiać o Kółku, o daliach pani Marshall i Stara Dama nie posiadała się z zachwytem, choć usiłowała tego po sobie nie pokazać i zachowywała się jeszcze dostojniej niż zwykle. Potem spytała Sylwię, jak jej się podoba w Spencervale. Sylwia odpowiedziała:

— Bardzo. Wszyscy są dla mnie tacy dobrzy. A poza tym — tu Sylwia zniżyła głos, by nie usłyszał jej nikt prócz Starej Damy — opiekuje się mną tutaj dobra wróżka i obsypuje mnie najcudowniejszymi, najpiękniejszymi darami.

Mówiąc to Sylwia, obdarzona wrodzoną delikatnością, nie patrzyła na Starą Damę. Ale gdyby nawet patrzyła, nic by nie zobaczyła. Stara Dama nie na darmo była Lloydówną.

— To ciekawe — powiedziała obojętnym tonem.

— Prawda? Jestem jej strasznie wdzięczna i chciałabym móc jej powiedzieć, ile mi sprawiła radości. Całe lato znajdowałam na ścieżce śliczne kwiaty i pyszne owoce. Byłam pewna, że to ona przysłała mi wizytową sukienkę. Ale najwspanialszy dar otrzymałam w zeszłym tygodniu na urodziny — tomik wierszy mojego ojca! Nie potrafię wyrazić, co czułam. Ale marzę o tym, żeby zobaczyć moją dobrą wróżkę i podziękować jej.

— Co za fascynująca zagadka! Nikt nie przychodzi pani na myśl? Stara Dama z dużą pewnością siebie zadała owo niebezpieczne pytanie, przekonana, że Sylwia nie wie nic o jej miłości do Lesiego Graya, nie może zatem żywić żadnych podejrzeń.

Sylwia sekundę się zawahała, ale odpowiedziała niemal natychmiast:

— Nie próbowałam odnaleźć mojej dobrej wróżki, bo czuję, że sobie tego nie życzy. Z początku, kiedy chodziło o kwiaty i owoce, i sukienkę, szukałam rozwiązania zagadki, ale odkąd dostałam ten tomik wierszy, jestem przekonana, że wszystkie dary pochodzą od niej, i muszę uszanować jej chęć pozostania w ukryciu. Może któregoś dnia ona sama się ujawni, pragnę tego z całego serca.

— Na pani miejscu nie pragnęłabym — odparła Stara Dama. — We wszystkich bajkach, które czytałam, wróżki okazują się dziwnymi staruchami i lepiej ich nie spotykać twarzą w twarz.

— Ale ja jestem przekonana, że moja dobra wróżka nie należy do tego gatunku i gdyby udało mi się ją poznać, na pewno bym ją pokochała.

W tym momencie podeszła do nich pani Marshall i poprosiła pannę Gray, by zechciała zaśpiewać. Panna Gray chętnie się zgodziła i Stara Dama została sama, i była z tego rada. Dopiero w domu zaczęła się rozkoszować rozmową z Sylwią powtarzając w duchu każde słowo. Bezpośrednią przyjemność psuło jej tylko zdenerwowanie wywołane nieczystym sumieniem. Teraz też zastanawiała się niespokojnie, czy Sylwia naprawdę nie żywi żadnych podejrzeń. Ale doszła do wniosku, że jest to wykluczone. Któżby mógł podejrzewać nietowarzystką i pozbawioną przyjaciół Starą Damę, tak skąpą, że na cele Kółka dawała zaledwie pięć centów, a nie dziesięć czy piętnaście jak inne panie, że zechce odegrać rolę dobrej wróżki i hojnie obsypywać kogoś darami?

## ROZDZIAŁ WRZEŚNIOWY

We wrześniu Stara Dama wyznała samej sobie, że minione lato było dziwnie szczęśliwe, a niedziele i te sobotnie popołudnia misyjne wydawały się złotymi znakami przestankowymi w poemacie życia. Czuła się zupełnie inną osobą i tak też traktowało ją otoczenie. Panie należące do Kółka uznały, że jest miła, a nawet przyjazna, i doszły do wniosku, że źle ją dotąd osądzały i że to pewnie nie skąpstwo, lecz ekscentryczność wpływała na jej dziwaczny tryb życia. Podczas zebrań Kółka stale teraz podchodziła do niej Sylwia Gray, by porozmawiać, a Stara Dama przechowywała w sercu jak skarb każde słowo Sylwii i powtarzaj je sobie podczas bezsennych nocy.

Sylwia nie pytana nie mówiła nigdy o swych planach, a nieśmiałość Starej Damy nie pozwoliła jej zadawać osobistych pytań, rozmowy ich zatem były powierzchowne i to od pastorowej, nie od Sylwii, Stara Dama dowiedziała się wreszcie, o czym marzy jej ulubienica.

Któręś wrześniowego wieczoru pastorowa zajrzała do domu Lloydów, z północnego wschodu wiał przenikliwy wiatr i wył pod stropami domu, a refren jego pieśni mówił o tym, że żniwa się skończyły i lato odeszło. Stara Dama wsłuchiwała się weń plotąc z trawy koszyczek dla Sylwii. Poprzedniego dnia poszła po tę trawę aż na piaszczyste wzgórza Avonlea i bardzo była zmęczona. Lato, które tak wzbogaciło jej życie, miało się ku końcowi, a wiedziała, że Sylwia Gray zamierza w październiku opuścić Spencervale. Starej Damie serce ciążyło jak ołów i niemal ucieszyła się z wizyty pastorowej, choć bała się, że przychodzi ona po datek na nowy dywan do zakrystii, a wiedziała, że nie może dać nawet centa.

Ale pastorowa wpadła tylko po drodze, wracając od Spencerów, i nie zamierzała stawiać żadnych kłopotliwych żądań. Za to zaczęła opowiadać o Sylwii Gray i każde jej słowo było dla uszu Starej Damy nutą drogocennej muzyki. Pastorowa nie mogła nachwalić się Sylwii — taka dobra i śliczna, i ujmująca.

— I ten cudowny głos — powiedziała z entuzjazmem pastorowa i zaraz westchnęła. — Co za szkoda, że nie może go szkolić. Znawcy mówili jej, że mogłaby zostać wielką śpiewaczką. Ale jest taka uboga, że nigdy jej na to nie będzie stać, chyba że otrzyma stypendium Camerona, a niewiele ma nadziei, choć jej nauczyciel śpiewu zaproponował jej kandydaturę.

— Jakie stypendium Camerona? — spytała Stara Dama.

— Chyba pani słyszała o tym milionerze, Andrzeju Cameronie? — spytała pastorowa nieświadoma, że dotyka rodzinnego szkieletu, aż gruchoczą jego kości.

Stara Dama zarumieniła się, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

— Tak, słyszałam — odparła.

— No więc ponoć miał on córkę, która była śliczną dziewczyną i którą uwielbiał. Miała piękny głos i zamierzał wysłać ją na studia za granicę. Ale umarła. Złamało mu to serce. I odtąd, by uczcić pamięć córki, co roku wysyła jakąś dziewczynę na studia muzyczne do Europy. Wysłał już chyba dziewięć, ale obawiam się, że Sylwia Gray nie ma wielkich szans, tak zresztą sama myśli.

— Dlaczego? — spytała z ożywieniem Stara Dama. — Pewna jestem, że nieczęsto spotyka się taki głos jak panny Gray.

— To prawda. Ale widzi pani, te stypendia są prywatne i zależą od widzimi się samego Andrzeja Camerona. A on często ulega jakimś rekomendacjom. Ponoć w zeszłym roku wysłał córkę swojego dawnego współnika, która wcale nie odznaczała się niezwykłym głosem. A Sylwia nie zna nikogo, kto mógłby na Camerona wpłynąć. Muszę uciekać, zobaczymy się w sobotę u nas na plebanii, wie pani, panno Lloyd, że tym razem Kółko zbiera się właśnie u nas.

— Wiem — odparła z roztargnieniem Stara Dama. Po wyjściu pastorowej opuściła koszyczek i długo siedziała z założonymi rękami, patrząc niewidzącym wzrokiem w ścianę.

Stara Dama, tak żałośnie uboga, że aby wpłacić pięć centów na Kółko, musiała jeść o pięć sucharów mniej tygodniowo, wiedziała, że jest w jej mocy wysłanie córki Lesliego Graya do Europy. Jeśli zdecyduje się pójść do Andrzeja Camerona i poprosić o wysłanie Sylwii w następnym roku, on bez wątpienia się zgodzi. Wszystko zależy od niej, czy potrafi zdławić swą dumę i poprosić o przysługę człowieka, który tak skrzywdził i ją, i jej rodzinę.

Przed laty ojciec Starej Damy namówiony przez Andrzeja Camerona włożył całą swoją fortunę w przedsięwzięcie, które skończyło się fiaskiem. Abraham Lloyd stracił wszystko do ostatniego dolara i jego rodzina została skazana na ubóstwo. Cameronowi można by wybaczyć omyłkę, ale istniało silne podejrzenie, niemal pewność, że zawinił nie tylko udzieleniem wujowi złej rady. Niczego nie dałoby się udowodnić, ale było wiadomo, że Andrzej Cameron, znany już przedtem z „chytrych sztuczek”, nieźle zarobił na tym przedsięwzięciu, które zrujnowało wielu ludzi. Stary doktor Lloyd umarł zrozpaczony, że padł ofiarą własnego siostrzeńca.

Andrzej Cameron nie przewinił świadomie, z początku szczerze wierzył, że przedsięwzięcie owo przyniesie zyski, a swoje późniejsze postępowanie usiłował wytłumaczyć przed samym sobą, że każdy musi dbać przede wszystkim o własne interesy.

Małgorzata Lloyd nie potrafiła znaleźć dla niego żadnego usprawiedliwienia, obwinała go nie tylko o ruinę finansową swej rodziny, ale także o śmierć ojca i nigdy mu nie wybaczyła. Kiedy Abraham Lloyd umarł, Andrzej Cameron wiedziony prawdopodobnie wyrzutami sumienia zaproponował jej finansową pomoc. Przyszedł i oświadczył, że zadba o jej potrzeby.

Małgorzata Lloyd odrzuciła jego propozycję nie szczędząc mu słów prawdy. Umrze raczej, niż przyjmie od niego choćby grosz. Andrzej Cameron nie dał się wyprowadzić z równowagi i wyraził głębokie ubolewanie, że kuzynka Małgorzata ma o nim tak nieusprawiedliwioną opinię, a odchodząc zapewnił ją z bezczelną skwapliwością, że zawsze znajdzie w nim przyjaciela i gotów jest służyć jej wszelką pomocą.

Stara Dama od dwudziestu lat żyła w przeświadczeniu, że wolałaby raczej umrzeć w przytułku — a wcale nie wydawało się to nieprawdopodobne — niż poprosić o pomoc Andrzeja Camerona. Na pewno gdyby chodziło tylko o nią, nigdy by się do niego nie zwróciła. Ale chodziło o Sylwię. Czy dla Sylwii gotowa jest aż tak się poniżyć?

Decyzja nie była tak łatwa jak wówczas, gdy chodziło o dzban z winogronami i o tomik wierszy. Przez cały tydzień Stara Dama walczyła ze swoją dumą i z rozgoryczeniem. Czasem, podczas bezsennej nocy, wszystkie urazy wydawały jej się czymś małym i nieważnym. Ale w dzień patrząc na portret ojca i szeleszcząc starymi jedwabnymi sukniemi, które musiała nosić na skutek mactw Andrzeja Camerona, znów czuła, że zwycięża duma.

Ale Stara Dama pokochała Sylwię tak czule i głęboko, że żadne inne uczucie nie mogło się mierzyć z tą miłością. Miłość działa cuda i nigdy nie okazała swej potęgi tak dobitnie jak owego chłodnego szarego jesienno ranka, kiedy Stara Dama pomaszerowała na stację kolejową w Jasnym Potoku i wsiadła w pociąg do Charlot—tetown, by załatwić sprawę, na myśl o której ścisnęło jej się serce. Naczelnik stacji sprzedając jej bilet pomyślał, że bardzo jest mizerna i blada.

— Wyglądała tak, jakby od tygodnia nie spała i nie jadła — powiedział przy obiedzie do żony. — Pewnie coś jej nie wyszło w interesach. Już drugi raz tego lata pojechała do miasta.

Przybywszy do miasta Stara Dama zjadła zabrany ze sobą skromny posiłek i wyruszyła pieszo na przedmieście, gdzie znajdowały się fabryki i składy Camerona. Była to daleka wyprawa, ale nie miała pieniędzy, by tam dojechać. Kiedy wprowadzono ją do wspaniałego gabinetu, gdzie za biurkiem siedział Andrzej Cameron, poczuła, jak strasznie jest zmęczona.

Andrzej Cameron spojrział na nią ze zdziwieniem, ale zaraz wstał i podszedł do niej z wyciągniętą ręką.

— Kuzynka Małgorzata! Jaka miła niespodzianka. Siadaj — nie, na tym fotelu będzie ci wygodniej. Przyjechałaś dziś rano? Co słyhać w Spencervale?

Już przy pierwszych słowach Stara Dama spłonęła rumieńcem. Tym imieniem nazywali ją rodzice i ukochany, profanacją było usłyszeć je z ust Andrzeja Camerona. Wytłumaczyła sobie jednak, że nie jest to stosowna pora na drażliwość. Jeśli może prosić Andrzeja Camerona o przysługę, może także znieść drobniejsze przykrości. To dla Sylwii uściśnęła jego rękę, to dla Sylwii usiadła w podsunętym jej fotelu. Ale dla żadnej ludzkiej istoty nie zdobyłaby się na zmianę oschłego tonu. Z wyniosłą prostotą Lloydów przystąpiła do sedna sprawy.

— Przyszłam prosić cię o uprzejmość — powiedziała patrząc mu prosto w oczy, bynajmniej nie pokornie, jak by przystało osobie zwracającej się o przysługę, lecz tak hardo i wyzywająco, że można by pomyśleć, iż prowokuje go, by odmówił.

— Bardzo mi miło, kuzynko Małgorzato — trudno było o bardziej życzliwy i uprzejmy ton głosu. — Chętnie zrobię dla ciebie, co tylko będę mógł. Małgorzato, potraktowałaś mnie jak wroga i twoje niesprawiedliwe zachowanie bardzo mnie zabolalo. Zdaję sobie sprawę, że pozory przemawiały przeciwko mnie, ale...

Stara Dama podniosła rękę i tym jednym gestem przerwała potok jego wymowy.

— Nie przyszłam tu dyskutować o przeszłości — oznajmiła. — Nie mówmy o niej. Przyszłam prosić cię o przysługę. Nie chodzi o mnie, tylko o moją młodą przyjaciółkę, pannę Gray, ma ona piękny głos, który należy szkolić. Jest bardzo niezamożna, więc przyszłam cię spytać, czy nie mogłaby uzyskać twojego stypendium. O ile wiem, profesor, który ją uczył, zgłosił już jej kandydaturę, nie potrafię powiedzieć, co mówi o jej głosie, ale wszelkie superlatywy byłyby tu jak najbardziej na miejscu. Jeżeli wyślesz ją na studia, nie popełnisz błędu.

Stara Dama umilkła. Była pewna, że Andrzej Camaron spełni jej prośbę, miała jednak nadzieję, że zrobi to szorstko i niechętnie. Łatwiej byłoby przyjąć jego przysługę, gdyby cisnął ją jak kość psu. Ale nic z tego. Andrzej Cameron był uprzejmiejszy niż kiedykolwiek. Nie, nic nie sprawi mu większej przyjemności niż spełnienie prośby kochanej kuzynki Małgorzaty, pragnąłby tylko, żeby wymagało to

od niego więcej zachodu. Jej protegowana otrzyma odpowiednie wykształcenie, w przyszłym roku wyjedzie za granicę, a on cieszy się, że...

— Dziękuję ci — krótko przerwała mu Stara Dama. — Bardzo ci jestem wdzięczna, poproszę cię jeszcze, żeby panna Gray nie dowiedziała się o moim wstawiennictwie. Nie chcę zabierać ci cennego czasu. Do widzenia.

— Nie, proszę cię, nie odchodź! — powiedział Cameron z prawdziwą życzliwością. Pewnie odezwały się w nim uczucia rodzinne i stąd płynęła nienawistna jej serdeczność tonu, Andrzej Cameron nie był bowiem pozbawiony zwykłych cnót przeciętnego człowieka. Był dobrym mężem i ojcem, ongi bardzo lubił swoją kuzynkę Małgorzatę i naprawdę było mu przykro, że „okoliczności zmusiły go”, żeby postąpił tak, jak postąpił w sprawie inwestycji Abrahama Lloydów. — Musisz spędzić u nas wieczór.

— Dziękuję, ale muszę wrócić dziś do domu — oświadczyła Stara Dama, a z jej tonu Cameron mógł wywnioskować, że próżne są dalsze nalegania. Uparł się jednak, by jego powóz odwiózł Starą Damę na dworzec. Stara Dama przystała na to, gdyż w głębi duszy obawiała się, że nie da rady dojsć tam pieszo, uściśnęła mu nawet na pożegnanie rękę i jeszcze raz podziękowała.

— Nie ma za co — oświadczył. — Proszę cię, Małgorzato, spróbuj w przyszłości myśleć o mnie trochę życzliwiej.

Kiedy Stara Dama znalazła się na dworcu, stwierdziła z przykrością, że pociąg przed chwilą odszedł i musi czekać dwie godziny. Weszła do poczekalni i usiadła. Była strasznie zmęczona. Przedtem podtrzymywało ją podniecenie, teraz poczuła się stara i bardzo słaba. Niemniej siedziała dumnie wyprostowana, walcząc z bólem tak psychicznym, jak fizycznym, a wokół kręcili się zadowoleni ludzie śmiejąc się i rozmawiając.

O ósmej wieczorem Stara Dama wysiadła w Jasnym Potoku i nie zauważona przez nikogo pogrążyła się w ciemnościach mokrej nocy. Miała do domu dwie mile, padał chłodny deszcz. Wkrótce przemokła do szpiku kości. Wszystko wydawało jej się złym snem. Tylko niezawodny instynkt pomógł jej dotrzeć do domu. Kiedy zmagala się z drzwiami, poczuła, że robi jej się gorąco. Weszła potykając się o próg i zamknęła drzwi.



## ROZDZIAŁ PAŹDZIERNIKOWY

Następnego dnia rano Sylwia Gray szła beztrąsko leśną ścieżką. Był piękny jesienny poranek, rześki, jasny i słoneczny, pachniały paprocie zmaltretowane wczorajszym deszczem, klon wymachiwał szkarłatnym proporcem, a gałęzie brzozy złociły się na tle niezmiennie ciemnych jodeł. Powietrze było czyste i ożywcze. Sylwia szła radosnym, lekkim krokiem z podniesioną wesoło głową.

Zatrzymała się pod bukiem, ale tym razem nic nie znalazła wśród starych zszarzałych korzeni. Już miała skręcić, kiedy zobaczyła, jak mały Edzio Kimball, który mieszkał tuż obok plebanii, zbiega po zboczu wzgórza, na którym znajdowało się domostwo Lloydów. Piegowata buzia Edzia blada była z przerażenia.

— Och, panno Gray — wyjąkał dysząc ciężko. — Stara Dama do reszty zwariowała. Pastorowa dała mi dla niej list — pukałem i pukałem, i nic. Pomyślałem, że wejdę i zostawię list na stole. Ale kiedy otworzyłem drzwi, usłyszałem w saloniku straszny śmiech i zaraz pokazała się Stara Dama. Panno Gray, ona wyglądała okropnie. Była czerwona, patrzyła dzikim wzrokiem i coś do siebie mamrotała, i wciąż się śmiała. Przeraziłem się i uciekłem.

Sylwia bez namysłu chwyciła Edzia za rękę i pobiegła na wzgórze. Ani przez chwilę nie czuła strachu, choć słowa Edzia przekonały ją, że biedna, samotna, ekscentryczna Stara Dama do reszty postradała zmysły.

Kiedy Sylwia weszła, Stara Dama siedziała w kuchni na kanapie. Przerażony Edzio został na progu. Stara Dama miała na sobie mokrą czarną suknię, w której wczoraj przyszła ze stacyjki. Miała wypieki na twarzy, patrzyła oszalałym wzrokiem, mówiła chrapliwym szeptem. Poznała jednak Sylwię i skuliła się.

— Nie patrz na mnie — jęknęła. — Odejdź. Nie zniósłabym, żebyś się dowiedziała o moim ubóstwie. *Pojedziesz* do Europy — wyśle cię Andrzej Cameron — poprosiłam go, a on nie mógł mi odmówić. Proszę cię, wyjdź.

Sylwia nie odeszła. Już pierwszy rzut oka przekonał ją, że to gorączka, nie szaleństwo. Kazała Edziowi lecieć po panią Spencer, a kiedy ta nadeszła, położyły Starą Damę do łóżka i posłały po lekarza. Wieczorem całe Spencervale wiedziało, że Stara Dama ma zapalenie płuc.

Pani Spencerowa oznajmiła, że zostanie pielęgnować Starą Damę. Wiele kobiet ofiarowało swą pomoc. Wszyscy okazywali dobroć i troskę. Ale Stara Dama nic o tym nie wiedziała. Miała wysoką gorączkę i majaczyła. Nie poznawała już nawet Sylwii, która spędzała przy niej każdą wolną chwilę. Sylwia Gray upewniła się teraz w swych podejrzeniach — to Stara Dama była jej dobrą wróżką. Stara Dama bez przerwy majaczyła, zdradziła się ze swoimi uczuciami do Sylwii, zdradziła, ile poniosła dla niej ofiar. Sylwii topniało z rozczulenia serce i modliła się o powrót do zdrowia Starej Damy. — Musi się dowiedzieć, że ja także ją pokochałam. Całe Spencervale usłyszało o ubóstwie Starej Damy. Wyszły na jaw wszystkie jej pilnie strzeżone tajemnice z jednym jedynym wyjątkiem: nawet w malignie nie pisnęła słówka o swej miłości do Lesliego Graya. Ale poza tym wszystko doszło do publicznej wiadomości: jak wstydziała się niemodnych sukien, jak przemyślnie oszczędzała, jak strasznie się czuła upokorzona, że wpłaca na Kółko zaledwie pięć centów, kiedy wszystkie panie płacą dziesięć. Uczynne kobiety, które ją pielęgnowały, słuchały tego ze łzami w oczach i wyrzucały sobie, że tak surowo osądzały ją w przeszłości.

— Ale kto mógł przypuścić, że tak się mają sprawy? — spytała pastorowej pani Spencer. — Nikomu się nie śniło, że jej ojciec stracił *całą* fortunę. W swoim czasie mówiono, że ta kopalnia srebra na zachodzie zrobiła plajtę, ale żeby aż tak! Strach pomyśleć, jak ona żyła przez te wszystkie lata, głodząc się i z braku opału nie wychodząc zimą z łóżka. Choć nawet gdybyśmy wiedzieli, pewnie niedużo dałoby się dla niej zrobić, była tak rozpaczliwie dumna. Krzywy Jaś powiada, że nigdy sobie nie daruje, że przyjmował od niej zapłatę za drobne

przysługi. I że jeśli tylko mu pozwoli, będzie dla niej pracował za darmo. Czy to nie dziwne, że tak sobie upodobała pannę Gray?

Pomyśleć, ile dla niej tego lata zrobiła, nawet sprzedała dzban! Tak, Stara Dama na pewno nie jest skąpa; ale nikt nie mylił się nazywając ją dziwaczką. Wszystko to jest żalosne. Panna Gray okropnie się przejmuje. Jest tak samo oddana Starej Damie, jak Stara Dama jej. Czuje się tak wstrząśnięta, że nawet przestało jej zależeć na wyjeździe do Europy! Tak, jedzie w przyszłym roku, dostała stypendium Camerona. Bardzo się cieszę, bo to najmilsza dziewczyna na świecie, ale ona powiada, że gdyby Stara Dama miała za to zapłacić życiem — to cena byłaby za wysoka.

Andrzej Cameron usłyszał o chorobie Starej Damy i pojawił się w Spencervale. Nie pozwolono mu, rzecz jasna, zobaczyć Starej Damy, ale poprosił wszystkich zainteresowanych, by nie szczydzili trudu i pieniędzy, a lekarzowi polecił wysłać rachunek na nazwisko Camerona i zachować to w sekrecie. I wróciwszy do domu przysłał wykwalifikowaną pielęgniarkę, która zajęła się Starą Damą nie raniąc uczuć pani Spencer — można to uznać za najlepszy dowód jej taktu!

Stara Dama nie umarła — silny organizm Lloydów poradził sobie z chorobą. Kiedy któregoś dnia weszła Sylwia — Stara Dama uśmiechnęła się do niej leciutko, wyszeptła jej imię, a pielęgniarka oświadczyła, że kryzys minął.

Stara Dama była zadziwiająco cierpliwą pacjentką i rekonwalescentką. Robiła, co jej kazano, i zaakceptowała obecność pielęgniarki jako coś zupełnie naturalnego.

Ale któregoś dnia, gdy nabrała już dość sił, by rozmawiać, zapytała Sylwii:

— To pewnie Andrzej Cameron przysłał tu pannę Hayes?

— Tak — odparła bojaźliwie Sylwia.

Stara pani zauważyła jej zażenowanie i uśmiechnęła się, a w czarnych oczach pojawił się dawny figlarny błysk.

— Tak, kiedyś odesłałabym bezceremonialnie każdą osobę przyslaną tu przez Andrzeja Camerona — oświadczyła — tylko widzisz, Sylwio, przebywałam ostatnio w Dolinie Cienia Śmierci i pozostawiłam tam pychę i urazy. Mam nadzieję, że na zawsze. Nie czuję już takiego żalu do Andrzeja, a nawet mogę coś od niego przyjąć. Potrafiłam mu nareszcie wybaczyć krzywdy wyrządzone mojej rodzinie. Sylwio, podobno w czasie choroby zdradziłam wszystkie swoje sekrety. Całe Spencervale wie o moim ubóstwie — ale nie robi mi to różnicy. Żałuję tylko, że przez tę moją niemądrą dumę tak długo separowałam się od sąsiadów. Wszyscy są dla mnie tacy dobrzy. Jeśli wrócę do sił, na przyszłość będę żyć inaczej, cieszyć się towarzystwem ludzi i odwzajemniać ich serdeczność. Chcę pomagać ludziom i zgodzę się przyjmować ich pomoc. Ja też mogę komuś pomóc — nauczyłam się, że można pomagać rozmaicie, nie tylko pieniędzmi. Każdy, kto potrafi współczuć i umie zrozumieć drugiego człowieka, może go obdarzyć hojniej niż pieniędzmi. I już wcale nie żałuję, Sylwio, że odkryłaś to, z czym za nic w świecie nie chciałam się przed tobą zdradzić.

Sylwia wzięła Starą Damę za rękę i ucałowała ją.

— Nigdy nie potrafię podziękować pani za wszystko, co pani dla mnie zrobiła, najdroższa panno Lloyd — powiedziała uroczyście. — I strasznie się cieszę, że nie ma już między nami tajemnic i mogę kochać panią otwarcie, jak tego od dawna pragnęłam. I taka jestem szczęśliwa, że kocha mnie moja dobra wróżka.

— Czy wiesz także, *dla czego* cię tak kocham? — spytała żałośnie Stara Dama. — Czy z tym także zdradziłam się w malignie?

— Nie. Ale się domyślam. Bo jestem córką Lesliego Graya, prawda? Wiem, że ojciec kochał panią, opowiedział mi o tym brat ojca, wuj Willie.

— Ta moja przeklęta pycha złamała mi życie — rzekła ze smutkiem Stara Dama. — Ale ty, Sylwio, będziesz mnie dalej kochać? Będziesz mnie odwiedzać? I napiszesz do mnie czasem, gdy już wyjedziesz?

— Będę przychodzić tu co dzień. I cały następny rok zostanę w Spencervale, żeby być blisko pani. A kiedy dzięki swojej dobrej wróżce pojedę za rok do Europy — będę do pani co dzień pisać. Pozostaniemy na zawsze najbliższymi przyjaciółkami, a ten rok spędzimy razem, ciesząc się swoim towarzystwem.

Stara Dama uśmiechnęła się pogodnie. W kuchni pastorowa, która przyniosła galaretkę z nóżek, rozmawiała z panią Spencer o Kółku Robótek Ręcznych. Przez otwarte okno przysłonięte czerwoną girlandą dzikiego wina napływało ciepłe wonne październikowe powietrze. Blask słoneczny nałożył na kasztanowe włosy Sylwii koronę młodości.

— Jestem taka szczęśliwa — szepnęła Stara Dama z głębokim wzruszeniem w głosie.

## KĄŻDY WŁASNYM JĘZYKIEM

Jesienne słońce miodową poświatą okrywało purpurę i bursztyn klonów rosnących wokół drzwi starego Abła Blaira. W domku starego Abła były tylko jedne drzwi i niemal zawsze stały one otworem. Czarny psiak bez ucha i z przetrąconą łapką niemal zawsze spał na zniszczonym czerwonym kamiennym schodku, a na jeszcze bardziej zniszczonym progu niemal zawsze wysypiał się ogromny szary kot. Zaraz za drzwiami siedział zaś niemal zawsze stary Abel na krześle o wykoślawionych nogach.

Siedział tu także tego popołudnia — mały staruszek, pokręcony reumatyzmem, miał nieproporcjonalnie wielką głowę, a na niej szopę długich, sztywnych jak drut czarnych włosów, ogorzałą, porytą zmarszczkami twarz i głęboko osadzone czarne oczy, w których czasem pojawiały się osobliwe złote błyski. Stary Abel Blair wyglądał dość dziwnie i naprawdę był dziwnym człowiekiem, jak mógł zaświadczyć każdy z mieszkańców Carmody.

Teraz, u schyłku życia, był niemal zawsze trzeźwy. I był trzeźwy dzisiaj. Lubił wygrzewać się w słońcu tak samo jak jego pies i kot i spoglądał wtedy zazwyczaj na błękitne niebo nad wierzchołkami stłoczonych klonów. Dziś jednak nie patrzył w niebo, ale na czarne zakurzone krokwie w kuchni, z których zwisały sznury cebuli i suszonego mięsa, pęki ziół, wędki i strzelby.

Ale stary Abel w ogóle ich nie widział; jego twarz była twarzą człowieka w transie, wizja niebiańskiego szczęścia ustępowała wizji piekielnych cierpień: stary Abel przeżywał własne życie — takim, jakim się mogło stać, i takim, jakim było w rzeczywistości. Działo się tak za każdym razem, kiedy Feliks Moore grał na skrzypcach. I wielka radość, że oto znów jest młody i ma przed sobą całe życie, triumfowała nad rozpaczliwą świadomością, że je zmarnował i oto jego starość ni jest czcigodna, gdyż zaprzepaścił bogactwo swej duszy.

Feliks Moore stał naprzeciwko niego przed kuchnią, na której rozpalony w południe ogień zmarł już rozsypując się w szary popiół. Pod brodą trzymał wykoślawione skrzypki starego Abła i on także patrzył w powalę, i on także widział coś, czego nie da się wyrazić żadnymi słowami, tylko muzyką, i to jedynie porywającą a pełną udręki muzyką skrzypiec. A przecież mały Feliks miał dopiero dwanaście lat i buzię dziecka, które nie zna jeszcze bólu, grzechu, klęsk i wyrzutów sumienia. Tylko w jego wielkich ciemnych oczach czaił się niedziecinny wyraz — dziedzictwo spopieliałych serc, które ongi cierpiały i radowały się, walczyły i ponosiły klęski, zaznawały poniżeń i triumfów. Ich nigdy niesformułowane tęsknoty odszukały drogę do duszy dziecka i znalazły ujście w jego muzyce.

Feliks był ślicznym chłopcem. Uznawali to zarówno zasiedziali tu od lat mieszkańcy Carmody, jak stary Abel Blair, który wiele nawędrował się po świecie, uważał tak nawet wielobny Stefan Leonard, który głosił i sam starał się w to uwierzyć, że piękno jest uludą.

Feliks był wątłym chłopcem o pochyłych ramionach; na szczupłej opalonej szyi widniała wdzięcznie osadzona, podniesiona do góry główka. Obcięte na pazia ręką Janet Andrews włosy były połyskliwie czarne. Twarz i ręce wyglądały jak z kości słoniowej, miał wielkie oczy prześlicznego szarego koloru, rysy jego twarzy nasuwały myśl o kamei. Kobiety z Carmody ubolewały nad jego wątłością i przepowiadały, że pastorowi nie uda się go wychować, ale stary Abel kiedy słyszał te białania, tylko uśmiechał się i podkręcał wąż.

— Feliksowi Moore nic się nie stanie — mówił stanowczo. — Tego gatunku ludziom nic nie grozi, nim nie spełnią swego zadania. A on je ma przed sobą — jeśli dopuści do tego pastor. A jeżeli nie, to nie chciałbym być w skórze pastora w dzień Sądu Ostatecznego — nie, już wolę swoją własną. Nie wolno krzyżować planów Wszechmogącego ani jeśli chodzi o nasze życie, ani o cudze. Czasem myślę, że to właśnie jest owym słynnym niewybaczalnym grzechem.

Mieszkańcy Carmody nawet się nie pytali, co stary Abel chce przez to powiedzieć. Już od

dawna nie zadawali takich zbędnych pytań. Kiedy ktoś większą część życia przeżył tak jak stary Abel, nie można się dziwić, że wygaduje niestworzone rzeczy. I w dodatku napomyka, że pastor Leonard, człowiek, który jest właściwie zbyt dobry, aby żyć, może mieć na sumieniu jakiś grzech — nie, naprawdę nie ma się co zastanawiać nad dziwacznymi wypowiedziami starego Abła. Pewnie, że gra na skrzypcach nie jest niczym złym i pastor Leonard jest nieco zbyt surowy dla wnuka. Ale z drugiej strony nie ma się co dziwić. Ten ojciec...

Feliks opuścił wreszcie skrzypce i z westchnieniem powrócił do kuchni starego Abła. Stary Abel uśmiechnął się posępnie — był to uśmiech człowieka, który wydobył się z rąk oprawców.

— To straszne. Straszna jest twoja muzyka — powiedział otrząsając się. — Nigdy czegoś podobnego nie słyszałem, a ty przecież od dziewiątego roku życia przestałeś się uczyć i grasz rzadko, tylko od czasu do czasu na tych moich starych skrzypkach. I pomyśleć, że improwizujesz. Czy twój dziadek nigdy nie zgodzi się, żebyś się uczył gry na skrzypcach?

Feliks potrząsnął głową.

— Na pewno nie, panie Ablu. Chce, żebym został kapłanem. Dobrze jest być kapłanem, ale to nie dla mnie.

— Są rozmaici kapłani. I każdy musi przemawiać do ludzi własnym językiem, inaczej niewiele są warcu — zauważył z namysłem stary Abel. — *Twoim* językiem jest muzyka. To dziwne, że twój dziadek sam tego nie widzi, a przecież jest to człowiek o bardzo szerokich horyzontach. Jest jedynym kapłanem, którego szanuję. To boży człowiek. I kocha cię, o tak, jesteś żrenicą jego oka.

— I ja go kocham — odpowiedział z uczuciem Feliks. — Kocham go tak bardzo, że choć okropnie nie chcę — spróbuję zostać kapłanem.

— A kim chciałbyś zostać?

— Wielkim skrzypkiem — odpowiedziało bez namysłu dziecko, a jego biała buzia zarumieniła się jak róża. — Chcę grać dla tysięcy ludzi, żeby ich oczy tak wyglądały jak pana oczy, kiedy dla pana gram. Czasem przerażają mnie, ale to cudowne przerażenie! Gdybym miał skrzypce ojca, grałbym lepiej. Kiedyś powiedział mi, że mają one duszę, która cierpi czyścicowe męki za grzechy popełnione na ziemi. Nie wiem, co chciał przez to powiedzieć, ale zawsze wydawało mi się, że jego skrzypce żyją. Nauczył mnie grać, kiedy tylko mogłem utrzymać je w rękach.

— Kochałeś ojca? — spytał z ciekawością stary Abel.

Feliks znów się zarumienił, ale spojrzał staremu przyjacielowi prosto w oczy.

— Nie — odparł. — Nie kochałem, ale wydaje mi się, że nie powinien pan mnie o to pytać.

Z kolei zarumienił się stary Abel. Mieszkańcy Carmody nigdy nie uwierzyliby, że zdolny jest się rumienić, i rzeczywiście prawdopodobnie nikt poza tym szarookim dzieckiem patrzącym na niego z wymówką nie mógłby go przyprowadzić o rumieniec.

— Nie powinienem — zgodził się. — Ale ja zawsze błądzę. Całe życie błądziłem i dlatego dziś dla mieszkańców Carmody jestem tylko starym Ablem. Poza tobą i twoim dziadkiem nikt nie nazywa mnie panem Blairem. A przecież szanowany i zamożny sklepikarz William Blair nie był za młodu ani w połowie tak zdolny jak ja, możesz mi nie wierzyć, ale to święta prawda. A co gorsze, Feliksie, najczęściej jest mi zupełnie obojętne, czy jestem panem Blairem, czy starym Ablem. Zaczyna mnie to obchodzić tylko wtedy, kiedy grasz na skrzypcach. Czuję się wówczas tak, jak poczułem się kiedyś, gdy spojrzała na mnie pewna mała dziewczynka, Ania Shirley z Avonlea. Zaczęliśmy rozmawiać w sklepie Blaira. Ta mała mogła każdego przyprowadzić o zawrót głowy. Powiedziałem o czymś, że nie ma to już większego znaczenia dla takiego starego grzyba jak ja. Spojrzała na mnie wielkimi oczami z niemą wymówką, jakbym powiedział coś strasznego. „Czy nie sądzi pan, panie Blair, że im

jesteśmy starsi, tym bardziej *wszystko* powinno nabierać dla nas znaczenia? — spytała mnie z taką powagą, jakby była stuletnią staruszką, a nie jedenastoletnią dziewczynką. — Teraz wszystko tyle dla mnie znaczy — oświadczyła, splatając, ot tak, ręce — a jestem pewna, że kiedy będę stara, będzie dla mnie znaczyło pięć razy więcej”. Patrzyła na mnie takim wzrokiem, że poczułem wstyd. No, ale nie będę ci tym zawracał głowy. Takie tam gładzenie starego nieszczęśnika. Co się stało ze skrzypcami twojego ojca?

— Dziadek zabrał mi je, kiedy tu przyjechałem. Boję się, że je spalił. A tak za mmi tęsknię.

— Zawsze możesz tu przyjść i grać na moich.

— Wiem. I podtrzymuje mnie to na duchu. Ale cały czas chciałbym grać. A przychodzę tu tylko wtedy, kiedy już nie mogę wytrzymać. Bo czuję, że wcale nie powinienem przychodzić — zawsze sobie obiecuję, że więcej tego nie zrobię, bo wiem, że dziadka bardzo by to rozgniewało.

— Przecież ci nigdy nie zabronił?

— Nie, bo nie wie, że przychodzę tu po to, by grać na skrzypcach. Nie przyszło mu to na myśl. Jestem pewien, że gdyby wiedział, to by mi zabronił. Więc jest mi głupio. Ale *muszę* przychodzić. Pan tego nie wie, panie Blair, ale dziadek nie chce, żebym grał na skrzypcach. Nie rozumiem tego, bo lubi muzykę i nie ma nic przeciwko temu, żebym po odrobieniu lekcji grał na organach. Czy pan to rozumie?

— Chyba tak, ale ci nie powiem. Bo to nie moja tajemnica. Któregoś dnia powie ci pewnie sam. Ale ma swoje powody. Wiedząc to, co wiem, nie mogę mu brać tego za złe, choć uważam, że nie ma racji. No, zagraj mi coś jeszcze przed odejściem, ale tym razem coś pogodnego. Ta melodia, którą zagrałeś przedtem, uniosła mnie prosto do nieba, ale piekło jest potwornie blisko nieba i na koniec strąciłeś mnie do piekła.

— Nie rozumiem tego — oświadczył Feliks marszcząc z namysłem brwi.

— Nie rozumiesz i nie powinienes rozumieć. Zrozumiałbyś tylko wówczas, gdybyś był starcem, który mógł czegoś dokonać i stać się *prawdziwym* człowiekiem, a dał się opętać diabłowi i został starym głupcem. Ale jest w tobie coś, co rozumie wszystko, bo inaczej nie potrafiłbyś tego wyrazić swoją muzyką. *Jak* ty to robisz, Feliksie?

— Nie wiem. Ale dla każdego gram inaczej. Nie wiem, jak się to dzieje. Kiedy jestem tu tylko z panem, gram inaczej, a inaczej grałem, kiedy przyszła posłuchać Janet — czułem się inaczej — nie byłem aż tak przejęty, ale czułem się i szczęśliwszy, i bardziej samotny. A tego dnia kiedy pojawiła się Jessie Blair, czułem się tak, jakbym chciał śmiać się i śpiewać — jakby moje skrzypce chciały się śmiać i śpiewać.

W zapadłych oczach starego Abła pojawił się złoty błysk.

— Święty Boże — szepnął pod nosem. — Ten chłopiec wdziera się w dusze innych ludzi i wygrywa to, co w nich widzi!

— Co pan powiedział? — spytał Feliks głaszcząc skrzypce.

— Nic, nic — zagraj. Zagraj coś pogodnego. Przestań zaglądać do mojej duszy, bo ty, dziecko, nie masz tam nic do roboty, i zagraj mi coś własnego — jakąś czystą i słodką melodię.

— Zagram to, co odczuwam w słoneczny ranek, kiedy śpiewają ptaki, a ja zapominam, że mam zostać pastorem — powiedział Feliks.

Czarodziejska radosna melodia, pieśń ptaków i strumyków popłynęła ścieżką, na którą opadały złociste i purpurowe liście klonów. Nadchodzący tędy pastor Stefan Leonard usłyszał ją i uśmiechnął się. A kiedy Stefan Leonard uśmiechał się, podbiegały do niego dzieci, a dorośli czuli się tak, jakby z góry Pisga patrzyli na ziemię obiecaną wyzierającą zza utrapień i trosk życia codziennego.

Pastor Leonard kochał muzykę, kochał wszelkie piękno tak duchowego, jak materialnego świata i sam nie bardzo uświadamiał sobie, że wszystko to kocha aż tak dla samego piękna,

gdyż zawstydziliby się i poczuł wyrzuty sumienia. Sam zresztą był pięknym mężczyzną. Mimo siedemdziesiątki trzymał się prosto, miał młodzieńczą sylwetkę. Czar wyrazistej twarzy byłby niemal kobiecy, gdyby nie malowała się na niej siła i stanowczość. Ciemnoniebieskie oczy błyszczały jak u dwudziestolatka i nawet srebrne już włosy nie nasuwały myśli o starości. Uwielbiali go wszyscy, którzy go znali, a on na to uwielbienie zasługiwał.

„O, stary Abel zabawia się swymi skrzypkami — pomyślał. — Jaka cudowna melodia — on ma naprawdę talent. Ale jak ten stary rozpustnik, któremu nieobcy jest chyba żaden grzech, potrafi zagrać taką melodię? Zaledwie trzy dni temu — pierwszy raz od roku — znów się upił i leżał wśród psów na targowisku w Charlottetown. A teraz gra jak archanioł. Cóż, ułatwi mi to zadanie. Abel gdy zaczyna grać, skłonny bywa zwykle do skruchy.”

Pastor Leonard stanął na kamiennym schodku. Czarny psiak zerwał się, by go przywitać, szary kot otarł się o jego nogę. Stary Abel nie zauważył go. Z uśmiechem kiwał głową w takt muzyki, a z jego twarzy biło szczęście.

— Feliks! Co to ma znaczyć?

Skrzypce wysunęły się z rąk Feliksa i upadły na podłogę. Odwrócił się i spojrzał na dziadka. Zauważył w jego oczach rozpacz i poczuł mękę wyrzutów sumienia.

— Przepraszam, dziadku — wyjąkał.

— To moja wina, panie pastorze — stary Abel spróbował załagodzić sytuację. — Niech pan nie wini chłopca. To ja namówiłem go, żeby mi zagrał. Nie mogłem jeszcze dotknąć skrzypek — wie pan, po tym, co się stało w piątek. Więc go uprosiłem — nie dawałem mu spokoju, aż zagrał. To moja wina.

— Nie — zaprzeczył Feliks odrzucając do tyłu głowę. — Był blady jak ściana, ale jednocześnie zdawał się płonąć. Gardził kłamstwem Abla. — Nie, dziadku, pan Abel nic nie zawinił. Przyszedłem tu, żeby zagrać na skrzypkach, myślałem, że wybrałeś się nad zatokę. Od chwili, gdy zamieszkałem u ciebie, często tu przychodzę.

— Zatem odkąd u mnie mieszkasz, oszukujesz mnie?

W głosie pastora Leonarda nie brzmiał gniew, tylko bezbrzeżny smutek. Usta chłopca zadrżały.

— Wybacz mi, dziadku — szepnął błagalnie.

— Niech pan będzie sprawiedliwy, pastorze — wtrącił się gniewnie Abel. — Nigdy mu pan nie zabraniał tu przychodzić.

— *Jestem* sprawiedliwy. Feliks dobrze wie, że choć formalnie niczego mu nie zakazywałem, okazał najwyższy stopień nieposłuszeństwa. Prawda, Feliksie?

— Tak, dziadku. Wiem, że źle postąpiłem — cały czas o tym wiedziałem. Wybacz mi.

— Przebaczę ci, Feliksie, ale proszę, żebyś *tu i teraz* przyrzekł mi, że jak długo będziesz żył, nie weźmiesz skrzypiec do ręki.

Twarz chłopca spurpurowiała. Krzyknął tak, jakby ktoś go uderzył batem. Stary Abel zerwał się na nogi.

— Niech pan nie żąda od niego takiej obietnicy, pastorze Leonard — zawołał z gniewem. — To grzech. Człowieku, co pana zaślepilo? *Jest* pan ślepy! Nie widzi pan, co się kryje w tym chłopcu? Jego dusza przepełniona jest muzyką. Jeśli zabroni mu pan grać, stanie się to dla niego torturą, doprowadzi chłopca do śmierci lub czegoś gorszego od śmierci.

— W takiej muzyce kryje się szatan.

— Możliwe. Ale także i Chrystus — odpowiedział z powagą Abel. Pastor Leonard zgorszył się, uznał, że stary Abel bluźni. Odwrócił się od niego z oburzeniem.

— Feliksie, złóż mi solenną obietnicę.

Twarz miał dalej surową, głos nie złagodniał. Bezlitośnie wykorzystywał swą władzę nad kochającym go chłopcem. Feliks zrozumiał nie ma wyjścia, ale jego wargi zbieleły, gdy wyszeptał: — Obiecuję ci, dziadku. Pastor Leonard westchnął z ulgą. Wiedział, że tej

obietnicy chłopiec dotrzyma. Wiedział o tym także stary Abel. Podszedł i wziął skrzypce. Bez słowa, bez spojrzenia wyszedł z kuchni do sypialenki i zatrzasnął z oburzeniem drzwi. Ale z okna śledził ukradkiem oddalających się gości. Chłopiec podniósł rękę, oparł ją na ramieniu pastora i uśmiechnął się do mego. Spojrzeli na siebie z bezgraniczną miłością i ufnością — tak, było w tym spojrzeniu także i koleżeństwo. W pogardliwych oczach starego Abła znów pojawił się złoty błysk.

— Jak oni się kochają! — szepnął z zazdrością. — I jak się nawzajem torturują.

Po powrocie do domu pastor Leonard zamknął się w gabinecie, by odmówić modlitwy. Wiedział, że Feliks pobiegnie szukać pociechy u Janet Andrews, chudziutkiej drobnej kobieciny o miłym wyrazie twarzy i surowo zaciętych ustach, która prowadziła dom. Pastor wiedział, że Janet potępi jego postępek równie surowo, jak stary Abel. Nie powie słowa, ale przy kolacji będzie się na niego z wyrzutem patrzyć. Niemniej pastor Leonard wierzył, że postąpił, jak należało, i nie miał najłżejszych wyrzutów sumienia, czuł tylko lekki ból serca. Przed trzynastu laty omal nie złamała mu serca jego córka Małgosia wychodząc za mąż za człowieka, którego nie mógł zaaprobować. Marcin Moore był zawodowym skrzypkiem. Nie, nie był wielkim skrzypkiem, ale cieszył się powodzeniem. Spotkał złotowłosą wysmukłą pastorównę w Toronto, gdzie odwiedzała uniwersytecką przyjaciółkę, i z punktu się w niej zakochał. Małgosia odwzajemniła mu miłość i mimo protestów ojca wyszła za niego za mąż. Pastor Leonard nie miał zastrzeżeń do zawodu młodego człowieka, lecz do jego charakteru. Wiedział, że jego przeszłość nie była bynajmniej taka, jakiej można by oczekiwać od pretendenta do ręki Małgosi Leonard, i nie jest to człowiek, który może dać kobiecie dozgonne szczęście.

Małgosia w to nie wierzyła. Wyszła za Marcina Moore'a i przez pierwszy rok była szczęśliwa jak w raju. Może ten rok, no i narodziny synka okupiły następne trzy lata pełne goryczy. W każdym razie zmarła bez słowa skargi, do końca lojalna. Zmarła w samotności, gdyż mąż jej był akurat na koncertowym tournée, a choroba trwała tak krótko, że ojciec nie zdążył przyjechać. Jej ciało przewieziono do Carmody i pochowano na miejscowym cmentarzyku. Pastor chciał zabrać dziecko, ale Marcin Moore nie zgodził się go oddać.

W sześć lat później Marcin Moore zmarł i pragnienie pastora Leonarda mogło się spełnić — synek Małgosi pojawił się w jego domu. Pastor oczekiwał go z mieszanymi uczuciami. Całym sercem pragnął przybycia synka Małgosi, ale obawiał się, że zobaczy nowe wcielenie Marcina Moore'a. Jeśli synek Małgosi będzie podobny do swego przystojnego ojca — włóczęgi? Albo co gorsze, odziedziczy po nim brak zasad, chwiejność moralną i skłonność do cygańskiego życia? Pastor Leonard przeżywał męki.

Chłopiec nie był podobny do żadnego z rodziców. Pastor zobaczył twarz swej młodziankiej żony, która trzydzieści lat temu zmarła przy narodzinach Małgosi. Te same lśniące ciemnoszare oczy, karnacja przypominająca kość słoniową, pięknie sklepione czoło, ten sam wyraz oczu. I natychmiast starzec i dziecko pokochali się miłością, której nie dorówna miłość żadnej kobiety.

Feliks odziedziczył po ojcu tylko jego zamiłowanie do muzyki. Ojciec miał talent, dziecko było geniuszem. Wirtuozerię ojca wzbogaciła namiętna natura matki i subtelność babki. Moore zdawał sobie sprawę, że syn jego jest urodzonym skrzypkiem, i odkąd dziecko mogło utrzymać w ręczce smyczek, wtajemniczał je w misteria zawodu. Kiedy dziewięcioletni Feliks pojawił się na plebanii w Carmody, wiedział o skrzypcach tyle, ile większość skrzypków dowiaduje się pod koniec życia. Przywiózł ze sobą skrzypce ojca. Był to jedyny spadek po ojcu, ale były to skrzypce Amati, z których wartości nie zdawał sobie sprawy żaden z mieszkańców Carmody. Pastor natychmiast schował skrzypce i Feliks ich więcej nie zobaczył. Długo nie mógł odżałować ich straty i co wieczór usypiał z płaczem. Pastor o tym nie wiedział, a Janet Andrew pewnie domyślała się prawdy, ale trzymała język za zębami,



gdyż celowała w tej sztuce. Uważała, że „co to komu może szkodzić, że dziecko gra” i że pastor jest niezrozumiale surowy, ale biada temu, kto by się to ośmielił przy niej powiedzieć. Przymykała oczy na wizyty Feliksa u starego Abla, a jak radziła sobie ze swoim prezbiteriańskim sumieniem, nie wie nikt prócz niej samej.

Kiedy Janet usłyszała o obietnicy, którą pastor wymógł na Feliksie, zawrzała oburzeniem, ale jako że „znała swoje miejsce”, nie pisnęła słowa, okazywała jednak swoją dezaprobatę tak wyraźnie, że surowy, lecz wrażliwy pastor czuł chłód i wrogość atmosfery, która zapanowała na pogodnej dotąd plebanii.

Pastor z całego serca pragnął, by Feliks został kapłanem, tak jak by pragnął tego dla swego syna, gdyby go miał. Uważał słusznie, że najwyższym powołaniem człowieka jest służba bliźnim, zapominał tylko, że nie wolno pojmować tego tak wąsko.

Janet miała nadzieję, że pastor Leonard nie będzie wymagał od Feliksa spełnienia złożonej obietnicy, ale sam Feliks instynktownie rozumiał, że nie może mieć nadziei, by dziadek zmienił zdanie. I starał się dotrzymać obietnicy w najszerszym sensie tego słowa. Przestał odwiedzać starego Abla i choć to nie było zabronione, nie grał na organach, gdyż dźwięk każdej muzyki wywoływał ekstazę, która namiętnie szukała ujścia. Z ponurą zawziętością oddał się nauce łaciny i greki i wkrótce stał się prymusem.

W ciągu długiej zimy tylko raz bliski był złamania obietnicy. Któregoś wieczoru, kiedy w marcowych chłodach pojawiła się już zapowiedź kwietnia i pod śniegiem zaczęła pulsować wiosna, wracał samotnie ze szkoły. Kiedy schodził do dolinki, przed plebanią powitała go wdzięczna melodia. To mały czarnooki francuski chłopiec grał na ustnej harmonijce siedząc na płotku nad strumykiem, ale ten obdarty malec był muzykalny i Feliks usłyszał *muzykę*. Przeniknęła go od stóp do głów i kiedy Leon z zapraszającym uśmiechem podał mu harmonijkę, chwycił ją tak, jak głodny rzuca się na chleb.

Ale podnosząc ją do ust zatrzymał się. Co prawda obiecał, że nie dotknie tylko skrzypiec, ale czuł, że jeśli w najmniejszej mierze ulegnie żądzy grania, porwie go ona bez reszty. Jeśli zagra na harmonijce Leona Buote, to pobiegnie potem do starego Abla — wiedział o tym. Ku przerażeniu Leona rzucił harmonijkę i zaczął biec, jakby go ścigano. Na jego chłopięcej twarzy pojawił się wyraz, który przeraził Leona, a potem przeraził Janet Andrews, kiedy Feliks wpadł do sieni plebanii.

— Co ci się stało?! — zawołała. — Jesteś chory? Coś cię przeraziło?

— Nie, nie. Daj mi spokój, Janet — wykrztusił Feliks pędząc po schodach do swojego pokoiku.

Kiedy w godzinę później zszedł na podwieczorek, był już opanowany, ale bledziutki i miał podkrążone oczy.

Pastor przyjrzał mu się z niepokojem; przyszło mu nagle na myśl, że Feliks tej wiosny wygląda jeszcze bardziej wątło. Cóż, całą zimę pilnie się uczył i szybko rośnie. Podczas wakacji trzeba go będzie wysłać na odpoczynek.

— Powiadają, że Naomi Clark jest ciężko chora — oznajmiła Janet. — Całą zimę kwękała, a teraz nie wstaje już z łóżka. Pani Murphy mówi, że ta kobieta umiera, ale nikt nie śmie jej tego powiedzieć. Nie chce się przyznać do choroby ani brać lekarstw. A ma przy sobie tylko „tego przygłupka”, Maggie Peterson.

— Może powinienem do niej pójść — powiedział z wahaniem pastor.

— A na co się to zda? I tak pana nie wpuści, zatrzaśnie drzwi przed nosem, tak jak przedtem. To zła kobieta, ale strach pomyśleć, że leży tam chora i nikt się nią nie zajmuje.

— Naomi Clark jest złą kobietą i prowadzi rozwiązłe życie, ale ja ją lubię — zauważył Feliks zamyślonym, poważnym tonem, którym wygłaszał czasem nieoczekiwane sentencje.

Pastor spojrzał na Janet z wymówką, jakby chcąc ją spytać, skąd Feliks oddany jej opiece zdobył „podobne wiadomości, a Janet odwzajemniła mu się ostrym spojrzeniem, które miało

oznaczać, że Feliks chodzi przecież do szkoły i ona nie może odpowiadać za to, czego się tam uczy prócz łaciny i matematyki.

— Skąd o niej tyle wiesz, żeby ją lubić czy nie lubić? — spytała z ciekawością. — Znasz ją?

— Tak — odparł Feliks zjadając się wiśniowymi konfiturami. — W lecie byłem kiedyś w Świerkowej Zatoczce, kiedy zaczęła się burza. Pobiegłem schronić się w chatce Naomi. Zastukałem, ale nikt nie odpowiedział i wszedłem, bo drzwi były otwarte. Naomi Clark stała przy oknie patrząc na chmury nad morzem. Spojrzała na mnie, ale nic nie powiedziała i dalej wpatrywała się w chmury. Nie chciałem usiąść bez zaproszenia, więc podszedłem do okna i patrzyłem wraz z nią. To był straszny widok — chmury były takie czarne, woda zielona, a między chmurami i wodą najdziwniejsze światło, ale było to wspaniałe. Chwilami patrzyłem na burzę, chwilami na twarz Naomi. Była tak samo straszna jak burza, ale nie mogłem oderwać od niej wzroku.

Kiedy burza ustała, dalej lało i Naomi usiadła, i zaczęła ze mną rozmawiać. Spytała mnie, kim jestem, powiedziałem jej, a wówczas poprosiła, żebym jej coś zagrał na skrzypcach — Feliks spojrzał ze skruchą na pastora — bo słyszała, że pięknie gram. Chciała, żebym zagrał jej coś skoczniejszego, i próbowałem. Ale nie mogłem. Zagrałem jakąś straszną melodię — ona grała się sama — jakby zaginęło coś najważniejszego i nie można było tego odnaleźć. Nie skończyłem jeszcze, kiedy Naomi podeszła do mnie, wydarła mi skrzypce i zaczęła kląć. I powiedziała: „Skąd ty, smarkaczu, o tym wiesz!” A potem wzięła mnie za ramię, aż zabolalo, i wyrzuciła mnie za drzwi na deszcz.

— Wstrętna baba! — z oburzeniem zawołała Janet.

— O nie, ona miała rację — odpowiedział spokojnie Feliks. — To mi się należało za tę melodię. Przecież ona nie wiedziała, że *musiałem* ją zagrać. Myślała, że zagrałem ją umyślnie.

— A coś ty grał, dziecko?

— Nie wiem — Feliks zadrżał. — To było straszne, straszne. Od tej melodii mogło pęknąć serce. Ale musiałem ją zagrać.

— Słowo daję, nie wiem, co ty wygadujesz — powiedziała oszołomiona Janet.

— Myślę, że zmienimy temat rozmowy — oświadczył pastor Leonard.

W miesiąc później w drzwiach plebanii pojawił się „ten przygłupek” Maggie i zażądała zobaczenia się z pastorem.

— Naomi chce, żeby pan przyszedł — wymamrotała. — Naomi przysłała po pana Maggie.

— Zaraz pójde — odpowiedział życzliwie pastor. — Czy bardzo jest chora?

— Kona — odparła Maggie szczerząc zęby. — Boi się piekła. Wie, że kona. Maggie jej powiedziała — nie wierzyła tym kobietom znad zatoki, a Maggie wierzy. Strasznie krzyczy.

Maggie znów zachichotała. Pastor Leonard poczuł litość i poprosił Janet, by dała biedaczce coś do zjedzenia. Ale Maggie pokręciła głową.

— Nie, nie, kaznodziejo! Maggie musi wracać do Naomi. Maggie powie, że kaznodzieja przyjdzie zbawić ją od piekła.

Wydała niesamowity okrzyk i pobiegła nad zatokę przez świerkowy las.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece — szepnęła Janet z pobożnym lękiem. — Wiedziałam, że ta dziewczucha jest przy głupia, ale nie przypuszczałam, że aż tak. Pójdzie tam pan?

— Oczywiście. Proszę Pana naszego, by dozwolił mi pomóc tej udręczonej duszy — oznajmił z przekonaniem pastor. Był człowiekiem, który nigdy nie cofał się przed tym, co uważał za swój obowiązek, rzadko jednak obowiązek był aż tak przykry, jak konieczność stawienia się przy śmiertelnym łożu Naomi Clark.

Ta kobieta od wielu lat była źródłem zarazy moralnej całego Carmody. Kiedy przybył tu jako młody pastor, usiłował przemówić jej do serca, ale Naomi wykpiła go. Po wielu próbach

musiał ją zostawić w spokoju.

Naomi jednak nie zawsze była wyrzutkiem społeczeństwa. Była kiedyś niewinną dziewczyną, odznaczała się jednak niezwykłą urodą, a wcześniej straciła matkę. Jej ojciec znany był ze swojej surowości i zapalczego charakteru. Kiedy Naomi popełniła fatalny błąd — zaufała fałszywej miłości, i została zdradzona i porzucona, ojciec przeklął ją i wygnał z domu.

Naomi schroniła się w opuszczonej chatce w Świerkowej Zatoczce. Gdyby jej dziecko żyło, ocaliłoby ją może przed najgorszym. Ale dziecko zmarło przy urodzeniu i wraz z nim znikła ostatnia szansa. Od tej pory znalazła się na drodze, która prowadzi prosto do piekła.

Niemniej w ciągu ostatnich pięciu lat Naomi sprawowała się niemal przykładnie. Kiedy zmarła Janet Peterson, jej niedorozwinięta córka, Maggie, znalazła się na świecie sama jak palec. Nikt nie wiedział, co z nią zrobić, nikt nie miał ochoty się nią zająć. Naomi Clark zabrała dziewczynkę do siebie. Mieszkańcy Carmody zaczęli szemrać, że nie jest ona odpowiednią opiekunką, ale nikt nie miał ochoty się w to wtrącać, poza pastorem, który wybrał się do Naomi, ale jak to określiła Janet, Naomi zatrasnęła mu drzwi przed nosem.

Niemniej od dnia, kiedy przygarnęła Maggie, Naomi przestała być Marią Magdaleną zatoki.

Kiedy pastor Leonard doszedł do Świerkowej Zatoczki, słońce już zachodziło i czerwonym welonem przysłaniało zatokę. W dali falowało fioletowe morze, a w słodkim chłodnym wiosennym powietrzu wibrował jęk syreny, pełen beznadziejnej tęsknoty. Niebo nad poblaskiem zachodzącego słońca zakwitło gwiazdami, na wschodzie wstawał księżyc, morze płonęło i lśniło srebrem, a mały stateczek wyglądał jak szalupa elfów prosto z bajki.

Pastor Leonard westchnął odrywając wzrok od bezgrzesznej urody morza i nieba i wszedł na próg chatki Naomi. Była to maleńka chatka, na dole jedna izba i stryżek, na którym zwykle sypiała, teraz jednak pod oknem kuchni stało łóżko, a na nim leżała Naomi. Nie było jeszcze ciemno, ale u wezłowania paliła się lampa, a druga stała w nogach łóżka. Naomi zawsze obawiała się ciemności.

Naomi rzucała się niespokojnie na nędznym posłaniu, a obok, na skrzynce, siedziała Maggie. Pastor Leonard nie widział Naomi od pięciu lat i przerażony był zmianą, jaka w niej zaszła. Wychudła, jej ostre rysy należały do gatunku tych, które z wiekiem jeszcze się wyostrajają i zaczynają przypominać rysy czarownicy, i choć Naomi Clark miała najwyżej sześćdziesiąt lat, wyglądała na sto. Siwe potargane warkoczki wiły się na poduszce, a ręce, które szarpały pościel, wyglądały jak szpony. Tylko oczy się nie zmieniły, były błękitne i błyszczące, a wyzierała z nich męka i strach, i błaganie o pomoc. Miękkie serce pastora omal nie zamarło ze zgrozy. Były to oczy osoby torturowanej, ściganej przez furie, oczy pełne niewymownego lęku.

Naomi usiadła i uczepiła się ramienia pastora.

— Pomoże mi pan? Potrafi mi pan pomóc? — jęknęła błagalnie. — Tak na pana czekałam. Bałam się, że umrę, nim pan przyjdzie, umrę i pójdę do piekła. Dopiero dziś dowiedziałam się, że umieram, tchórze bali się mi powiedzieć. Czy może mi pan dopomóc?

— Ja może nie potrafię, ale Pan Bóg potrafi — odpowiedział łagodnie pastor. Patrzył na ten oszalały strach i czuł się bezradny. Widział smutne agonie, niespokojne i zrozpaczone, ale nigdy ni przeżywał czegoś podobnego.

— Pan Bóg! — zawołała Naomi przenikliwym głosem. — Nie mogę prosić o pomoc Boga! Boję się piekła, ale jeszcze bardziej boję się Pana Boga. Sto razy wolę już pójść do piekła niż stanąć przed Bogiem, ja, która żyłam tak, jak żyłam. Żałuję, że tak żyłam, powiadam panu, zawsze tego żałowałam. Nikt mi nie uwierzy, ale nie było chwili, żebym nie czuła skruchy. Tylko znajdowałam się we władzy piekielnych mocy. Nie rozumie pan tego, nie potrafi pan zrozumieć. Ale zawsze, zawsze żałowałam.

— Wystarczy, że okażesz skruchę. Bóg wybaczy ci, gdy poprosisz go o wybaczenie.

— Nie. Nie wybaczy. Takich grzechów się nie wybacza. Ani nie będzie mógł, ani nie zechce.

— Będzie mógł i zechce. On jest Bogiem miłości, Naomi.

— Nie — powtórzyła z przekonaniem Naomi. — Nie jest Bogiem miłości. Dlatego się go boję. Nie, nie. Jest Bogiem sprawiedliwym i gniewnym i karząca jest jego ręka. Miłość! Nie ma miłości. Nigdy nie znalazłam jej na ziemi i nie wierzę, żebym znalazła u Boga.

— Naomi, Bóg kocha nas jak ojciec.

— Jak mój ojciec? — przykro było słuchać przenikliwego śmiechu Naomi.

Pastor zadrżał.

— Nie, nie. Jest dobrym, wyrozumiałym ojcem, Naomi, kocha cię tak, jak byś ty kochała swoje dzieciątko.

Naomi skuliła się i jęknęła.

— Chciałabym móc w to uwierzyć. Przestałabym się bać. Spraw, żebym w to uwierzyła. Jeśli sam wierzysz, że Bóg kocha nas i wybacza nam, na pewno potrafisz mnie o tym przekonać.

— Jezus Chrystus wybaczył Marii Magdalenie i kochał ją.

— Jezus Chrystus? Jego się nie boję. Tak, on zrozumiałby i wybaczył. Był pół człowiekiem. Ale ja się boję Boga!

— Jest jeden Bóg — powiedział bezradnie pastor. Wiedział, że trudno mu będzie przekonać o tym Naomi. Łoże śmierci nie jest najodpowiedniejszym miejscem na rozważanie zagadki Trójcy Świętej.

— Chrystus, Naomi, umarł za ciebie. Dźwigał twoje grzechy na krzyżu.

— Każdy dźwiga tylko własne grzechy — odpowiedziała zapalczywie Naomi. — Ja moje dźwigałam całe życie i będę dźwigała całą wieczność. W nic innego nie wierzę. Nie potrafię uwierzyć, że Bóg mógłby mi wybaczyć. Zrujnowałam życie wielu ludzi, zniszczyłam ich dusze. Łamałam serca i rozbijałam rodziny — jestem gorsza od morderczyni. Nie, nie, nie ma dla mnie nadziei! — Jej głos znów zamienił się w przenikliwy skrzek. — Czeka mnie piekło. Nie oba wian się ognia — boję się ciemności. Zawsze bałam się ciemności w ciemnościach czają się straszne myśli. Nikt mi nie może pomóc. Człowiek nie potrafi, a Boga zbytnio się obawiam.

Załamano ręce. Pastor Leonard chodził tam i z powrotem po izbie przeżywając najstraszliwszą rozterkę. Co mógłby zrobić? Co mógłby powiedzieć? Nie znajdował słów, które trafiłyby do duszy udręczonej kobiety. Spojrzał na jej zrozpaczoną twarz, spojrzął na kretynkę, która chichotała w nogach łóżka, spojrzął przez otwarte drzwi na odległą rozgwieżdżoną noc — i nawiedziło go przerażające uczucie bezradności. Nic nie może pomóc, nic. Nie zaznał jeszcze takiej goryczy.

— Na co się zda taki kapłan, który nie potrafi mi pomóc? — jęczała umierająca. — Módl się, módl się, módl się — zawodziła przenikliwym głosem.

Pastor padł na kolana. Nie wiedział, jakimi słowami ma się modlić. Nie pasowała tu żadna modlitwa. Piękne odwieczne formuły, które pocieszyły tyle cierpiących dusz, były dla Naomi pustym dźwiękiem. I Stefan Leonard wyszeptał w udręce najkrótszą i najszczerszą modlitwę, jaka kiedykolwiek pojawiła się na jego wargach.

— Boże Ojczy! Pomóż tej kobiecie. Przemów zrozumiałym dla niej językiem.

W drzwiach pojawiła się na moment śliczna dziecięca buzia. Nikt jej nie zauważył i dziecko cofnęło się szybko w mrok. Nagle Naomi opadła na poduszkę, usta jej zsiniały, twarz skurczyła się, oczy zapadły. Maggie zerwała się i, odepchnąwszy pastora, ze zdumiewającą zręcznością wsunęła do ust Naomi jakąś pastylkę. Pastor Leonard sądząc, że Naomi kona, podszedł bezradnie do drzwi.

Zobaczył drobną sylwetkę chłopca.

— To ty, Feliksie? — spytał zdumionym tonem,

— Tak, dziadku — Feliks wszedł na kamienny schodek. — Janet bała się, że w ciemnościach potkniesz się na tej wyboistej drodze i przysłała mnie z latarnią. Czekałem za przyłaskiem, ale pomyślałem sobie, że lepiej sprawdzę, czy długo tu jeszcze będziesz musiał zostać. Jeśli tak, to oddam ci latarnię i wrócę do Janet.

— Istotnie, tak będzie najlepiej. Nie wiadomo, jak długo to potrwa — odpowiedział pastor, uważając, że widok śmiertelnego łoża grzesznicy nie nadaje się dla oczu małego Feliksa.

— Czy rozmawia pan z wnukiem? — spytała nagle Naomi czystym i wyraźnym głosem. Atak minął. — Niech go pan tu przyprowadzi. Chcę go zobaczyć.

Pastor Leonard niechętnie zgodził się. Feliks stanął nad łóżkiem Naomi i spojrzał na nią ze współczuciem. Ale ona nie patrzyła na niego, patrzyła na stojącego za nim pastora.

— O mało co bym umarła — powiedziała tonem wymówki. — I byłabym teraz w piekle. Nie potrafił mi pan pomóc, nic mi po panu. Nie ma dla mnie nadziei, teraz jestem już tego pewna.

Zwróciła się do Feliksa.

— Zdejmij ze ściany skrzypce i zagraj mi — powiedziała rozkazująco. — Umieram i pójdę do piekła, i chcę o tym na chwilę zapomnieć. Zagraj coś, co odpędzi ode mnie te myśli, byle co. Zawsze lubiłam muzykę, tkwi w niej coś, czego nigdzie poza tym nie mogłam znaleźć.

Feliks spojrzał na dziadka. Ten skinął głową, że wstydu nie mógł wykrztusić słowa. Siedział oparłszy siwą głowę na rękach. Feliks zdjął ze ściany stare skrzypce i nastroił je; ileż to bezbożnych melodii grano na nich podczas rozpasanych hulanek. Pastor Leonard czuł, że zawiódł swą religię. Nie potrafił przekazać Naomi zawartej w niej otuchy.

Feliks miękko powiódł smyczkiem po strunach. Nie wiedział, co zagrać. Nagle napotkał płonący wzrok Naomi. Na twarzy chłopca pojawiło się natchnienie. Zaczął grać tak, jakby stał się powolnym instrumentem tajemnej mocy.

Izdebkę napełniła pogodna, słodka muzyka. Pastor Leonard zapomniał o swej zgryzocie i przysłuchiwał się ze zdumieniem. Nigdy nie słyszał podobnej melodii. Jak to dziecko potrafi grać. Spojrzał na Naomi i zadziwił się zmianą, jaka zaszła w jej twarzy. Zniknął strach i udreka, słuchała z zapartym tchem nie odrywając oczu od chłopca. Siedzącej u stóp łóżka niedorozwiniętej dziewczynie spływały z oczu łzy.

W tej dziwnej melodii rozbrzmiewała radość niewinnego pogodnego dzieciństwa, śmiech fał, nawoływanie wiatrów. Potem młodzieńcze nieokielznane marzenia i zachwyty młodzieńczej miłości pełnej bez granicznego oddania.

Melodia zmieniła się. Kryła się w niej męka powstrzymywanych łez, męka oszukanego serca. Pastor Leonard miał ochotę zatkać sobie uszy, by odgrodzić się od przejmującego smutku. Ale na twarzy umierającej malowała się dziwna ulga, jakby ukryte, nieme cierpienie znalazło wreszcie ujście.

Potem pojawiła się ponura obojętność rozpacz, gorzka buntu, lekkomyślne odcięcie się od wszelkiego dobra. W melodię wdarł się szatan. Pastor wzdrygnął się, a Maggie zaskowyczała jak przerażone zwierzątko.

I znów melodia się zmieniła. Męka i strach, i żal za grzechy, i prośba o wybaczenie. Pastorowi wydała się znajoma. Próbował przypomnieć sobie, gdzie ją słyszał, i nagle uprzytomnił sobie, że to samo czuł przed przyjściem Feliksa, wsłuchując się w majaczenia Naomi. Spojrzał na wnuka niemal z przerażeniem. Był świadkiem działania siły, której nie rozumiał. Czy krył się w niej Bóg, czy też szatan?

Melodia jeszcze raz się zmieniła. Teraz dźwięczało w niej jedno wielkie wybaczenie i wszystko rozumiejąca miłość. Kołysa chorą duszę, ukazywała światło i nadzieję. Pastor pozornie bez związku przypominał sobie biblijny werset: „Oto dom Boży, oto wrota niebieskie”. Feliks opuścił skrzypce i przysiadł znużony na stojącym przy łóżku krześle. Z jego twarzy znikło natchnienie, znów był tylko zmęczonym małym chłopcem. Ale Stefan

Leonard klęczał płacząc jak dziecko, a Naomi Clark leżała spokojnie, złożony ręce.

— Teraz rozumiem — szepnęła. — Przedtem tego nie widziałam, a to takie proste. Czuję, że Bóg jest Bogiem miłości. Wybacz wszystkim, nawet mnie. Bóg wie wszystko. Już się nie boję. Kocha mnie i wybacz mi, tak jak ja wybaczyłabym mojemu dziecku, choćby postąpiło jak najgorzej. Tak, mówił mi to pastor, a ja mu nie wierzyłam. A teraz *wiem*. To Bóg zesłał mi ciebie, chłopcze, żebyś mnie o tym przekonał.

Naomi Clark umarła w chwili, gdy na morzu pojawił się świt. Pastor Leonard podniósł się i podszedł do drzwi. Zatoka była szara i ponura, ale w dali słońce rozpraszało już białe mgły i zaczynała lśnić woda.

Rosnące na przylądku świerki zaczęły szeptać. Cały świat śpiewał o wiosnie, o zmartwychwstaniu i o życiu, a na martwej twarzy Naomi Clark malował się cudowny spokój.

Stary pastor i jego wnuczek wrócili do domu w milczeniu, którego żaden z nich nie chciał przerwać. Janet Andrews nakrzyczała na nich i podała wyśmienite śniadanie. Potem kazała im się obu położyć, ale pastor, uśmiechając się do niej, zaprotestował.

— Zaraz, Janet, za minutkę. Przedtem weź ten klucz, idź na strych, otwórz czarną komodę i przynieś mi to, co tam znajdziesz.

Kiedy Janet wyszła, zwrócił się do Feliksa.

— Feliksie, czy chcesz zostać muzykiem? Wybladła buzia chłopca zarumieniła się.

— Dziadku, och, dziadku!

— Będzie, jak zechcesz. Po tej nocy nie śmiem ci tego zabraniać. Masz moje błogosławieństwo i oby Bóg dodał ci siłę i kierował twoimi krokami. O czym innym dla ciebie marzyłem — ale widzę, że myliłem się. Stary Abel miał rację mówiąc, że w twoich skrzypcach mieszka Chrystus, nawet jeśli mieszka w nich szatan. Teraz to zrozumiałem.

Podszedł do Janet niosącej skrzypce. Feliks poznał je i zabiło mu serce. Pastor wziął je od Janet i wręczył Feliksowi.

— To skrzypce twojego ojca. Pamiętaj, żeby twoja muzyka nie służyła nigdy ciemnym mocom. Odpowiadasz za swój talent i będziesz zań odpowiadał przed Bogiem. Przemawiaj do świata własnym językiem muzyki, szczerze i uczciwie, a spełnisz moje najgorętsze nadzieje.

## MALEŃKA JOSCELYN

— Nie ma o czym mówić, ciociu Nan — oświadczyła zdecydowanie pani Williamowa Morrisonowa. Pani Williamowa Morrisonowa należała do osób niezwykle stanowczych. Kiedy taka osoba zapowie, że zabiera się do obierania kartofli na obiad, każdy wie, że nic go już od kartofli nie ocali. Co więcej, takie osoby tytułuje się zawsze pełnym imieniem i nazwiskiem. O Williamie Morrisie mówiono najczęściej: Billy, ale gdyby ktoś wspomniał o pani Billowej, nikt w Avonlea nie wiedziałby, o kogo chodzi.

— Ciocia sama powinna mieć więcej rozumu — ciągnęła pani Williamowa obierając zręcznie mocnymi, białymi palcami truskawki, nigdy bowiem nie siedziała beczynn timer. — Do Kensington jest dobrych dziesięć mil, więc o której by ciocia wróciła? Nie ma ciocia sił na taką wyprawę. Potem będzie ciocia przez miesiąc kwękać. I tak już ciocia tego lata ciągle słabuje.

Ciocia Nan westchnęła i drżącymi palcami pogłaskała szare kociątko wygodnie usadowione na jej kolanach. Rzeczywiście, sama najlepiej wiedziała, jaka jest słaba. Słodka ciocia Nan, nieśmiała, kruchotka, uginająca się pod brzemieniem swych siedemdziesięciu lat czuła w głębi duszy, że jest to już jej ostatnie lato na farmie Przylądka Mew. Ale dlatego właśnie musiała usłyszeć śpiew maleńkiej Joscelyn — potem już na wszystko będzie za późno. Więc chociaż ten jeden raz chciała usłyszeć maleńką Joscelyn, której głos zachwycał tysiące słuchaczy na szerokim świecie. Tak jak przed wielu laty zachwycał przez całe złociste lato ciocię Nan i wszystkich mieszkańców farmy Przylądka Mew.

— Wiem, Mario, że niewiele mam sił — powiedziała ciocia Nan z błaganierem w głosie. — Ale starczy mi ich na ten dzień. Naprawdę.

Mogłabym przecież zostać w Kensington na noc u rodziny Jerzego, więc się tak strasznie nie zmęczę. Bardzo chcę usłyszeć śpiew Joscelyn. Wiesz, jak ją kocham.

— Nigdy nie zrozumieim, czemu ciocia tak się rozplęwa nad tym dzieckiem — zawołała niecierpliwie pani Williamowa. — Była tu raptem jedno lato i jest dla cioci kimś zupełnie obcym.

— Ale jakie to było lato — szepnęła cicho ciocia Nan. — Wszyscy pokochaliśmy maleńką Joscelyn. Mieliśmy uczucie, że należy do nas. Promieniowała z niej miłość. Przypomina mi ją trochę ta mała Ania Shirley, którą Cuthbertowie przygarnęli na Zielone Wzgórze. Choć niby są zupełnie inne. Maleńka Joscelyn była śliczna.

— Czego nie da się powiedzieć o małej Shirley — zauważyła sarkastycznie pani Williamowa. — A jeśli język Joscelyn był w połowie tak długi jak język Ani Shirley, to dziwię się, że nie zagadała was na śmierć.

— Maleńka Joscelyn nie była gadułą. To było ciche, spokojne dziecko. Ale kiedy coś powiedziała, to człowiek długo pamiętał. Nigdy nie zapomnę maleńkiej Joscelyn.

Pani Williamowa wruszyła kształtnymi, pulchnymi ramionami.

— Ciociu Nan, to było piętnaście lat temu i Joscelyn nie jest już mała. Stała się sławną kobietą i na pewno już cioci nie pamięta.

— Joscelyn nie należała do gatunku ludzi, którzy zapominają — oznajmiła lojalnie ciocia Nan. — A zresztą chodzi o to, że *ja* jej nie zapomniałam. Mario, od lat marzę, żeby znów usłyszeć jej śpiew. Wydaje mi się, że przed śmiercią *muszę* jeszcze raz usłyszeć, jak Joscelyn śpiewa. Nigdy przedtem nie było okazji i na pewno taka okazja więcej się nie powtórzy. Proszę cię, namów Williama, żeby zabrał mnie do Kensington.

— Ciocia to zupełnie jak dziecko — oświadczyła pani Williamowa zabierając do spizarni miskę truskawek. — Ciocia wie, że my lepiej możemy ocenić, co jest dla cioci dobre. Nie ma ciocia dosyć sił na jazdę do Kensington, a nawet gdyby, to dobrze ciocia wie, że jutro po południu William nie może jechać do Kensington. Musi być na tym politycznym zebraniu w Nowych Mostach. Nie mogą bez niego obradować.

— Przecież do Kensington może mnie zawieźć Jordan — nalegała ciocia Nan z niezwykłym dla mej uporem.

— Nonsens! Nie może ciocia jechać do Kensington z najemnym chłopakiem. Niechże ciocia sięgnie po rozum do głowy. Czy William i ja nie jesteśmy dla cioci dobrzy? Nie dbamy o ciocię?

— Ależ tak, tak — szepnęła przeprasząc ciocię Nan.

— Zatem niech ciocia zaufa naszemu zdaniu. I przestanie mnie zanudzać tym koncertem. Idę teraz na pole zawołać Williama na podwieczorek. Niech ciocia uważa, żeby nie wykpiął czajnik i rzuć okiem na dziecko.

Pani Williamowa wybiegła z kuchni udając, że nie widzi, jak po zwiędłych policzkach ciotki spływają łzy. Ciocia Nan doprawdy dziecinnieje, myślała, idąc na pole. O byle co zaczyna płakać! Co pomysł — jechać na koncert do Kensington. Ciężko jest wytrzymać jej kaprysy! Pani Williamowa westchnęła z oburzeniem pełnym przeświadczenia o własnej słuszności.

Ciocia Nan została sama w kuchni i gorzko się rozpląkała, tak ja płaczą tylko ludzie starzy. Wydawało jej się, że nie potrafi tego znieść, że musi pojechać do Kensington. Ale wiedziała, że jej się to nie uda, gdyż tak postanowiła pani Williamowa. Na farmie Przylądka Mewi słowa pani Williamowej były święte.

— Co się stało mojej stareńkiej cioci Nan? — zawołał w drzwiach młody głos. Stał tam Jordan Sloane, a jego okrągła piegowata twarz wyrażała najwyższe współczucie, jakie może się malować na tak pucołowatej i tak piegowatej twarzy. Jordana Morrisonowie najęli na lato do pomocy w polu i uwielbiał on ciocię Nan.

— Och, Jordanie — łkała ciocia Nan, która wbrew opinii pani Williamowej nie uważała, że się „poniża”, zwierając najemnemu chłopcu. — Nie mogę pojechać do Kensington na koncert maleńkiej Joscelyn, Maria nie chce się zgodzić.

— Ładny klops — oświadczył Jordan. — Stara jędza — mruknął pod nosem za oddalającą się i niczego nieświadomą panią Williamową. Potem wszedł człapiąc i usiadł na kozetce koło cioci Nan.

— Niech ciocia tylko nie płacze — powiedział klepiąc ją po kruchym ramieniu wielką opaloną łapą. — Pochoruje nam się ciocia, a co my tu bez cioci zrobimy!

Ciocia Nan uśmiechnęła się blado.

— Niedługo już będziecie się musieli beze mnie obejść, Jordanie. Wkrótce odejdę. Nie, Jordanie, nie zaprzeczaj, ja *wiem*. Coś mi to wyraźnie mówi. Ale chętnie odejdę, bo strasznie jestem zmęczona, tylko tak bardzo chciałabym jeszcze przed śmiercią usłyszeć śpiew maleńkiej Joscelyn.

— Dlaczego ciocia tak o tym marzy? — spytał Jordan. — Przecież ona nie jest cioci krewną?

— Nie, ale jest mi droższa niż wielu krewnych. Maria uważa, że to głupota, ale ty byś tak nie uważał, gdybyś znał maleńką Joscelyn. Nawet Maria tak by nie uważała, gdyby ją znała. Piętnaście lat temu przyjechała tu na lato. Była wtedy trzynastoletnią dziewczynką i nie miała żadnych krewnych prócz starego wuja, który trzymał ją w szkole z internatem, latem wysyłał na wieś i w ogóle się nią nie zajmował. Dziecko było spragnione miłości i tu ją znalazło. William i jego bracia byli jeszcze mali i nie mieli siostry. Wszyscyśmy ją uwielbiali. Była taka słodka. I śliczna jak z obrazka, długie czarne jedwabiste loki, wielkie ciemne oczy i różowe policzki podobne do płatków dzikiej róży. A jak śpiewała! Ona naprawdę umiała śpiewać. Śpiewała bez przerwy, cały czas dźwięczał tu jej głosik. Wstrzymywałam oddech słuchając. Zawsze mówiła, że kiedyś będzie słynną śpiewaczką, i nigdy w to nie wątpiłam. Była urodzoną śpiewaczką. W niedzielne wieczory śpiewała dla nas hymny religijne. Och, Jordanie, jak sobie to przypominę, młodnieje moje stare serce. Maleńka Joscelyn była takim słodkim dzieckiem. Przez parę lat pisywała do mnie, ale teraz od dawna już nie mam od niej



wiadomości. Pewnie tak jak twierdzi Maria, zupełnie o mnie zapomniała. Ale ja jej nie zapomniałam i tak strasznie chcę ją zobaczyć. Jutro wieczorem będzie śpiewać na koncercie w Kensington. To jej przyjaciele organizują koncert, inaczej nigdy by się nie pojawiła w takiej zapadłej dziurze. To tylko szesnaście mil stąd — a ja nie mogę pojechać.

Jordan nie wiedział, co powiedzieć. Gdyby tylko miał własnego konia, zabrałby ciocię Nan do Kensington, choćby pani Williamowa miała się wściec. Inna sprawa, że to istotnie długa droga, a ciocia Nan tego lata jest jakaś marna...

— Długo już nie pożyje — westchnął Jordan wymykając się bocznymi drzwiami, kiedy od frontu pojawiła się zasapana pani Williamowa. — To najmilsza staruszka, jaką znam. Jak jej tu nie będzie, zaraz odejdę. Oj, chciałbym ci móc nagadać, ty podła wiedźmo!

Te ostatnie słowa odnosiły się do pani Williamowej, ale wygłoszone zostały ostrożnym szeptem. Jordan nie cierpiał pani Williamowej, ale należało się z nią liczyć. Bez troski potulny Billy Morrison robił wszystko, co nakazała mu żona.

Toteż ciocia Nan nie pojechała do Kensington posłuchać śpiewu maleńkiej Joscelyn. Nie pisała już na ten temat słowa, ale od tego wieczoru zaczęła szybko opadać na siłach. Pani Williamowa twierdziła, że to upały i że ciocia Nan za łatwo się poddaje. Ale ciocia Nan naprawdę nie miała sił, była strasznie zmęczona. Męczyło ją nawet szydełkowanie. Godzinami przesiadywała na bujanym fotelu, trzymając na kolanach szarego kociaka, i niewidzącymi oczyma patrzyła w okno. Często mówiła sama do siebie i zwykle mówiła o maleńkiej Joscelyn. Pani Williamowa oznajmiła mieszkańcom Avonlea, że ciocia Nan do szczętu zdzieciniała, a oznajmiła to z westchnieniem, które miało dać do zrozumienia, że jej, pani Williamowej, przypadł w udziale ciężki los.

Trzeba jednak oddać pani Williamowej sprawiedliwość. Nie była dla cioci Nan zła, a nawet, formalnie rzecz biorąc, była dobra. Skrupulatnie dbała o jej wygody i w obecności staruszki nigdy się nie uskarżała. Jeśli ciocia Nan wyczuwała oschłość, nigdy nie pisała o tym słówka.

Któregoś dnia, kiedy wzgórze Avonlea wyłocili się dojrzałym zbożem, ciocia Nan nie wstała z łóżka. Uskarżała się tylko na zmęczenie. Pani Williamowa oznajmiła mężowi, że gdyby to *ona* wylegiwała się w łóżku za każdym razem, kiedy czuje się zmęczona, ładnie by wyglądało gospodarstwo, niemniej przygotowała świetne śniadanie i zaniosiła je cioci Nan, która ledwie skosztowała smakołyków.

Po obiedzie Jordan wkradł się tylnymi schodami odwiedzić ciocię Nan. Leżała wpatrzona w blad różowe róże pnące się za oknami; kiedy zobaczyła Jordana, uśmiechnęła się.

— Te róże przypominają mi maleńką Joscelyn. Ona tak je lubiła. Gdybym tylko mogła ją zobaczyć. Maria twierdzi, że to dziecinada tak się upierać, ale ja, Jordanie, tak strasznie do niej tęsknię.

Jordan poczuł, że coś dławi go w gardle i zmiął w dłoniach poszarpany słomkowy kapelus. Cały dzień rozmyślał nad czymś i teraz podjął decyzję. Ale powiedział tylko:

— Ciociu Nan, wiem, że ciocia poczuje się lepiej.

— O tak, Jordanie. Wkrótce będzie mi lepiej — odparła ciocia Nan ze swoim zwykłym, pełnym słodczy uśmiechem. — Wiesz przecież, że mieszkańcy niebios chorób nie znają. Ale tak bym chciała zobaczyć przedtem maleńką Joscelyn.

Jordan wyszedł i pospiesznie zbiegł po schodach. Wetknął głowę do stajni, gdzie siedział Billy Morrison.

— Czy może mnie pan zwolnić na resztę dnia? Chciałbym pojechać do Kensington.

— Może być — zgodził się Billy. — Lepiej, żebyś wypuścił się teraz, przed żniwami. Masz tu ćwierć dolara, kup dla cioci Nan pomarańcze. Nie musisz meldować o tym w kwaterze głównej.

Billy Morrison powiedział to z najpoważniejszą miną, ale Jordan mrugnął do niego porozumiewawczo, chowając monetę w kieszeni.

— Jeśli mi się powiedzie, przywiozę jej coś, co ją bardziej ucieszy niż pomarańcze — szepnął lecąc na pastwisko. Jordan miał teraz własnego konia, kościstą szkapę, którą nazwał Danem. Choć pani Williamowa strasznie na to wydziwiała, Billy Morrison zgodził się, żeby koń pasł się na jego łące, jeśli Jordan będzie go używał w pracach na farmie. Jordan zaprzągnął Dana do gorszej bryczki, włożył niedzielne ubranie i ruszył w drogę. Po drodze jeszcze raz przeczytał wiadomość, którą poprzedniego dnia wyciął z *Gońca Charlottetown*.

„Słynna śpiewaczka Joscelyn Burnett wracając z turnee zawitała na kilka dni do Kensington. Gości na Bukowym Wzgórzu u państwa Bromley.”

— Może ją jeszcze dopadnę — szepnął Jordan.

Przyjechawszy do Kensington Jordan zaprowadził Dana do miejskiej stajni i spytał o drogę na Bukowe Wzgórze. Kiedy się tam znalazł, poczuł onieśmienie, gdyż był to imponujący dworek, stojący z dala od drogi, pośród szmaragdowej zieleni pięknie utrzymanego ogrodu.

— W głowie mi się chyba przewróciło, żeby dzwonić do frontowych drzwi i pytać o pannę Joscelyn Burnett — uśmiechnął się do siebie Jordan. — Kazał mi pójść od kuchni i pogadać z kucharką. Ale raz kozie śmierć, Jordanie Sloane. Naprzód marsz. Myśl o cioci Nan i nie daj się zastraszyć tymi wspaniałościami.

Na dzwonek pojawiła się zarozumiała pokojówka i kiedy spytał o pannę Burnett, spojrzała na niego z góry.

— Myślę, że jest zajęta — powiedziała krótko, mierząc wzrokiem jego źle ostrzyżone włosy i wiejskie ubranie. — Jaki ma pan do niej interes?

Odpowiedź pokojówki „wkurzyła” Jordana.

— Powiem jej, jak ją zobaczę — oświadczył. — Mam dla niej wiadomość od cioci Nan Morrison z Przylądka Mew w Avonlea. Tylko proszę się śpieszyć, bo nie mam czasu.

Arogancka pokojówka zdecydowała się okazać uprzejmość i poprosiła, by wszedł. Ale zostawiła go w hallu. Jordan rozejrzał się ze zdumieniem. Nigdy jeszcze nie był w takim domu. Hali był wspaniałą, a przez otwarte drzwi widział szereg pięknie urządzonych, „pałacowych” w jego pojęciu pokojów.

— Ojejku! Jak oni tu się ruszają, żeby niczego nie potracić! Ale oto pojawiła się Joscelyn Burnett i Jordan zapomniał o całym świecie. Czy ta wysoka piękna kobieta w jedwabnych szatach mogła być maleńką Joscelyn cioci Nan? Okrąglą i piegowatą twarz Jordana okrył ciemny rumieniec. Czuł, że nie potrafi wykrztusić słowa. Co on ma jej powiedzieć? Jak ma ją przekonać?

Joscelyn Burnett wpatrywała się w niego wielkimi ciemnymi oczyma, oczyma kobiety, która wiele cierpiała, wiele się nauczyła i odniosła trudne zwycięstwo.

— Przyszedł pan od cioci Nan? — spytała. — Tak się cieszę. Jak ona się miewa? Proszę wejść i wszystko mi o niej opowiedzieć.

Skierowała się ku jednemu z tych salonów z bajki, ale Jordan desperacko jej przerwał.

— Nie, nie, proszę pani. To nie dla mnie takie wspaniałości. Tak, proszę pani, ciocia Nan jest chora. Chyba umiera. I mówi o pani dzień i noc. Tęskni do pani i nie może odejść w spokoju nie zobaczywszy pani. Chciała jechać do Kensington na pani koncert, ale ta stara jędza — przepraszam za wyrażenie — pani Williamowa nie pozwoliła jej. Ona nic tylko o pani mówi. Proszę, niech pani pojedzie ze mną na farmę Przylądka Mew i się z nią zobaczy!

Joscelyn Burnett miała zakłopotaną minę. Nie zapomniała farmy ani cioci Nan, ale z biegiem lat pamięć zamglila się, tyle nowych wydarzeń wzbogaciło jej intensywne życie. Ale teraz wszystko wróciło,

z czułością przypomniała sobie spokój i urodę tamtego lata, i miłość słodkiej cioci Nan tak mądrej mądrością dnia powszedniego. Przez chwilę Joscelyn Burnett była znów tą samą spragnioną miłości dziewczynką, którą ciocia Nan przygarnęła do serca.

— Sama nie wiem — zaczęła się zastanawiać. — Gdyby pan przyszedł wcześniej... Ale wyjeżdżam pociągiem o pół do dwunastej wieczorem i muszę nim wyjechać, bo nie zdążę do

Montrealu na koncert. Ale muszę też zobaczyć ciocię Nan. Jak mogłam tak ją zaniedbać! Co zrobimy?

— Odwiozę panią z powrotem do Kensington. Zdąży pani na pociąg! — zawołał Jordan. — Nie ma takiej rzeczy, której bym nie zrobił dla cioci Nan. Tak, zdąży pani! Niech pani pomyśli, jak ona się ucieszy, kiedy panią zobaczy!

— Jadę — odpowiedziała wielka śpiewaczka.

Kiedy dojechali do farmy Przylądka Mew, zachodziło słońce. Nad świerkami za domem pojawił się złocisty łuk. Pani Williamowa doła w oborze krowy, dom stał pustką, tylko w kuchni spało dziecko, a w izdebce na górze leżała z szeroko otwartymi oczyma drobna stara kobieta.

— Tędy, proszę pani — pokazał Jordan, gratulując sobie w duchu, że droga jest wolna. — Zaprowadzę panią prosto do jej pokoju.

Na górze Joscelyn zapukała do pół otwartych drzwi i weszła. Nim zamknęła drzwi, Jordan usłyszał, jak ciocia Nan woła: — Joscelyn! Maleńka Joscelyn! — takim tonem, że znów poczuł skurecz gardła. Czując wdzięczność w sercu, zszedł po schodach i w kuchni natknął się na panią Williamowa.

— Jordanie Sloane, kim jest ta elegancka pani, którą przed chwilą przywiozłeś? I co z nią zrobiłeś?

— To panna Joscelyn Burnett — oznajmił z dumą. Oto nadeszła jego godzina triumfu nad panią Williamowa. — Pojechałem do Kensington i przywiozłem ją. Jest teraz u cioci Nan.

— Ojej — westchnęła bezradnie pani Williamowa. — A ja w fartuchu! Jordanie, zajmij się dzieckiem, muszę włożyć jedwabną czarną suknię. Mogłeś nas uprzedzić. Już sama nie wiem, kto bardziej zgłupiał, ciocia Nan czy ty!

Kiedy pani Williamowa wybiegła z kuchni, Jordan roześmiał się z satysfakcją.

Izdebka na pięterku rozgorzała zachodzącym słońcem i wielką radością. Joscelyn uklękła obok łóżka i objęła ciocię Nan, a rozpromieniona ciocia głaskała ją po kruczonych włosach.

— Maleńka Joscelyn, moja maleńka Joscelyn — szeptała. — To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Chyba to sen... Od razu ci poznałam. Nic się nie zmieniłaś. I jesteś słynną śpiewaczką. Zawsze wiedziałam, że nią zostaniesz. Zaśpiewasz dla mnie, prawda, kochanie? Zaśpiewasz mi tę pieśń, którą tak uwielbiają twoi słuchacze? Ty] o tym czytałam w gazetach, ale zapomniałam, jak się ona nazywa. Zaśpiewaj dla mnie, moja maleńka Joscelyn.

I Joscelyn stojąc przy łóżku cioci Nan zaśpiewała tę pieśń którą śpiewała w najslawniejszych salach koncertowych dla najbardziej dobranej publiczności, i zaśpiewała ją tak, jak nigdy dotąd. Ciocia Nan słuchała z najwyższą błogością i nawet pan Williamowa wstrzymała oddech, gdy cudowna melodia wypełniła stare domostwo.

— Och, moja maleńka Joscelyn — szepnęła z uniesieniem ciocia Nan.

Joscelyn znów przy niej uklękła i długo wspominały dawne dni. Omawiały kolejno wszystkie wydarzenia owego pamiętnego lataj Minione smutki i radości. Ciocia Nan była wreszcie szczęśliwa. A potem Joscelyn opowiedziała jej o swoim życiu najpierw pełnymi zmagani, a potem triumfów.

Kiedy do izdebki wkradła się przez okno księżycowa poświata, ciocia Nan podniosła rękę i dotknęła pochylonej głowy Joscelyn.

— Maleńka Joscelyn! — wyszeptała. — Tak bym chciała, żebyś mi jeszcze zaśpiewała. Pamiętasz, jak co niedziela śpiewałaś nam wieczorem hymny i ten mój ulubiony: „Osiadają piaski czasu”? Nigdy tego nie zapomniałam i tak bym chciała, kochanie, usłyszeć go jeszcze raz. Zaśpiewaj go dla mnie, maleńka Joscelyn.

Joscelyn wstała i podeszła do okna. Podniosła firankę i stojąc w księżycowej poświacie zaśpiewała ten wspaniały stary hymn. Z początku ciocia Nan rytmicznie uderzała ręką o kołdrę, ale kiedy Joscelyn doszła do wersetu „Łaska i sprawiedliwość”, złożyła ręce na piersi i uśmiechnęła się.

Skończywszy śpiewać Joscelyn podeszła do łóżka.

— Niestety muszę się już pożegnać, kochana ciociu Nan.

I zobaczyła, że ciocia Nan usnęła. Nie chciała jej budzić, ale odpięła od swej sukni purpurową różę i wsunęła między spracowane palce.

— Do widzenia, najmilsza mateczko — szepnęła.

Na dole spotkała panią Williamowa, wystrojoną w szeleszczące jedwabie, jej szeroka rumiana twarz rozpływała się w uśmiechach. Pani Williamowa nie wiedziała, jak przeproszać, i próbowała wprowadzić ją do bawialni, Joscelyn jednak przerwała jej chłodnym tonem:

— Dziękuję bardzo, pani Morrison, ale nie mogę dłużej zostać. Nie, dziękuję, niczego się nie napiję. Jordan musi mnie natychmiast odwieźć do Kensington. Przyjechałam tu tylko, by zobaczyć ciocię Nan.

— Musiała być zachwycona — zauważyła wylewnie pani Williamowa. — Od tygodni tylko o pani mówiła!

— Tak, ucieszyła się — powiedziała poważnym tonem Joscelyn. — I ja także byłam szczęśliwa, że mogę ją zobaczyć. Kocham ciocię Nan i wiele jej zawdzięczam. Nigdy, pani Morrison, nie spotkałam tak niesamolubnej i prawdziwie dobrej osoby.

— Kto by to pomyślał! — wykrzyknęła pani Williamowa zadziwiona zachwytemi wielkiej śpiewaczki nad potulną starą ciotką.

Jordan odwiózł Joscelyn do Kensington, a w izdebce na górze ciocia Nan spała z uśmiechem na twarzy i czerwoną różą Joscelyn w rękach. I tak zastała ją pani Williamowa przynosząc rano śniadanie. Blask słoneczny padł na poduszkę rozświetlając słodką twarz staruszki, srebrzyste włosy i zwiędłą różę. Ciocia Nan leżała uśmiechnięta i szczęśliwa, bo podczas śpiewu maleńkiej Joscelyn zapadła w sen, z którego nikt się nie budzi.

## JAK UDAŁO SIĘ ZDOBYĆ LUCYNĘ

Z okazji każdego ślubu któregoś z Penhallowów odbywał się zjazd rodzinny. Z najdalszych zakątków świata przybywali Penhallowowie z urodzenia, Penhallowowie przez małżeństwo i Penhallowowie z bocznych linii. Wszyscy pochodzili ze Wschodniego Grafton, a ich Mekką była Farma Penhallowów, gdzie mieszkał „stary” Jan.

Większość członków rodziny nie bardzo wiedziała, kto i jak jest z kim spokrewniony. Patrzono z podziwem na starego wuja Juliusza, który potrafił na poczekaniu wyjaśnić zawile tajniki wszelkich rodzinnych powiązań. Inni najczęściej zgadywali, a młodsza część rodziny w ogóle nie zaprzętała tym sobie głowy — kuzyn to kuzyn.

Tym razem wychodziła za mąż Alicja Penhallow, córka „młodego” Jana. Alicja była miłą dziewczyną, ale jej wesele stanowi tylko tło dla opowieści o Lucynie, nie musimy więc zamieszczać tu historii jej życia.

Po południu w dzień ślubu — Penhallowowie przestrzegali dobrego starego obyczaju, że ślub odbywa się wieczorem, a potem następuje wesele z tańcami — Farma Penhallowów pękała w szwach od gości, którzy przybyli tu na podwieczorek i odpoczywali przed wieczornym przyjęciem u „młodego” Jana. Wielu gości przejechało aż pięćdziesiąt mil. Młodzież zgromadziła się w sadzie, gdzie gawędziła i flirtowała. Na górze, w sypialni „starej” pani Janowej zasiadły wokół niej córki, by odbyć jakąś tajną naradę. „Stary” Jan wraz z synami i zięciami urzędował w saloniku, a w błękitnej bawialni trzy synowe oddawały się niewinnym rodzinnym plotkom. Siedzieli tam także Romney Penhallow i Lucyna.

Chudziutka pani Natanielowa Penhallow zajęła bujany fotel i grzała nogi przy ogniu na kominku, gdyż piękne jesienne popołudnie było chłodne, a Lucyna jak zwykle nie pozwalała zamknąć okna. I to właśnie pani Natanielowa z największym ożywieniem rozmawiała z pulchną panią Fryderykową, pani Jerzowa bowiem była wciąż jeszcze *nowa*. Dopiero rok temu została drugą żoną Jerzego Penhallowa. Więc tylko z rzadka wtrącała się do rozmowy i jej uwagi nie zawsze były na miejscu, a czasem mogły nawet brzmieć pikantnie dla kogoś, kto nie byłby Penhallowem.

Romney Penhallow siedział w kącie przysłuchując się paplaninie kobiet, a na jego ustach widniał niezbadany uśmiezek, który niepomrotnie drażnił panią Fryderykową. Pani Jerzowa zastanawiała się, czemu wybrał towarzystwo kobiet. Zastanawiała się także, gdzie go umieścić na genealogicznym drzewie rodziny. Nie był stryjem i nie mógł być dużo młodszy od Jerzego.

„Musi mieć czterdziestkę — zawyrokowała w myśli pani Jerzowa. — Ale to bardzo przystojny i interesujący pan. Nigdy nie widziałam takiej pięknej brody z dołeczkiem.”

Lucyna o włosach koloru brązu i najbielszej z białych cerze, nie zważając na blask słońca i chłód powietrza siedziała na parapecie otwartego okna i poprzez purpurowe liście dzikiego wina patrzyła na ogród, gdzie falowały płomienne dalie i białe astry. Jej kasztanowe włosy lśniły złościście w słońcu, które podkreślało czystość greckich rysów.

Pani Jerzowa wiedziała, że Lucyna jest kuzynką z bocznej linii i mimo skończonych trzydziestu pięciu lat uchodzi za największą piękność rodzinną.

Lucyna była jedną z tych kobiet, których uroda nie podlega działaniu czasu. Dojrzewa, ale nie widać oznak starzenia się. Starsi Penhallowowie z przyzwyczajenia patrzyli na nią jak na młodą dziewczynę, a młodszy traktowali ją jak rówieśnicę, choć Lucyna nie udawała młodego dziewczęcia. Chroniło ją przed tym poczucie humoru i dobry smak. Była po prostu piękną kobietą, po której nie widać upływu czasu.

Pani Jerzowa podziwiała Lucynę i ją lubiła. A kiedy pani Jerzowa kogoś lubiła i podziwiała, musiała koniecznie podzielić się swymi uczuciami. Tym razem ofiarą padł Romney Penhallow.

— Prawda, że nasza Lucyna ślicznie dziś wygląda?

Pytanie wydawało się niewinne i jak najbardziej stosowne. Biednej pani Jerzowej należy wybaczyć, że zaskoczyła ją odpowiedź. Romney wstał i złożył nieszcześnie wzgardliwy penhallowski ukłon.

— Nigdy nie ośmieliłbym się zaprzeczyć opinii damy, zwłaszcza że dotyczy ona innej damy — oświadczył wychodząc z błękitnej bawialni.

Przeżrana ironicznym tonem pani Jerzowa spojrzała na Lucynę. Lucyna odwróciła się tyłem i patrzyła na ogród, ale jej policzek i szyję oblał rumieniec. Pani Jerzowa spojrzała z kolei na szwagierki. Patrzyły na nią z wyrozumiałym rozbawieniem jak na niesforne dziecko. Pani Jerzowa upewniła się, że popełniła nietakt. Poczula, że i ona się rumieni. Jakiż to penhallowski szkielec potrafiła tak nieostrożnie? I czemuż to nie wolno jej było pochwalić urody Lucyny?

Pani Jerzowa była szczęśliwa, że zaproszenie na podwieczorek położyło kres tej niezręcznej sytuacji. Niemniej świadomość gafy oraz ciekawość pozbawiły ją apetytu. Zaraz po podwieczorku wywołała panią Fryderykowa do ogrodu i kiedy przechadzały się wśród dali, zapytała ją, czym przewiniła.

Pani Fryderykowa wybuchnęła śmiechem, który poważnie zagroził szwom jej odświeżonej brunatnej sukni.

— Moja droga Cecyljo, to było *naprawdę* śmieszne — powiedziała nieco protekcyjnym tonem.

— Dlaczego?! — wykrzyknęła pani Jerzowa, dotknięta śmiechem i tonem szwagierki. — Co ja takiego powiedziałam? I kim jest ten Romney Penhallow, do którego, jak się okazuje, nie należy odzywać?

— Romney jest jednym z Penhallowów z Charlottetown — zaczęłaś wyjaśniać pani Fryderykowa. — Jest tam adwokatem. To bliski kuzyny Lucyny i daleki Jerzego, a może odwrotnie? Jeśli chcesz wiedzieć dokładnie, musisz się spytać wuja Juliusza. Ja zawsze się myślę. Z Romneyem możesz rozmawiać, o czym chcesz, byle nie o Lucynie. Ty głupiątko! Jak mogłaś się go spytać, czy nie uważa, że Lucyna ślicznie wygląda! I to w jej obecności. Pomyślał oczywiście, że chcesz mu dokuczyć. Więc wpadł w furję.

— Ale *dlaczego!* — nalegała pani Jerzowa.

— Jerzy nic ci nie mówił?

— Nie — odpowiedziała niechętnie. — Jerzy od chwili naszego ślubu większość czasu spędza opowiadając mi najdziwniejsze rzeczy o swojej rodzinie, ale widocznie jeszcze do tego nie doszedł.

— To jest nasz słynny rodzinny romans. Lucyna i Romney są w sobie zakochani. Od piętnastu lat. I od piętnastu lat nie odzywają się do siebie.

— Coś takiego! — szepnęła pani Jerzowa, czując, że zabrakło jej słów. Czyżby w rodzinie Penhallowów na tym miały polegać zaloty? — Ale dlaczego?

— Bo przed piętnastu laty pokłócili się — wyjaśniała cierpliwie pani Fryderykowa. — Nikt nie wie o co, wiem tylko, że Lucyna nie miała racji, bo sama się do tego przyznała. Ale w pierwszym porywie złości oświadczyła Romneyowi, że do końca życia się do niego nie odezwie. A Romney odparł, że *on* na pewno nie przemówi do niej pierwszy — uznał, iż skoro przewiniła, powinna zrobić pierwszy krok. I od tego czasu nie rozmawiają. Wszyscy po kolei staraliśmy się ich pogodzić i nikomu się to nie udało. Nie wierzę, by Romney spojrzał kiedyś na inną kobietę, a Lucyna z całą pewnością nie pomyślała nawet o innym mężczyźnie. Nie wiem, czy zauważyłaś, że ona dalej nosi zaręczynowy pierścienek. I formalnie są ciągle zaręczeni. Romney oświadczył kiedyś, że jeśli Lucyna odezwie się do niego choćby słówkiem — może mu nawet nawymyślać — to on przeprosi ją zaraz za swój udział w sprzeczce, ale nie chce i nie może złamać danego słowa. Od lat już o tym nie wspominał, sądzą jednak, że nie zmienił zdania. W towarzystwie stara się zawsze znaleźć blisko niej, ale kiedy jest sama,

unika jej jak ognia. Przyszedł do bawialni, bo ona tam siedziała. Chyba już nie żywią do siebie żadnej urazy. Gdybyż ta Lucyna zechciała się do niego odezwać! Ale ona tego nie robi.

— A może jednak? — spytała pani Jerzowa.

Pani Fryderykova pokręciła przecząco głową.

— Teraz już nie. Zakrzepła w uporze. Duma nie pozwoli jej się odezwać. Mieliśmy nadzieję, że się w którymś momencie zapomni, i zastawialiśmy pułapki, ale nic z tego! Straszna szkoda. Są dla siebie stworzeni. Ile razy o tym pomyślę, wpadam w złość. Przecież zachowują się jak para dzieciaków. Ostatnio nauczyliśmy się nie Wspominać Romneyowi o Lucynie, nawet jeśli chodzi o coś zupełnie nieważnego. Zaraz się obraża.

— *Powinien* się do niej odezwać! — zapalczywie zawołała pani Jerzowa. — Choćby sto razy nie miała racji, on powinien się do niej odezwać.

— Ale tego nie robi. Ona też nie. Nie ma drugich takich uparciuchów. Odziedziczyli to po dziadku ze strony matki, po starym Abrahamie Gordonie. Penhallowowie nie są tacy uparci. Upór starego Abrahama stał się przysłowiowy. Jeśli raz coś powiedział, to się tego trzymał, choćby miały się zawalić niebiosa. I strasznie przeklinał — dorzuciła pani Fryderykova, pograżając się we wspomnieniach. — Za młodu spędził parę lat w kopalni i to mu zostało — mam na myśli zwyczaj przeklinania. Kiedy go słuchałaś, ścinało ci krew w żyłach! A przecież był dobrym i zacnym człowiekiem. Ale musiał kląć. Próbował przestać, równie dobrze mógłby próbować przestać oddychać. Cała rodzina się zamartwiała. Na szczęście nikt po nim tego nie odziedziczył. No, ale nie powinnyśmy źle mówić o nieboszczyku. Muszę iść i poprosić Mattie, żeby mnie uczesała. Nie mogę podnieść rąk, bo popękają mi rękawy. Cecylio, uważaj na przyszłość, żeby rozmawiając z Romneyem nie wymieniać imienia Lucyny.

— Piętnaście lat! — wyszeptła pani Jerzowa do dalii. — Pomyśleć tylko, że są od piętnastu lat zaręczeni i słówkiem się do siebie nie odezwali. Ach, ci Penhallowowie!

Tymczasem Lucyna nieświadoma, że w tym oto momencie pani Fryderykova znów opowiada historię jej życia, ubierała się na wesele. Lucynę wciąż jeszcze bawiło strojenie się na uroczyste okazje, wciąż bowiem mogła liczyć na życzliwość lustra. W dodatku miała nową sukienkę. A nowa suknia — w dodatku taka śliczna — była w jej życiu rzadkością, gdyż Lucyna należała do tej gałęzi rodziny, która stale borykała się z niedostatkiem. Lucyna i jej owdowiała matka były wręcz ubogie i nowa suknia stanowiła w jej życiu prawdziwe wydarzenie. Dostała ją od wuja — śliczną suknię z delikatnej tkaniny, jakiej nigdy nie ośmieliłaby się sobie sprawić.

Był to bladozielony woal, na jego tle jeszcze bardziej błyszcząły kasztanowe włosy i jaśniała przezroczyta cera. Skończywszy się ubierać Lucyna z przyjemnością przejrzała się w lustrze. Nie była próżna, ale uświadamiała sobie swoją urodę i chętnie patrzyła na swe odbicie w lustrze niczym na obraz, który wyszedł spod pędzla jakiegoś wielkiego malarza. Podniosła rękę i dotknęła czerwoną różą ust. Na palcu błysnął otrzymany od Romneya brylant.

Zauważyła, że kolor sukni pogłębia kolor jej oczu. Romney napisał kiedyś sonet, w którym porównał jej oczy do czarnych jagód!

Porównanie to może się wydawać niezbyt poetyczne, póki człowiek nie uprzytomni sobie, że dojrzałe czarne jagody w zależności od oświetlenia wydają się raz purpurowe, a raz fiołkowe.

— Całkiem nieźle wyglądasz — oświadczyła prawdziwa Lucyna Lucynie w lustrze. — Nikt by cię nie wziął za starą pannę... A jesteś nią. Kiedy piętnaście lat temu wybierałaś się za mąż, dzisiejsza oblubienica, Alicja, była pięcioletnim dzieckiem. Więc *jesteś* starą panną. I to z własnej winy, ty uparciuchu. Poprawiła tren sukni i włożyła rękawiczki. — Mam nadzieję, że uda mi się nie poplamieć sukni — zauważyła. — Przez najbliższy rok będę ją musiała wkładać na wszystkie okazje, a coś mi się wydaje, że ten materiał łatwo się plami.

Dzięki ci, Boże, że wuj Marek nie grzeszy przezornością! Co by to było, gdyby ofiarował mi coś praktycznego, jak by to na pewno zrobiła ciotka Emilia.

Gdy tylko pojawił się na niebie księżyc, wszyscy wyruszyli do domu „młodego” Jana.

Lucyna pojechała z kuzynem w drugiej linii, młodym Careyem Penhallowem. Wesele było niezwykle udane. Lucyna miała duże powodzenie. Śmiało można ją było uznać za królową balu, ale trochę się nudziła i była zadowolona, gdy goście zaczęli się rozchodzić.

„Nie umiem się już bawić — pomyślała z lekkim przerażeniem. — Pewnie się starzeję. Kiedy życie towarzyskie zaczyna kogoś nudzić, to najpewniejsza oznaka starości.”

W tym momencie wieczorem nieszczęsna pani Jerzowa popełniła następną gafę. Stała na werandzie, gdy podbiegł do niej Carey Penhallow.

— Powiedz Lucynie, że nie mogę jej odwieźć na Farmę. Marek i Cecylia Penhallowowie muszą być o drugiej w Jasnej Rzece, aby złapać ekspres. Lucyna łatwo znajdzie inną okazję.

W tej samej chwili zawołał żonę Jerzy Penhallow, który z trudem powstrzymywał wierzgającego konia. Pani Jerzowa wbiegła z powrotem do zatłoczonej sieni. Nikt z Penhallowów nie wie, komu przekazała tę wiadomość. Ale wysoka kasztanowłosa dziewczyna, która miała na sobie sukienkę z bladezielonej organdy — Ania Shirley z Avonlea — opowiadała następnego dnia Maryli Cuthbert i Małgorzacie Linde, że podbiegła do niej niska puciołowata kobieta otulona w różowy szal, chwyciła ją z tyłu za ramię i zawołała:

— Carey Penhallow nie może cię zabrać, mówi, żebyś sobie znalazła kogoś innego — i zniknęła, nim Ania rdążyła się ku niej odwrócić.

Toteż kiedy Lucyna wyszła na werandę, było tam pusto. Wszyscy Penhallowowie z Farmy już odjechali. Lucyna przekonała się o tym po bezowocnych poszukiwaniach i zrozumiała, że jeśli chce tej nocy wrócić na Farmę, musi pójść pieszo. Nie było już nikogo, kto mógłby ją *zabrać*.

Lucyna była wściekła. Niemilo jest pomyśleć, że wszyscy o tobie zapomnieli. A jeszcze mniej przyjemnie jest iść samej wyboistą drogą o pierwszej w nocy, w bladezielonej sukience z woalu. Lucyna nie była przygotowana na pieszą wyprawę. Miała na nogach wieczorowe pantofelki i tylko cieniutki szal na głowę.

„Będę wyglądać jak wariatka idąc po nocy w takim stroju” — pomyślała z gniewem.

Nie było rady, chyba że zwierzyłyby się ze swego kłopotu któremuś z obcych gości i poprosiła o odwiezienie do domu. Na to nie pozwalała jej duma, musiałaby się przyznać, że o niej zapomniano. Nie, pójdzie pieszo, ale nie drogą, gdzie przejeżdżający będą się na nią gapić. Pójdzie na skrót, przez pola, znała tę ścieżkę dobrze, choć od wielu lat tamtędy nie chodziła.

Wymknęła się z domu, okrążyła go trzymając się cienia ścian, przeszła przez trawnik i odszukała furtkę, za którą zaczynała się alejka wysadzana brzożami rozsrebrzonymi światłem księżycy. Lucyna niemal biegła i z każdym krokiem wzbierała w niej wściekłość. Sądziła, że o niej zapomniano, a to było gorsze niż umyślny afront.

Kiedy doszła do furtki na drugim końcu alejki, stojący tam mężczyzna wyprostował się i głośno odetchnął — każdy poza Romneyem Penhallowem wykrzyknąłby w tej chwili ze zdziwienia, a gdyby nie chodziło o Lucynę, zrobiłby to nawet sam Romney.

Lucyna rozpoznała go z pewną ulgą, ale jeszcze większym gniewem. Zatem nie pomaszeruje do domu samotnie. Ale Romney Penhallow? Czy aby nie pomyśli, że szukała jego towarzystwa?

Romney milcząc otworzył przed nią furtkę, potem milcząc zamknął i milcząc ruszył u jej boku. Szli aksamitnym polem, powietrze było rześkie i spokojne, a zamglona poświata księżycy zamieniała prozaiczne pola Wschodniego Grafton w świat z bajki.

Z początku Lucyna czuła wzrastający gniew. Ta sytuacja ośmieszała ją. Penhallowowie będą mieć nowy temat do żartów.



Także i Romney był wściekły, że los wyplątał mu aż tak złośliwego psikusa. Podobnie jak każdy mężczyzna nie cierpiał niezręcznych sytuacji, a odprowadzanie w księżycową noc do domu kobiety, którą kochał i z którą od piętnastu lat nie rozmawiał, zakrawało na ironię mściwego przeznaczenia. Czy ona przypadkiem nie pomyśli, że na nią czatował? I jak się to mogło stać, że samotnie wyruszyła w drogę powrotną?

Kiedy minęli pole i znaleźli się na drodze obramowanej dzikimi wiśniami, poczucie humoru Lucyny zwyciężyło gniew. Uśmiechnęła się nawet złośliwie, przysłaniając twarz szalem.

Droga wyglądała jak zaczarowana — długa wysrebrzona kolumnada, gdzie powinny płaszać leśne nimfy. Blask księżycy przedzierając się przez łuki gałęzi kładł na ziemi srebrzystą mozaikę, po której kroczyli obrażeni na siebie zakochani. Z obu stron czaił się mrok lasu i otaczała ich wielka cisza.

W pół drogi Lucynę nawiedziły sentymentalne wspomnienia. Przypomniała sobie, jak wracała tędy z Romneyem po jakimś przyjęciu u „młodego” Jana. Wtedy też świecił księżyc, a oni — Lucyna miała ochotę westchnąć — szli trzymając się za ręce. A pod tym wielkim bukiem Romney przystanął i pocałował ją. Lucyna zastanawiała się, czy on także o tym myśli, i spojrzała na niego ukradkiem. Ale on szedł zamaszystym krokiem, ponury, z rękami w kieszeniach, w nasuniętym na oczy kapeluszu i nawet nie spojrzał na buk. Lucyna znów z trudem powstrzymała się, by nie westchnąć, jeszcze szczerzej otuliła się szalem i przyspieszyła, żeby dotrzymać mu kroku.

Za drogą wysrebrzone ścierniska prowadziły nad strumień Piotra Penhallowa — szeroki, płytki strumień, gdzie dawniej służył za kładkę omszały pień. Kiedy Lucyna i Romney doszli do strumienia, bezradnie spojrzeli na szumiącą wodę. Lucyna omal nie krzyknęła, w ostatniej chwili przypomniała sobie, że przy Romneyu nie wolno jej się odezwać. Pnia nie było! Nie było żadnej kładki.

Oto prawdziwy kłopot. Ale gdy Lucyna dopiero zastanawiała się, co zrobić, Romney ruszył do czynu. Spokojnie podniósł Lucynę tak, jakby była dzieckiem, a nie dorosłą kobietą, co prawda nie otyla, skądże, ale bynajmniej nie wiotką, i wszedł z nią do wody.

Lucyna bezradnie westchnęła. Nie mogła się odezwać, by zaprotestować, a zresztą była tak wściekła, że słowa uwięzłyby jej w gardle. I wtedy zdarzyła się katastrofa. Romney pośliznął się na kamieniu — rozległ się plusk i oboje usiedli na dnie strumienia Piotra Penhallowa.

Pierwsza zerwała się Lucyna. Oblepiał ją woal zniszczonej sukni. Uświadomiła sobie ogrom krzywd, które ją tej nocy spotkały, i oczy zabłyśły jej złością.

— *Ty przekłety, bezczelny idioto!* — zawołała drżącym z wściekłości głosem.

Romney potulnie wyszedł za nią na brzeg.

— Ogromnie cię przepraszam, Lucyno — powiedział usiłując stłumić śmiech. — Straszny ze mnie niezgrabiasz, ale kamień obsunął mi się spod nogi. — Proszę cię, wybacz mi to, wybacz mi wszystko.

Lucyna nie próbowała odpowiedzieć. Stała na płaskim kamieniu i wyciskała wodę z biednej zielonej sukienki. Romney przyglądał się jej niespokojnie.

— Lucyno, pospiesz się — poprosił. — Zmarzniesz na śmierć.

— Jak wiesz, ja się nigdy nie przeziębiam — odpowiedziała Lucyna szczękając zębami. — Chodzi mi — chodziło mi o suknię. To raczej ty musisz się spieszyć. Aż ociekasz wodą, a ty masz skłonność do przeziębień. No, ruszamy.

Lucyna chwyciła do ręki ociekający wodą tren i ostrym krokiem ruszyła przez pola. Romney podszedł do niej i tak jak kiedyś wziął ją pod ramię. Przez chwilę szli w milczeniu. Potem Lucyna zaczęła się trząść z tłumionego śmiechu. Śmiała się tak przez całą drogę i dopiero przy płocie między posiadłością Piotra Penhallowa a terenami Farmy przystanęła, odsunęła szal z twarzy i spojrzała wyzywająco na Romneya.

— Ty o tym myślisz — zawołała — i ja o tym myślę. I do końca życia będziemy o *tym* od

czasu do czasu myśleć. Ale jeśli kiedyś piśniesz na ten temat choćby słówkiem, to ci już nigdy nie wybaczę.

— Nie piśnę, nie piśnę — obiecał Romney. Tym razem w jego głosie wyraźnie dźwięczał śmiech, ale Lucyna udała, że tego nie słyszy. Nie odezwała się aż do furtki Farmy. I wtedy uroczyście zwróciła się do Romneya:

— To wina dziadka Gordona — oświadczyła. — Odezwały się we mnie atawistyczne skłonności.

Na Farmie niemal wszyscy już spali. Goście przybywali niewielkimi grupkami i zaraz szli do łóżek, nikt więc nie zauważył nieobecności Lucyny. Czuwały tylko pani Fryderykowa, pani Natanielowa i pani Jerzowa. Stale marznąca pani Natanielowa roznieciła ogień na kominku w błękitnej bawialni, by przed udaniem się na spoczynek rozgrzać nogi, i trzy kobiety ściszone tonem omawiały wesele. Nagle drzwi się otworzyły, pojawiła się w nich majestatyczna sylwetka Lucyny, majestatyczna nawet w zaszarganej sukni, a za nią przemoczony Romney.

— Lucyna Penhallow! — zawołały jak jeden mąż.

— Nikt nie pomyślał o odwiezieniu mnie do domu — oświadczyła spokojnie Lucyna. — Więc poszliśmy z Romneyem przez pola... Nie było na strumieniu kładki, Romney próbował mnie przenieść, poślizgnął się i wpadliśmy do wody. I to by było na tyle. Nie, Cecyljo, nie musisz się martwić, ja się nigdy nie przeziębiam. Tak, suknię muszę spisać na straty, ale nie ma to żadnego znaczenia. Nie, dziękuję Cecyljo, nie mam ochoty na nic gorącego. Romneyu, idź zdjąć natychmiast to mokre ubranie. Nie, Cecyljo, nie wymoczę nóg w gorącej wodzie. Idę prosto do łóżka. Dobranoc.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, trzy szwagierki spojrzały na siebie bezradnie. Pani Fryderykowa czując, że nie potrafi wyrazić, jakie to uczyniło na niej wrażenie, uciekła się do cytatu:

— *Sen to czy mara, oczom swym nie wierzę. Widzę—li rzeczywistość czy też urojenia?*

— Wkrótce będziemy mieć następne wesele w rodzinie — powiedziała zaczerpnąwszy oddechu pani Nathanielowa. — Lucyna przemówiła do Romneya!

— Jak myślicie, *co* ona mu powiedziała? — zawołała pani Jerzowa.

— Tego, moja kochana Cecyljo — oświadczyła pani Fryderykowa — na pewno nigdy się nie dowiemy.

I nigdy się nie dowiedziały.

## CÓRKA STAREGO SHAWA

— Już pojutrze, już pojutrze — powtarzał Stary Shaw zacierając szczupłe dłonie. — Muszę to sobie powtarzać w kółko, żeby móc uwierzyć. Znow zobaczę mój Kwiatusek, to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Tak, chyba wszystko jest gotowe, trzeba będzie tylko coś upichcić. Sad sprawi jej niespodziankę. Zaprowadzę ją tam zarazi nic jej nie mówiąc. Poprowadzę ją świerkową ścieżką, a kiedy dojdziemy do końca, pod jakimś pretekstem zawrócę, żeby sama wyszła z lasu, niczego nie podejrzewając. Już widzę, jak szeroko otwiera te swoje wielkie brunatne oczy, i słyszę, jak szepce: „Och, tato! Tato!” Sowiec mnie to wynagrodzi za cały trud.

Zataił znow ręce i cicho się do siebie roześmiał. Stary Shaw był wysokim przygarbionym mężczyzną z białymi jak śnieg włosami, ale rumianą młodą twarzą. Oczy były oczami chłopca, błękitne i roześmiane, uśmiechał się z byle powodu, a czasem i bez powodu.

Gdyby mieszkańców Białych Piasków spytać, co sądzą o Starym Shaw, odpowiedzieliby nie nazbyt przychylnie. Po pierwsze, oświadczyliby, że to „lekkoduch”, zaniedbał farmę, zajmował się kwiatkami i robaczkami albo włóczył po lasach i na brzegu morza czytał książki. Było to poniekąd prawdą, ale farma i tak dostarczała mu skromnych środków utrzymania, a niczego więcej nie pragnął. Był jak wędrowiec zdążający na zachód. Wiedział, a niewielu ludzi zgłębiło tę tajemnicę, że trzeba chwytać szczęście, kiedy się da, że nie można zaznaczyć miejsca, gdzie sieje dostrzegło, by wrócić tam w bardziej odpowiedniej chwili, gdyż gotowe przez ten czas zniknąć. Wcale nie tak trudno być szczęśliwym, jeżeli się potrafi, a Stary Shaw potrafił znajdować szczęście w drobiazgach życia codziennego, radował się nimi i uczył tego innych, jego życie zatem było życiem udanym, cokolwiek by o tym sądzili mieszkańcy Białych Piasków. Co z tego, że nie ulepszał” swojej farmy? Dla pewnych ludzi życie ogranicza się do warzywnego ogródka, inni patrzą na nie jak na królewski pałac.

Sad, który napawał go taką dumą, był zaledwie zapowiedzią sadu — plantacją młodziutkich drzewek. Dom Starego Shawa znajdował się na wzgórzu, rosło koło niego zaledwie parę starych jodeł i świerków, jedynych drzew wytrzymujących podmuchy nadmorskich wichrów. Ku wielkiemu zmartwieniu Sary nie dało się przy domu posadzić owocowych drzewek.

— Ach, tato, jak bym chciała, żebyśmy mieli sad! — powtarzała z żalem, kiedy inne farmy w Białych Piaskach tonęły w kwieciu jabłoni. Zatem po wyjeździe Sary ojciec jej postanowił, że kiedy wróci, będzie na nią czekał sad.

Na południowym zboczu, osłoniętym świerkowym lasem i wystawionym na słońce, było małe półko bardzo żyznej ziemi. To tutaj Stary Shaw zasadził sad i troskliwie się nim zajmował, znał każde drzewko i kochał je jak własne dziecko. Sąsiedzi wyśmiewali się z niego, twierdząc, że owoce z sadu położonego tak daleko od domu zostaną rozkradzione. Ale na razie owoców nie było, a potem miało ich być dużo.

— Dla Kwiatuszka i dla mnie wystarczy, nawet jeśli chłopcy będą woleć owoce od czystego sumienia — twierdził niepraktyczny Stary Shaw.

Wracając do domu z ukochanego sadu znalazł w lesie rzadką paproć i wykopał ją dla Sary — uwielbiała paprocie. Zasadził ją w cieniu domu i usiadł na ławce, aby jeszcze raz przeczytać jej ostatni list, bardzo króciutki, gdyż wiedziała, że niebawem będzie w domu. Znał każde słowo na pamięć, ale nie psuło mu to przyjemności czytania go co pół godziny.

Stary Shaw ożenił się późno i — według mieszkańców Białych Piasków — wybrał żonę ze zwykłym mu brakiem rozsądku — inaczej nigdy nie ożeniłby się z włątą dziewczyną o wielkich brunatnych oczach przerażonego leśnego zwierzątka.

— Na co farmerowi taka żona — ani to nie ma siły, ani energii. Zresztą mieszkańcy Białych Piasków nie rozumieli także, dlaczego Sara Glower wyszła za Starego Shawa.

— Głupich nie sieją, sami wschodzą!

Stary Shaw — już wówczas zwany był Starym Shawem, choć miał zaledwie czterdzieści lat — i jego młodziutka żona nie zaprzętała sobie głowy opinią Białych Piasków. Przez rok zaznali doskonałego szczęścia, a po to zawsze warto żyć, choćby reszta życia miała być samotną wędrówką. Później zaś Stary Shaw został sam z maleńkim Kwiatuszkiem. Córka otrzymała na chrzcie imię Sary po zmarłej matce, ale dla ojca stała się ukochanym Kwiatuszkiem.

Rodzina Sary Glower, a zwłaszcza jej bogata ciotka z Montrealu, chciała koniecznie zabrać dziecko, jednakże Stary Shaw niemal z wściekłością odrzucił tę propozycję. Nikomu nie odda córeczki! Przyjął gospodynię do prowadzenia domu, ale małą zajmował się sam, z czułością i zręcznością kobiety. Sarze nie brakowało nigdy troskliwości matki i wyrosła na śliczną, pełną życia dziewczynkę; wszyscy, którzy ją znali, radowali się jej obecnością. Przyozdabiała życie gwiazdami. Odziedziczyła po rodzicach wszystkie ich zalety, a w dodatku odznaczała się żywotnością i energią, której oni byli pozbawieni. Kiedy skończyła dziesięć lat, odprawiła gospodynię i sama prowadziła dom dla ojca przez sześć cudownych lat, kiedy byli zarówno ojcem i córką, jak bratem i siostrą, a wreszcie parą „koleżków”. Sara nie chodziła do szkoły, jej wykształceniem zajmował się ojciec. Po skończeniu zajęć gospodarskich włóczyli się po lasach i polach, przesiadywali w ogródku, który udało się założyć za domem, albo na brzegu morza zachwycając się zarówno słońcem, jak burzami. Trudno by było znaleźć parę lepszych przyjaciół.

— Nie widzą poza sobą świata — mówili mieszkańcy Białych Piasków z zazdrością, ale i z potępieniem.

Kiedy Sara skończyła szesnaście lat, pani Adair, wspomniana powyżej bogata ciotka, pojawiła się jak huragan, przynosząc powiew wielkiego świata, kultury i mody. Stary Shaw nie potrafił się oprzeć jej argumentom. To hańba, żeby taka dziewczyna jak Sara dorastała w Białych Piaskach „bez żadnego wykształcenia i żadnych perspektyw”, oświadczyła pogardliwie pani Adair, nie zdając sobie sprawy, że mądrość i wiedza to dwie zupełnie inne względy.

— Pozwól mi zrobić dla dziecka mojej drogiej siostry to, co zrobiłabym dla własnej córki, gdybym ją miała — błagała ze łzami w głosie. — Zabiorę ją do Montrealu i pošlę na parę lat do dobrej szkoły. Potem, jeżeli zechce, wróci tu do ciebie.

Pani Adair ani przez sekundę nie myślała, że po trzech latach wystawnego życia Sara zechce wrócić do Białych Piasków i zdziwaczałego ojca.

Stary Shaw uległ nie tyle łzom pani Adair, ile wewnętrznemu przekonaniu, że Sarze należy się wykształcenie. Sara bardzo nie chciała jechać, protestowała i błagała, ale ojciec raz doszedłszy do wniosku, że tak będzie dla niej najlepiej, nie uległ. Przecież wróci do niego bez przeszkód, kiedy skończy naukę. Tylko pod tym warunkiem Sara zgodziła się wyjechać. Kiedy odjeżdżała z ciotką, zawołała z płaczem:

— Wróć, tato. Wróć za trzy lata. Czekaj na mnie! Czekaj przez trzy długie samotne lata, podczas których ani razu nie zobaczył swego ukochania. Rozdzielało ich pół kontynentu, a pani Adair pod rozmaitymi pretekstami nie pozwalała Sarze przyjeżdżać na wakacje. Ale co tydzień przychodził list. Stary Shaw chował wszystkie listy, przewiązał je niebieską wstążką do włosów Sary i trzymał w bawialni, w szkatułce do szycia jej matki. Co niedziela odczytywał wszystkie listy patrząc na fotografię córki. Mieszkał sam, nie chciał się narażać na udrękę towarzystwa płatnej pomocy, ale utrzymywał dom w idealnym porządku.

— Lepsza z niego gospodyni niż farmer — orzekli mieszkańcy Białych Piasków. Uważał, żeby niczego nie zmieniać. Kiedy Sara wróci, nie powinny jej zmartwić żadne zmiany. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że to ona może się zmienić.

Teraz upłynęły już te nie kończące się lata i Sara miała wrócić do domu. Nie napisała mu nic o wymówkach, płaczu i błaganiach ciotki, napisała tylko, że w czerwcu otrzyma dyplom i

w tydzień później wyruszy do domu. Stary Shaw w błogim nastroju krzątał się szykując dom na przyjęcie córki. Teraz siedział w słońcu na ławce, patrzył na błękitne morze lśniące u stóp zielonego wzgórza i myślał z zadowoleniem, że wszystko już gotowe. Pozostawało tylko Uczyć godziny, nim nie nadejdzie piękne pojutrze. Oddał się słodkim marzeniom.

Zakwitły już czerwone róże. Sara uwielbiała te czerwone róże, tryskała z nich radość życia, ona także radowała się każdą chwilą. Co więcej, w ogródku Starego Shawa zdarzył się cud. W rogu rósł krzak różany, który mimo najczulszej pielęgnacji nigdy nie chciał zakwitnąć. Sara nazywała go „zagniewanym krzakiem”. Jednakże tej wiosny okrył się pięknymi białymi różami, które wyglądały jak czary z kości słoniowej i upojnie pachniały. „To na powitanie Sary” — myślał z przyjemnością Stary Shaw. Wszystko, nawet ten zagniewany krzak, oczekiwało powrotu Kwiatuszka.

Kiedy pojawiła się pani Piotrowa Blewett, Stary Shaw po raz któryś z rzędu napawał się liścikiem Sary. Pani Piotrowa oznajmiła, że przyszła spytać, czy może przyda się jej pomoc w przygotowaniach do przyjazdu Sary.

Stary Shaw pokręcił przecząco głową.

— Nie, dziękuję pani. Wszystko już gotowe. Gdzieżbym pozwolił, żeby ktoś inny sprzątał tu na powitanie mego Kwiatuszka. Niech pani tylko pomyśli — ona już pojutrze będzie w domu! Jestem taki szczęśliwy.

Pani Blewett kwaśno się uśmiechnęła. Kiedy pani Blewett uśmiechała się, należało oczekiwać najgorszego i co mądrzejsi ludzie brali nogi za pas, by zniknąć, nim uśmiech zamieni się w słowa. Ale Stary Shaw nigdy nie nauczył się, jak powinno się traktować panią Blewett, choć była jego najbliższą sąsiadką i zamęczała go dobrymi radami i „sąsiedzka pomocą”.

Z panią Blewett nie najlepiej obeszło się życie. I szczęście innych traktowała jak osobistą zniewagę. Urażona radością Starego Shawa, „uznała za swój obowiązek” otworzyć mu oczy.

— Myśli pan, że Sarze będzie się podobało w Białych Piaskach? — spytała.

Stary Shaw zdziwił się.

— No pewnie — odparł. — To jej dom. Wróci do domu i do mnie. Pani Blewett znów się uśmiechnęła z pogardą dla podobnej naiwności.

— Chwała Bogu, że pan tak uważa. Gdyby to *moja* córka miała wrócić do Białych Piasków po trzech latach spędzonych w wytwornej szkole i wśród wytwornych, bogatych ludzi, nie byłabym taka spokojna. Wiedziałabym, że będzie na wszystko patrzył z góry i wkrótce zacznie się tu nudzić i męczyć.

— Pani córka — tak! — zawołał Stary Shaw z ironią, o którą sam się dotąd nie podejrzewał. — Ale nie mój Kwiatuszek!

Pani Blewett wzruszyła spiczastymi ramionami.

— Może. Miejmy nadzieję. Ale gdybym była na pana miejscu, bardzo bym się martwiła, Sara przebywała w wielkim świecie, miała mnóstwo rozrywek, więc jasne, że teraz Białe Piaski wydadzą jej się odludną dziurą. Niech pan przypomni sobie Laurę Bradley. Zeszłej zimy spędziła miesiąc w Bostonie i odtąd wciąż uskarża się na Białe Piaski.

— Laura Bradley i Sara Shaw to dwie różne osoby — odparł ojciec Sary, próbując się uśmiechnąć.

— A w dodatku ten pański dom! — dorzuciła bezlitośnie pani Blewett. — Stara rudera! Jak się ona tu będzie czuła? Słyszałam, że pani Adair mieszka w prawdziwym pałacu. Ja tylko pana ostrzegam, żeby pan był przygotowany, że Sara będzie na pana patrzył z góry. Wraca, bo obiecała, ale pewna jestem, że nie ma na to najmniejszej ochoty, i wcale bym jej tego nie miała za złe.

Nawet pani Blewett musiała od czasu do czasu zaczerpnąć tchu i Stary Shaw skorzystał z okazji. Słuchał dotąd w oszołomieniu, kuląc się jak pod ciosami, ale nagle ocknął się. Jego błękitne oczy zabłyśły.

— Marto Blewett, powiedziałaś, co miałaś do powiedzenia, a teraz precz! — zawołał porywczo. — Nie mam zamiaru dłużej pani wysłuchiwać. Precz z moich oczu. Dosyć mam pani złośliwego języka.

Pani Blewett odeszła bez słowa, jakby nagły wybuch łagodnego Starego Shawa odebrał jej mowę. Ale kiedy odeszła, oczy Starego Shawa zamglily się, opadł bezradnie na ławkę. Opuściła go radość, serce napełniło się bólem i goryczą. Pani Blewett była złą kobietą, obawiał się jednak, że w jej słowach kryje się cząstka prawdy. Dlaczego nigdy dotąd nie przyszło mu to na myśl? Oczywiście, że Białe Piaski wydadzą się teraz Kwiatuskowi odludną dziurą, a szary domek, w którym się urodziła, jest ubożuchny w porównaniu ze wspaniałością domu jej ciotki. Stary Shaw spacerował po ogródku i spoglądał na wszystko nowymi oczyma. I wszystko wydało mu się skromne i zwyczajne. Stary, wysmagany wichrami dom zapadał się w ziemię. Wszedł do środka i wdrapał się na pięterko do pokoiku Sary. Pokoik był czystutki, wyglądał tak, jak przed trzema laty. Ale był maleńki i ciemny, na suficie widniały plamy i stały w nim staroświeckie obdrapane meble — teraz Sarze może się on wydać brzydki i niewygodny.

Starego Shawa nie pocieszała już nawet myśl o sady na zboczu. Kwiatuszka mogły przestać obchodzić sady. Kwiatuszek będzie się wstydził starego niemądrego ojca i zapuszczonej farmy. Znienawidzi Białe Piaski, będzie ją drażniła tutejsza — monotonia, będzie spoglądać z góry na wszystko, co składa się na pozbawione wydarzeń życie ojca.

Tego wieczoru Stary Shaw zamartwiał się tak, że zadowoliliby to nawet panią Blewett, gdyby o tym wiedziała. Spojrzał na siebie oczyma mieszkańców Białych Piasków i zobaczył biednego, lekkomyślnego, niemądrego starca, który ma tylko jedną cenną rzecz — swoją córkę, ale nie posiada nic, czym by mógł ją przy sobie zatrzymać.

— Mój Kwiatuszek — szepnął i jej imię zabrzmiało jak imię osoby zmarłej.

Po jakimś czasie jednak odezwał się rozsądek. Nie, Kwiatuszek nie będzie się go wstydził, tego mógł być pewny. Trzy lata nie mogły wpłynąć na jej lojalność, nawet trzydzieści lat nie mogłyby jej tak zmienić. Ale zmienić się musiała — ciekawe, pełne wydarzeń życie musiało ją od niego oddalić. Jego towarzystwo przestanie jej wystarczać. Naiwnością było myśleć inaczej. Sara będzie miła i serdeczna — nie potrafi być inna. Nie okaże niezadowolenia i znudzenia, nie jest Laurą Bradley, ale on je odgadnie i złamie mu to serce. Pani Blewett miała rację. Kiedy zgodził się na wyjazd Kwiatuszka, poświęcenie winno być całkowite, nie należało mówić o jej powrocie.

Do późnej nocy krążył po małym ogródku, świeciły gwiazdy, z dali nawoływało morze. Kiedy wreszcie położył się, nie mógł usnąć i do rana leżał z rozpaczą w sercu i mokrymi od łez oczyma. Rano z roztargnieniem oddał się codziennym obowiązkom. Chwilami przystawał i patrzył przed siebie tępym wzrokiem. Tylko raz się ożywił. Zobaczył, że ścieżką nadchodzi pani Blewett, wpadł do domu, zatrzaskał drzwi i bezlitośnie słuchał, jak stuka. Kiedy odeszła, znalazł na ławce obok drzwi półmisek świeżo upieczonych pączków okrytych serwetką. Pewnie pani Blewett chciała okazać, że wybaczyła mu wczorajszy wybuch, a może nawet zaczęło ją dręczyć sumienie. Ale pączki nie mogły uleczyć zranionego serca. Stary Shaw zaniósł je do chlewu i nakarmił nimi świnie. Pierwszy raz w życiu pozwolił sobie na umyślną złośliwość i sprawiło mu to dużą satysfakcję.

Po południu wyszedł do ogródka; poczuł się nagle zbyt samotnie. Ławka nagrzana była od słońca. Stary Shaw z westchnieniem usiadł i opuścił siwą głowę. Postanowił już, jak postąpi. Powie Kwiatuskowi, by wróciła do ciotki i nie zaprzętała sobie nim głowy — on sobie świetnie radzi sam.

Wciąż jeszcze siedział, gorzko rozmyślając, kiedy na ścieżce pojawiła się młoda dziewczyna. Była wysoka, trzymała się prosto i szła tak, jakby lada moment miała ulecieć. Ciemne włosy wpadały w kolor dojrzałych śliwek. Wielkie brunatne oczy wpatrywały się z zachwytem w każde drzewo. Od czasu do czasu śmiała się, nie mogąc opanować radości.

Stanąwszy przy furtce ogródka zobaczyła na ławce zgarbioną postać i w następnej chwili już biegła wysadzoną różami alejką.

— Tato! — wołała. — Tato!

Stary Shaw wstał zdumiony, objęły go dziewczęce ręce, a usta dotknęły jego policzka. Oczy dziewczyny wpatrywały się z miłością w jego oczy, a niezapomniany głos, drżąc od śmiechu— i łez, szeptał:

— Och tato! Tato! To naprawdę ty? Nie potrafisz ci powiedzieć, jaka jestem szczęśliwa!

Stary Shaw obejmował ją mocno, milcząc ze zdziwienia i radości. Przecież to jego Kwiatusek — ten sam Kwiatusek, który odjechał przed trzema laty! Trochę była wyższa, trochę bardziej kobieca, ale był to ten sam Kwiatusek, a nie jakaś obca dziewczyna. Niebo i ziemia stały się znów cudowne.

— O, mój maleńki Kwiatuszu — szeptał. — Mój najmilszy Kwiatuszu!

Sara otarła policzek o zszarzały rękaw jego kurty.

— Tato kochany, ta chwila wynagradza nam wszystko, prawda?

— Ale... ale... Skąd ty się tutaj wzięłaś? — spytał walcząc ze zdziwieniem. — Miałeś przyjechać jutro. Przyszłaś pieszo ze stacji? I nie czekał tam na ciebie twój stary tata.

Sara roześmiała się i zaczęła tańczyć wokół niego na czubkach palców, tak jak robiła to jako dziecko.

— Okazało się wczoraj, że mogę złapać wcześniejszy pociąg i już wieczorem być na Wyspie. Tak mi było spieszo do domu, że z tego skorzystałam. Oczywiście, że przyszłam ze stacji pieszo — to tylko dwie mile i ta wędrówka była cudowna. Zostawiłam na stacji walizki. Pojedziemy po nie jutro, a teraz, tato, chcę zajrzeć do każdego z moich najmilszych zakątków.

— Musisz przedtem coś zjeść — nalegał ojciec. — A ja dopiero jutro miałem piec i gotować! Ale zawsze coś się znajdzie, moje kochanie.

— Nic teraz nie przełknę! Potem coś sobie zrobimy na chybiczka jak zawsze wtedy, kiedy byliśmy głodni! Pamiętasz, tato, jak całe Białe Piaski gorszyły się, że nie przestrzegamy regularnej pory posiłków? Teraz jestem spragniona widoku wszystkich starych kątów. Chodź, mamy cztery godziny do zmierzchu i chcę je wypełnić widokiem tego, do czego tęskniłam przez trzy lata. Zacznijmy od ogródka. Ach, tato, jakich czarnoksięskich sił użyłeś, żeby zakwitł nasz zagniewany krzak?

— To żadne czarnoksięstwo, maleńka — sam zakwitł na twój powrót.

I spędzili cudowne popołudnie bawiąc się jak dzieci. Zajrzeli do każdego zakątka ogrodu, potem przyszła kolej na dom. Sara tańczyła po pokojach, a potem pobiegła na górę do swojej izdebki, trzymając mocno rękę ojca.

— Ach, tato, jak to cudownie *znaleźć* się znów w moim pokoiku. Jestem pewna, że czekają tu na mnie wszystkie moje dawne marzenia i sny.

Podbiegła do okna, otworzyła je i wychyliła się.

— Tato, nie ma na świecie drugiego takiego widoku, jak ten skrawek morza między przylądkami. Widziałam cudowne pejzaże i zawsze zamykałam oczy, żeby przywołać ten widok. Czy słyszysz, jak zawodzi wiatr? Jakże co wieczór tęskniłam do tej muzyki!

Tak jak zaplanował, zabrał ją do sadu. Zachowała się dokładnie tak, jak to przewidział — zaskoczona zaczęła klaskać i wołała:

— Tato! Ach, tato!

Na koniec poszli na brzeg morza, a gdy zaczęło zachodzić słońce, wrócili i usiedli na ławce. Patrzyli na wspaniałe barwy morza płonącego jak klejnot. Przylądki z dwóch stron stały się fioletowe, a po słońcu pozostał szeroki łuk barwy złocistych żonkili i różanych płatków. Za sadem, na chłodnym seledynowym niebie błyszczała srebrna tarcza, a noc spływała przejrzystym winem rosy. Świerki radowały się wiatrem i nawet ciężko doświadczone jodły śpiewały pieśń morza. Serca pełne były wspomnień.

— Mój maleńki Kwiatuszku — wyjąkał Stary Shaw — czy ty aby jesteś pewna, że będzie ci tu dobrze? Tam — wskazał ręką na daleki świat — miałaś takie ciekawe, pełne rozrywek życie. Czy nie będzie ci tego brakowało? Nie znudzi ci się stary ojciec i Białe Piaski?

Sara pogłaskała go po ręce.

— Tamten świat jest piękny — powiedziała z namysłem. — Spędziłam trzy wspaniałe lata i na pewno wzbogacą one moje życie. Wiele można tam zobaczyć i nauczyć się, spotkać ciekawych ludzi, podziwiać piękne rzeczy. Ale — objęła go i przytuliła policzek do jego twarzy — *łam* nie miałam mojego taty.

Stary Shaw spojrział w milczeniu na zachód słońca i zobaczył ukrywające się za nim cuda, które może widzieć tylko ktoś obdarzony dalekosiężnym wzrokiem.



## WIELBICIEL CIOTKI OLIIWII

Ciotka Oliwia opowiedziała nam o nim — Peggy i mnie — pewnego popołudnia, kiedy przyszyliśmy pomóc jej w zrywaniu róż, by z wysuszonych płatków zrobić wonne woreczki. Była dziwnie spokojna i zamyślona. Zwykle lubiła pożartować, chętnie słuchała plotek z Wschodniego Grafton i zaśmiewała się jak dziewczyna, a śmiech ten rozpraszał aurę staropanieństwa, która spowijała ją jak szal. W takich chwilach łatwo nam było uwierzyć w to, co kiedy indziej wydawało nam się wątpliwe, a mianowicie, że ciotka Oliwia była kiedyś młodą dziewczyną.

Tego dnia w zadumie zrywała płatki róż i wrzucała je do koszyka z sitowia z miną osoby, która myślami bawi gdzie indziej. Nic nie mówiłyśmy wiedząc, że ciotka Oliwia zwierzy się nam wcześniej czy później. Kiedy zerwałyśmy już wszystkie róże, zaniosłyśmy je do domu i poszłyśmy rzędem na górę. Ciotka Oliwia szła z tyłu, żeby zbierać płatki, które mogłybyśmy upuścić. W wychodzącym na południe pokoju, gdzie nie było dywanu, gdyż mógłby spłowieć, wysypałyśmy płatki na rozłożone na podłodze gazety. Potem odniosłyśmy koszyczki do właściwego pokoju i położyłyśmy je na właściwym miejscu we właściwej szafie. Nie wiem, jaki los spotkałby nas i koszyki, gdybyśmy tego natychmiast nie zrobiły. W domu ciotki Oliwii wszystko i zawsze musiało się znajdować na z góry wyznaczonym miejscu.

Kiedy zeszyliśmy na dół, ciotka Oliwia zaprosiła nas do bawialni. Ma nam coś do zakomunikowania — oznajmiła otwierając drzwi, a jej twarz oblał rumieniec. Zdziwiło mnie to, ale nie podejrzewałam prawdy; nikomu, kto znał staropanieńską pruderię ciotki Oliwii, nie przyszłaby do głowy myśl o miłości i małżeństwie.

Bawialnia ciotki Oliwii była kubek w kubek do niej podobna — pedantycznie schludna. Każdy mebel stał na wyznaczonym miejscu. Frędzle poduszek zawsze tak samo układały się na poręczach sofy, a szydełkowa narzutka pod tym samym kątem okrywała fotel. Nigdzie śladu kurzu, nigdy żadna mucha nie zakłóciła spokoju tego świętego przybytku.

Ciotka Oliwia podciągnęła do góry storę i przez liście dzikiego wina przesaczyło się do pokoju trochę światła. Ciotka usiadła na starym krześle z wysokim prostym oparciem, należącym kiedyś do jej prababki. Złożyła na podołku ręce i spojrzała na nas nieśmiałym a błagalnym wzrokiem. Jasne było, że niełatwo jej odkryć przed nami swoją tajemnicę. Była wyraźnie poruszona, ale równocześnie biła od niej duma i jakieś nowe dostojeństwo. Ciotka Oliwia nie należała do pewnych siebie i zadowolonych z siebie osób, ale dziś, dziś...

— Czy wspominałam wam kiedyś o panu Malcolmie MacPhersonie? — spytała ciotka Oliwia.

Ani ona, ani nikt inny nigdy nam o panu Malcolmie MacPhersonie nie wspominał, ale ton głosu ciotki Oliwii wystarczył, byśmy zrozumiały wszystko. Pan MacPherson był niechybnie wielbicielem ciotki Oliwii! Z wrażenia zapało nam dech. Byłyśmy tak zdziwione, że zapomniłyśmy o swojej ciekawości.

Oto siedzi tu ciotka Oliwia, zarazem onieśmielona i dumna, podniecona i zawstydzona.

— Jest bratem pani Janowej Seamanowej z za mostu — wyjaśniła ciotka Oliwia z błędym uśmiechem. — Nie możecie go znać. Dwadzieścia lat temu wyjechał do Brytyjskiej Kolumbii. Ale teraz wraca do domu i — i powiedzcie to, proszę, ojcu, bo ja — ja nie mam ochoty z nim o tym rozmawiać, ale pan Malcolm MacPherson i ja mamy zamiar się pobrać.

— Pobrać! — pisnęła Peggy.

— Pobrać — powtórzyłam niemądrze. Ciotka Oliwia lekko się obruszyła.

— Czyżby było w tym coś niestosownego? — spytała dość ostro.

— Ależ nie, nie — upewniłam ją pospiesznie, kopnąwszy uprzednio Peggy, by nie zaczęła się śmiać. — Ale ciocia sama rozumie, ciociu Oliwio, że jest to dla nas całkowite

zaskoczenie.

— Tak przypuszczałam — odpowiedziała z zadowoleniem ciotka Oliwia. — Ale wasz ojciec będzie go pamiętać. Mam nadzieję, że m nie potępi. Kiedyś uważał, że pan Malcolm MacPherson nie jest c mnie odpowiednim konkurentem. Ale było to dawno temu, kiedy pi MacPherson był ubogi. Teraz jest zamożny.

— Ciociu Oliwio, niech nam ciocia wszystko opowie — poprosiła Peggy. Na szczęście nie patrzyła w moją stronę. Gdyby spojrzała na mnie w chwili, kiedy ciotka Oliwia uroczystym tonem powiedziała „pan Malcolm MacPherson”, chcąc nie chcąc musiałabym wybuchnąć śmiechem.

— Kiedy byłam młodą dziewczyną, MacPhersonowie mieszkali po drugiej stronie drogi. Pan Malcolm MacPherson zalecał się do mnie. Ale moja rodzina, a zwłaszcza wasz ojciec — o mój Boże, mam nadzieję, że się na mnie nie pogniewa — sprzeciwiła się jego zamiarom i traktowała go bardzo ozięble. Myślę, że to dlatego nie poprosił mnie wówczas o rękę. A potem wyjechał i nie odzywał się do mnie przez wiele lat. Oczywiście, słyszałam o nim czasem od jego siostry. No i w czerwcu otrzymałam od niego list. Napisał, że ma zamiar wrócić na stałe na naszą starą wyspę i poprosił, żebym za niego wyszła. Zgodziłam się. Może powinnam poradzić się waszego ojca, ale bałam się, że znów uzna to małżeństwo za niestosowne.

— Och, ojciec na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu — pocieszyła ją Peggy.

— Mam nadzieję, gdyż ja tak czy owak będę się czuła zobowiązana dotrzymać obietnicy złożonej panu Malcolmowi MacPhersonowi. W przyszłym tygodniu przyjedzie do Grafton, gdzie będzie gościł u swej siostry, pani Janowej Seamanowej.

Ciotka Oliwia powiedziała to takim tonem, jakby czytała rubrykę towarzyską w *Gońcu*.

— Kiedy ślub? — spytałam.

— Och! — ciotka Oliwia zarumieniła się. — Nie znam jeszcze dokładnej daty. Trudno coś zdecydować przed przyjazdem pana Malcolma MacPhersona. Ale najwcześniej we wrześniu. Będzie tyle do załatwienia. Zawiadomicie ojca, dobrze?

Obiecałyśmy solennie i ciotka Oliwia wstała z wyrazem ulgi. Peggy i ja pobiegłyśmy do domu, zatrzymując się po drodze, żeby się wyśmiać. Romanse osób starszych są dla nich na pewno równie romantyczne, co dla młodych, ale osobom postronnym wydają się

śmieszne. Tylko młodość może sobie pozwolić na sentymenty nie wzbudzając powszechnej wesołości. Kochałyśmy ciotkę Oliwię i cieszyłyśmy się z jej szczęścia, ale nie mogłyśmy się oprzeć uczuciu rozbawienia. Ile razy przypomniwałyśmy sobie tego jej „pana Malcolma MacPhersona”, musiałyśmy się śmiać.

Ojciec z początku potraktował wieści z niedowierzaniem, a kiedy go przekonałyśmy, parsknął śmiechem. Ciotka Oliwia nie musiała się obawiać protestów swej okrutnej rodziny.

— Z MacPhersona był równy facet, tylko strasznie ubogi — oświadczył ojciec. — Słyszałem, że się mu powiodło. Jeżeli on i Oliwia mają się ku sobie, to jeśli o mnie chodzi, mogą się pobrać. Powiedzcie tylko Oliwii, żeby nie dostawała spazmów, jak od czasu do czasu wejdzie do domu w zabłoconych butach.

Wszystko więc było w porządku i zanim zdążyłyśmy sobie uświadomić, co się stało, ciotka Oliwia była już pogrążona w przygotowaniach do ślubu, a ja i Peggy stałyśmy się jej niezbędne. Radziła się nas we wszystkich sprawach i w ciągu tych kilku dni przed przyjazdem pana Malcolma MacPhersona niemal zamieszkałyśmy w jej domu.

Ciotka Oliwia czuła się wyraźnie szczęśliwa i bardzo ważna. Zawsze chciała wyjść za mąż i cierpiała nad swoim staropanieństwem. Myślę, że uważała je za coś hańbiącego. Choć gdy się ją obserwowało, robiła wrażenie urodzonej starej panny i biorąc pod uwagę jej pruderię i setkę drobnych przyzwyczajęń, trudno było wyobrazić ją sobie jako żonę pana Malcolma MacPhersona, jako czyjąkolwiek żonę.

Wkrótce odkryłyśmy, że dla ciotki Oliwii pan Malcolm MacPherson był abstrakcją —

człowiekiem, który miał ją wreszcie obdarzyć dostojną pozycją kobiety zameężnej. Na tym polegał cały romans, choć była tego nieświadoma i sądziła, że jest w nim głęboko zakochana.

— Marysiu, co się stanie, kiedy on się pojawi i ona będzie miała do czynienia z żywym mężczyzną z krwi i kości, nie z mitycznym „panem Malcolmem MacPhersonem”, niezbędną częścią ślubnej ceremonii? — zastanawiała się Peggy siedząc na kamiennych schodkach, gdzie obrębiała wyprawne serwetki ciotki Oliwii, starannie odkładając strzępki nici i ścinki materiału do przygotowanego przez ciotkę pudełka.

— Może zmieni się z pochłoniętej własną osobą starej panny w kobietę, która rozumie, czym jest małżeństwo — odparłam.

W dniu, kiedy oczekiwano przyjazdu pana Malcolma MacPhersona, znów poszliśmy do ciotki Oliwii. Miałyśmy zamiar pozostać taktownie w domu, sądząc, że zakochani będą woleli, by ich pierwsze spotkanie odbyło się bez świadków, ale ciotka Oliwia zażądała naszej obecności. Była wyraźnie zdenerwowana, abstrakcja miała nabrać konkretnych kształtów. Jej maleńki domek został przepięknie wypucowany. Ciotka Oliwia jeszcze tego ranka wyszorowała podłogę na poddaszu i zamiotła prowadzące do piwnicy schodki tak starannie, jakby oczekiwała, że pan Malcolm MacPherson przeprowadzi natychmiast dokładną inspekcję domu, i nie chciała zawieść jego oczekiwań.

Peggy i ja pomogłyśmy jej się ubrać. Uparła się, że włoży swoją najlepszą czarną jedwabną suknię. Dużo jej było ładniej w muślinowej sukience, ale nie zdołałyśmy jej przekonać. Wyglądała dostojnie i elegancko, nigdy jeszcze jej takiej nie widziałam. Peggy i ja przyglądałyśmy się, jak schodzi do bawialni podniósłszy dół sukni, by nie dotknął schodów.

— Pana Malcolma MacPhersona ogarnie nabożna cześć i nie będzie śmiał do niej podejść — szepnęła Peggy. — Chciałabym, żeby już było po wszystkim. Zaczynam się denerwować.

Ciotka Oliwia weszła do bawialni, usiadła na starym rzeźbionym krześle i złożyła ręce. Peggy i ja, oczekując oblubieńca, przysiadłyśmy na schodkach. Towarzyszył nam tłusty wąsaty kot ciotki Oliwii, wyglądał jak zrobiony z czarnego aksamitu i nietaktownie mrucał z całą pogodą ducha.

Przez okno sieni widać było bramę i prowadzącą do niej alejkę, byliśmy zatem pewne, że zobaczymy, jak nadchodzi pan Malcolm MacPherson. Nic więc dziwnego, że podskoczyłyśmy, kiedy ktoś załomotał do drzwi tak mocno, że w domu odezwało się echo. Czyżby pan Malcolm spadł z nieba?

Potem dowiedziałyśmy się, że przyszedł przez pola z tyłu domu, ale w tym momencie jego pojawienie wydało nam się czymś nadprzyrodzonym. Zbiegłam na dół i otworzyłam drzwi. Na schodkach stał mężczyzna liczący blisko dwa metry wzrostu i odpowiednio tęgi i muskularny. Wspaniałe szerokie ramiona, grzywa czarnych kędzierzawych włosów, wielkie błękitne figlarne oczy i ogromna, zakrywająca piersi czarna broda. Krótko mówiąc, pan Malcolm MacPherson był, jak się to potocznie mówi, „wspaniałym okazem mężczyzny”.

W rękę trzymał bukiet wczesnych złotych różeg i bladoniebieskich astrów.

— Dzień dobry — powiedział tubalnym głosem, którym od razu objął w posiadanie ospały letni dzień. — Czy zastałem pannę Oliwię Sterling? Proszę jej powiedzieć, że przyszedł Malcolm MacPherson.

Wprowadziłam go do bawialni. Potem Peggy i ja zajrzałyśmy przez uchylone drzwi. Każdy by tak postąpił. Nie miałyśmy zamiaru szukać usprawiedliwienia we własnych oczach, a zresztą widok, który zobaczyłyśmy, wart byłby wyrzutów sumienia, gdybyśmy były do nich zdolne. Ciotka Oliwia wstała i wyciągnęła rękę.

— Bardzo jestem rada widzieć pana, panie MacPherson — oznajmiła oficjalnym tonem.

— To ty, Lisiu! — pan Malcolm w dwóch susach znalazł się przy niej.

Upuścił kwiaty, przewrócił stoliczek i odepchnął pod ścianę sofę. Chwycił ciotkę Oliwię w ramiona i — *cmok, cmok, cmok!* Peggy przysiadła na schodku i wpakowała do ust chusteczkę. Ciotkę Oliwię całował mężczyzna!

Teraz pan Malcolm MacPherson odsunął ją na odległość ramienia i zaczął się jej przyglądać. Widziałam, jak ciotka Oliwia patrzy znad jego ramienia na przewrócony stolczyk i rozrzucone kwiaty. Starannie odprasowane fałdki pogniotły się, koronkowy kołnierzyk przekrzywił. Wyglądała na przerażoną.

— Nic się nie zmieniłaś, Lisiu — powiedział z zachwytem pan Malcolm MacPherson. — Cudownie jest cię znów zobaczyć. A ty, Lisiu, cieszysz się?

— Oczywiście — odparła ciotka Oliwia.

Wysunęła się z jego ramion i podniosła stolczyk. Potem skierowała się w stronę kwiatów, ale pan Malcolm już je zebrał, pozostawiając na dywanie sporo łodyg i liści.

— Zerwałem je dla ciebie nad rzeką — oświadczył. — Gdzie je mogę włożyć? O, to się nada.

I chwycił stojący na kominku kruchy, ręcznie malowany wazon, wsadził do niego kwiaty i postawił go na stole. Wyraz twarzy ciotki Oliwii sprawił, że zerwałam się, chwyciłam Peggy za rękę i wybiegłyśmy z domu.

— Jeśli dalej się tak będzie zachowywał, ciotka Oliwia przerazi się na śmierć! — wyjąkałam. — Ale jest cudowny i nie widzi poza nią świata. Och, Peggy, czy kiedyś już *słyszałaś* takie pocałunki? Że też trafiło na ciotkę Oliwię!

Bardzo szybko zaprzyjaźniłyśmy się z panem Malcolmem MacPhersonem. Niemal bez przerwy przesiadywał u ciotki Oliwii, a ta nalega byśmy jej nie opuszczały. Chyba obawiała się zostać z nim sam na sam. Gorszyła się dwanaście razy na godzinę, niemniej była z niego bardzo dumna i lubiła, żeby jej nim dokuczać. Cieszyło ją, że się ni zachwycamy.

— Choć trzeba powiedzieć, że bardzo się zmienił — mówiła. — Jest teraz taki wielki. I nie podoba mi się ta broda, ale nie śmiem go prosić, by ją zgolił. Mógłby się poczuć dotknięty. Kupił tę starą farmę Lynde'ów w Avonlea i chce, żebyśmy się za miesiąc pobrali. Ale to za szybko. Byłoby to... byłoby to nieprzystojne.

Obie z Peggy bardzo polubiłyśmy pana Malcolma MacPhersona. Tak samo ojciec. Cieszyliśmy się, że uważa ciotkę Oliwię za ósmy cud świata. Biło od niego szczęście, czego nie dało się niestety powiedzieć o ciotce Oliwii, choć manifestowała dumę i zadowolenie. I mimo że sytuacja zakrawała na komedię, obie z Peggy wyczuwałyśmy, że czai się tu tragedia.

Pana Malcolma MacPhersona nigdy nie udałooby się wytresować tak, by respektował staropanieńskie przyzwyczajenia ciotki Oliwii, i nawet ona musiała zdawać sobie z tego sprawę. Nigdy nie wycierał butów wchodząc do domu, choć ciotka przed wszystkimi drzwiami ustawiała ostentacyjnie nowe skrobaczki. W domu stale coś przewracał. Palił w bawialni cygara i na podłogę sypał się popiół. Co dzień przynosił kwiaty i upychał je w pierwszy lepszy wazon, jaki znajdował się pod ręką. Siadał na poduszkach i szydełkowe narzutki zwijały się w kłębek. Opierał nogi o poprzeczkę jej krzesła. I wszystko to robił najnaturalniej w świecie, jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy z niestosowności swego zachowania. I nie zauważał zdenerwowania ciotki Oliwii. Obie z Peggy zaśmiewałyśmy się w owych dniach niemal do łez. Jakże śmieszna była ciotka Oliwia, kiedy niespokojnie krążyła po domu, podnosząc łodygi kwiatów, prostując narzutki, ustawiając sprzęty. Kiedyś wzięła nawet szczotkę i śmietniczkę i zamiotła spod jego nóg popiół. — Lisiu, daj spokój — zawołał. — Mnie nic nie przeszkadza ta odrobina śmieci.

Pyszny był ten nasz pan Malcolm MacPherson. Śpiewał wspaniałe pieśni, opowiadał cudowne historie, wniósł świeży powiew do zgnuśniałej atmosfery tego domu. Uwielbiał ciotkę Oliwię i jego uwielbienie objawiało się obfitością podarunków. Niemal co dzień przynosił jej jakiś upominek, zwykle był to klejnot. Obsypywał naszą purytańską cioteczkę bransoletkami, pierścionkami, łańcuszkami, kolczykami i medalionami, a ona przyjmowała je niechętnie i nigdy ich nie nosiła. Trochę go to bolało, ale ciotka zapewniała go, że włoży je przy stosownej okazji.

— Nie przywykłam do noszenia biżuterii, panie MacPherson — powtarzała z uporem.

Nosiła tylko zaręczynowy pierścionek, dość krzykliwy, z wygrawerowanego złota wysadzanego opalami. Przyłapałyśmy ją parokrotnie, jak okręcała go wokół palca z bardzo zafrasowaną miną.

— Gdyby pan Malcolm MacPherson nie był w niej tak bardzo zakochany, byłoby mi go naprawdę żal — zauważyła Peggy. — Ale skoro uważa ją za doskonałość, nie potrzebuje współczucia.

— Mnie żal jest ciotki Oliwii — oświadczyłam. — Tak, Peggy, żal mi jej. Pan MacPherson jest wspaniałym człowiekiem, ale ciotka Oliwia urodziła się już starą panną i cała jej natura buntuje się przeciwko małżeństwu. Czy nie widzisz, jak ona cierpi? Rani ją jego męskie zachowanie, nie potrafi opuścić swoich utartych kolein i każda próba ją zabija.

— Nonsens! — zawołała Peggy. I dodała z uśmiechem: — Marysiu, czy widziałas kiedyś coś równie śmiesznego jak ciocia Oliwia na kolanie pana MacPhersona?

Było to rzeczywiście śmieszne. Ciotka Oliwia uważała, że to nie przystoi, zwłaszcza w naszej obecności, ale on jej nie słuchał. Mawiał śmiejąc się: — Nie zważaj na dziewczynki — i sadzał ją sobie na kolanie. Do śmierci nie zapomnę jej wyrazu twarzy.

Ale w miarę jak upływały dni i pan MacPherson zaczął nalegać na wyznaczenie daty ślubu, ciotka Oliwia zaczęła objawiać prawdziwe zaniepokojenie. Mało mówiła, a uśmiechała się tylko wówczas, gdy zwracano uwagę na jej brak uśmiechu. I opryskliwie odpowiada.— nam, a zwłaszcza ojcu, gdy zaczynaliśmy droczyć się z nią na temat jej konkurenta. Współczułam jej, lepiej bowiem od innych rozumiałam, co czuje. Ale nawet ja nie byłam przygotowana na to, co nastąpiło. Nie uwierzyłabym, że ciotkę Oliwię stać będzie na taką decyzję. Sądziłam, że abstrakcyjna chęć wyjścia za mąż przeważy nad niedogodnościami wynikającymi z konkretnej sytuacji. Ale nikt nie potrafi przewidzieć, do czego jest zdolna urodzona stara panna.

Któregoś ranka pan Malcolm MacPherson oznajmił mnie i Peggy, że tego wieczoru *zaząda* od ciotki Oliwii, by wyznaczyła wreszcie datę ślubu. Zaśmiałyśmy się z aprobatą i oświadczyłyśmy, że już najwyższy czas, żeby zaczął używać swego autorytetu, a on w świetnym humorze ruszył przez pola pogwizdując szkocką melodię. Ciotka Oliwia wyglądała jak męczennica. Znów wpadła w szal porządkowania i tego dnia wysprzątała cały dom.

— Tak jakby miał w nim nastąpić pogrzeb — kpiła Peggy. Wieczorem, kiedy siedziałyśmy z Peggy w południowym pokoju zszywając ze szmatek narzutę, usłyszałyśmy z sieni ryk pana Malcolma MacPhersona, który zapytywał, czy ktoś jest w domu. Ciotka Oliwia wyszła ze swojej sypialni i zeszła na dół.

— Może będzie pan tak dobry, panie MacPherson i wejdzie do saloniku. Mam panu coś ważnego do zakomunikowania.

Weszli, a ja wróciłam do południowego pokoju.

— Peg, coś się szykuje. Ciocia Oliwia była aż *szara* na twarzy. Zeszła *sama* na dół i zamknęła za sobą drzwi bawialni.

— *Muszę* usłyszeć, co ona mu powie — oznajmiła stanowczo Peggy. — To jej wina, przyzwyczaiła nas, byśmy asystowały przy wszystkich ich spotkaniach. Biedak musiał się do niej zalecać w naszej obecności. Chodź, Marysiu.

Południowy pokój znajdował się nad bawialnią i wychodziła tu rura od kominka. Peggy zdjęła stojące na niej pudło od kapeluszy i ukucnęłyśmy, by bezwstydnie podsłuchiwać.

Nietrudno było usłyszeć, co mówi pan MacPherson.

— Przyszedłem tu, Lisiu, byś wreszcie ustaliła datę naszego ślubu. No, maleńka, powiedz kiedy!

*Cmok.*

— Nie, panie MacPherson — ciotka Oliwia przemawiała tonem osoby, która ma do spełnienia niemiły obowiązek i chce to jak najszybciej załatwić. — *Muszę* panu coś wyznać. Nie mogę wyjść za pana za mąż.

Nastąpiło milczenie. Dużo bym dała, żeby móc ich zobaczyć. Kiedy pan Malcolm MacPherson wreszcie przemówił, w jego głosie brzmiało bezdenne zdziwienie.

— Lisiu, co ty chcesz przez to powiedzieć?

— Nie mogę wyjść za pana, panie MacPherson — powtórzyła ciotka Oliwia.

— Dlaczego? — zdziwienie zamieniło się w rozpacz.

— Obawiam się, że pan tego nie zrozumie, panie MacPherson. Nie potrafi pan zrozumieć, co oznacza dla kobiety wyrzeczenie się całego poprzedniego życia, domu, przyjaciół i wyjazd z obcym człowiekiem.

— Lisiu, rozumiem, ale przecież Avonlea jest oddalone zaledwie o dwanaście mil!

— Dwanaście mil! Równie dobrze mogłoby być na drugim końcu świata — powtórzyła z uporem ciotka Oliwia. — Poza jedną Małgorzatą Linde nikogo tam nie znam!

— Dlaczego mi tego nie powiedziałaś, zanim kupiłem tę farmę? Ale dobrze. Sprzedam ją i kupię coś w Grafton, jeżeli ci tak na tym zależy. Tyle, że tutaj nie znajdę równie przyzwoitego folwarczku. Ale coś wymyślę.

— Nie, panie MacPherson — stanowczo sprzeciwiła się ciotka Oliwia. — To nie tylko o to chodzi. Wiedziałaś, że pan nie zrozumie. Pan ma swoje nawyki, ja mam swoje i nie potrafię się zmienić. Pan... pan wnosi do domu błoto i nie dba pan... wcale pan nie dba o porządek.

Biedna ciotka Oliwia musiała zostać wierna sobie; myślę, że nawet płonąć na stosie potrafiłaby nadać tragedii charakter groteski.

— Do diabła! — krzyknął pan MacPherson. Nie było to przekleństwo, musiał dać ujście swoim uczuciom. — Lisiu, ty chyba żartujesz. Jeśli nie umiem się zachować — na zachodzie nikt nie zważa na maniery — możesz mnie nauczyć. Przecież nie odprawisz mnie dlatego, że wchodzę w zabłoconych butach?

— Nie mogę wyjść za pana, panie MacPherson — powtórzyła ciotka Oliwia.

— Nie mówisz tego poważnie! — zawołał, bo choć rozumiał, że, owszem, mówi to jak najpoważniej, jego męski umysł nie był w stanie pojąć powodów. — Lisiu, łamiesz mi serce. Zrobię, co zechcesz, zamieszkamy, gdzie zechcesz, będę takim, jak zechcesz — ale mnie nie rzucaj.

— Nie mogę wyjść za pana, panie MacPherson — powtórzyła po raz czwarty ciotka Oliwia.

— Lisiu! — zawołał pan MacPherson tak rozpaczliwym tonem, że obie z Peggy zawstydziliśmy się. Nie miałyśmy prawa słuchać tej żalosalnej rozmowy. W jego głosie dźwięczał tak autentyczny ból, że sytuacja przestała być humorystyczna, byłyśmy świadkami prawdziwej tragedii. Na palcach wyszłyśmy z pokoju, bardzo się wstydząc.

Kiedy pan Malcolm MacPherson po godzinnych daremnych błaganiach wyszedł, ciotka Oliwia przysłała na górę, blada i zdeterminowana, by oznajmić nam, że ślub się nie odbędzie. Nie potrafiłyśmy udać zdziwienia, ale Peggy próbowała protestować.

— Ciociu Oliwio, czy ciocia naprawdę tego chce?

— Nie mogłam postąpić inaczej — oznajmiła ciotka Oliwia z kamiennym spokojem. — Nie mogę wyjść za pana Malcolma MacPhersona i powiedziałam mu to. Zawiadomcie ojca i bądźcie tak dobre więcej mi o tym nie wspominać.

Po czym ciotka Oliwia znów zeszła na dół, wzięła miotłę i zamiotła schody, na których pan MacPherson pozostawił sporo błota.

Peggy i ja wróciłyśmy do domu i opowiedziałyśmy wszystko ojcu. Byłyśmy bardzo przygnębione, ale cóż mogłybyśmy zrobić? Ojciec śmiał się, mnie jednak daleko było do śmiechu. Żał mi było pana Malcolma MacPhersona i choć byłam na ciotkę Oliwię wściekła, jej także było mi żal. I ona cierpiała, że rozwiały się jej nadzieje, zachowywała jednak nieprzeniknioną rezerwę.

— Typowy przypadek staropanieństwa — orzekł zniecierpliwiony ojciec.

Przez tydzień nic się nie działo. Nie widywałyśmy już pana Malcolma MacPhersona i

strasznie nam go brakowało. Ciotka Oliwia z obojętną miną oddawała się zaciekle drobnym, zgoła zbędnym zajęciom domowym.

Którego wieczoru ojciec wrócił z nowiną.

— Malcolm MacPherson wyjeżdża na zachód o pół do ósmej. Wynajął farmę i postanowił ruszyć w świat. Mówią, że jest wściekły na Oliwię. Po podwieczorku poszliśmy z Peggy do ciotki Oliwii, która chciała się nas poradzić w sprawie szlafroka. Szła tak, jakby od tego zależało jej życie, ale z chłodną i wyniosłą miną. Zastanawiałam się, czy wie o wyjeździe pana Malcolma MacPhersona. Uważałam, że niedelikatnie byłoby o tym wspomnieć. Peggy jednak nie miała takich skrupułów.

— Wie ciocia, że cioci zalotnik się zmywa? — zapytała wesoło. — Nie będzie już ciocia miała z nim kłopotów. Wyjeżdża wieczornym pociągiem.

Ciocia Oliwia rzuciła materiał i zerwała się. Stała się inną osobą, nigdy nie widziałam, żeby ktoś mógł aż tak się zmienić. Zmiana była tak nagła, że wydawała się czymś niesamowitym. Znikła stara panna, a na jej miejscu pojawiła się zrozpaczona kobieta.

— Co ja teraz pocznę?! — zawołała strasznym głosem. — Peggy, Marysiu, co ja mam zrobić?

Był to niemal jęk. Peggy zbladła.

— To cioci na nim zależy? — spytała dość niemądrze.

— Zależy! Dziewczęta, jeżeli Malcolm MacPherson odjedzie — ja umrę. Chyba zwariowałam, tak, musiałam zwariować. Od chwili, gdy go odprawiłam, konam z samotności. Ale miałam nadzieję, że wróci! Muszę go zobaczyć — jeżeli pobiegnę przez pola, to jeszcze zdążę.

Ruszyła w stronę drzwi, ale zatrzymałam ją, widząc oczyma duszy, jak ciotka Oliwia gna przez pola, potargana i nieprzytomna.

— Chwileczkę, ciociu Oliwio. Peggy, leć do domu i poproś ojca, żeby szybko zaprzągnął Dicka do dwukółki. Zawieziemy ciocię na stację. Niech się ciocia nie boi, zdążymy.

Peggy pobiegła, a ciocia Oliwią pognęła na górę. Schowałam szycie, a kiedy za nią poszłam, była już w kapeluszu i pelerynie. Na łóżku leżały pudełeczka z upominkami pana Malcolma MacPhersona, a ciotka Oliwia obwieszała się biżuterią. Pierścionki, trzy broszki, medalion, trzy łańcuszki, zegarek, wkładała w pośpiechu jeden klejnot za drugim. Ciocia Oliwią tak wysztafirowana! To był cudowny widok. — Nie chciałam tego przedtem wkładać — ale dziś włożę wszystko i on od razu zobaczy, że żałuję — szepnęła, i drżały jej wargi.

Kiedy wpakowałyśmy się wszystkie trzy do dwukółki, ciotka Oliwia chwyciła bat i nim mogłyśmy jej przeszkodzić, uderzyła biednego! Dicka, którego to jeszcze nigdy nie spotkało. Puściła się galopem stromą, wyboistą drogą. Obie z Peggy wydałyśmy przerażony okrzyk. Ciotka Oliwia była zawsze nader bojaźliwą niewiastą, ale dziś zdawało się, że nie wie, co to lęk. Okładała biednego Dicka całą drogę, nie zwracając uwagi na nasze protesty i tłumaczenia, że mamy jeszcze masę czasu. Wszyscy, których napotkałyśmy, musieli dojść do wniosku, że nagle zwariowałyśmy. Ja trzymałam kurczowo lejce, Peggy uchwyciła się poręczy dwukółki, a ciotka Oliwia z rozwianym włosiem, przekrzywionym kapeluszem i purpurowymi policzkami, pochylona do przodu, wymachiwała batem. I tak przejechałyśmy przez wieś, a potem dwie mile drogi do stacji.

Kiedy dojechałyśmy, było już ciemno, pociąg stał na stacji. Ciotka Oliwia wyskoczyła z dwukółki i pobiegła peronem, z rozwianą peleryną, pobłyskując świecidełkami. Rzuciłam lejce jakiemuś stojącemu obok chłopcu i pobiegłyśmy za nią. Pod latarnią stacji zobaczyłyśmy pana Malcolma MacPhersona z walizką w ręku. Na szczęście na peronie było pusto, ale nawet gdyby znajdował się tam tłum, ciotka Oliwia rzuciłaby mu się w ramiona.

— Malcolmie! — zawołała. — Nie odjeżdżaj! Wyjdę za ciebie, pojedę z tobą, dokąd chcesz, i będziesz mógł sobie błocić, ile zapragniesz!

To spontaniczne wyznanie ciotki Oliwii rozluźniło napiętą sytuację. Pan MacPherson wziął

ciotkę Oliwię w ramiona i wyprowadził z kręgu światła latarni.

— No, no — powiedział uspokajająco. — Pewnie, że nie odjadę. Nie płacz, Lisiu.

— I zaraz ze mną wrócisz? — prosiła ciotka Oliwia uczepiwszy się go tak, jakby się bała, że zniknie, jeśli ona nie będzie go mocno trzymała.

— Tak, tak — odpowiedział.

Peggy ktoś zabrał do domu, a ciotka Oliwia, pan Malcolm MacPherson i ja wróciliśmy dwukólką. Pan MacPherson posadził sobie ciotkę Oliwię na kolanach, inaczej byśmy się nie zmieścili, ale sędzę, że ona wybrałaby tę pozycję, nawet gdyby było sto wolnych miejsc. Tuliła się do niego wręcz bezwstydnie, znikła cała jej pruderia.

Pocałowała go co najmniej dwanaście razy i powtarzała, że go kocha, a ja wcale nie miałam ochoty się śmiać. Nie wydawało mi się to bynajmniej śmieszne i nadal nie wydaje, choć wiem, że wiele osób tak by uważało. Ale czuło się taką intensywność przeżyć, że nie było miejsca na śmiech. Oboje byli sobą tak zajęci, że nawet im nie przeszkadzałam.

Dowiozłam ich bezpiecznie na podwórze ciotki Oliwii i, nie zauważona przez nich, zawróciłam, by jechać do domu. Ale w księżycowej poświacie zobaczyłam coś, co dobitnie świadczyło, że ciotka Oliwia stała się inną osobą... Po południu padało i na podwórzu pełno było błota. Niemniej ciotka Oliwia poszła prosto do drzwi od frontu i weszła z panem Malcolmem MacPhersonem, nawet nie spojrzawszy na skrobaczkę.



## KWARANTANNA W DOMU ALEKSANDRA BENNETTA

Kiedy pierwszy raz poproszono mnie, bym objęła prowadzenie klasy w szkole niedzielnej — odmówiłam. Nie dlatego, że nie chciałam. Wręcz przeciwnie, miałam raczej ochotę, ale poprosił mnie o to pastor Allan, a ja z zasady odmawiam, kiedy zwraca się do mnie mężczyzna. W ten sposób unika się wielu kłopotów i wszystko jest znacznie prostsze. Nigdy nie lubiłam mężczyzn. Chyba się już taka urodziłam, bo odkąd pamiętam, moim najsilniejszym uczuciem była niechęć do mężczyzn i psów. Byłam z tego znana. A moje doświadczenie życiowe tylko mnie w tym utwierdziło. Im lepiej poznawałam mężczyzn, tym bardziej lubiłam koty.

Zatem kiedy pastor Allan poprosił, bym *zaczęła uczyć* w szkole niedzielnej, nie mogłam się na to zgodzić. Odmówiłam tak, żeby nie miał wątpliwości, dlaczego to robię, mądrzej by postąpił, gdyby od razu przysłał żonę. Wszyscy na ogół z punktu zgadzają się na to, czego chce od nich pani Allan, bo w ten sposób nie tracą czasu.

Pani Allan nim wspomniała o szkole niedzielnej, przez pół godziny rozmawiała na obojętne tematy obsypując mnie komplementami. Pani Allan znana jest z taktu. Za takt uważać się zwykło obwijanie sprawy w bawełnę, zamiast żeby zmierzać prosto do celu. Ja tam nie jestem taktowna. I też *jestem* z tego znana. Kiedy pani Allan zaczęła naprowadzać rozmowę na temat szkoły niedzielnej, wiedząc przez cały czas, co się święci, powiedziałam prosto z mostu:

— Którą klasę mam objąć?

Pani Allan była tak zdumiona, że zapomniała o taktie i pierwszy raz w życiu odpowiedziała wprost:

— Mamy dwie klasy bez nauczyciela, jedna to chłopcy, druga dziewczynki. Dziewczynki dotychczas uczyłam ja, ale na jakiś czas muszę przestać ze względu na moje dziecko. Ma pani wybór, panno MacPherson.

— To biorę chłopców — odpowiedziałam zdecydowanym tonem. Znana jestem ze zdecydowania. — Skoro muszą wyrosnąć na mężczyzn, trzeba im przedtem dać szkołę. Tak czy owak nie wyrosnie z nich nic dobrego, ale jeśli się ich za młodu weźmie porządnie w garść, będzie z nimi mniej utrapienia i jakaś nieszczęsna kobieta na tym skorzysta. Pani Allan spojrzała na mnie z powątpiewaniem, wiedziałam, że była pewna, iż wybiorę dziewczynki.

— To wyjątkowo niesforna banda chłopaków.

— Wszyscy chłopcy są niesforni.

— Hm... zdaje mi się, że lepiej by się pani pracowało z dziewczynkami — zauważyła z wahaniem pani Allan. Co prawda ja też tak uważałam, ale odstręczało mnie coś, do czego nigdy bym się pani Allan nie przyznała. W grupie dziewczynek była Ania Shirley, a Ania Shirley jest jedyną ludzką istotą, której się obawiam. Nie, żeby jej nie lubiła. Ale ona bez przerwy zadaje najbardziej nieoczekiwane pytania, na które nie potrafiłby odpowiedzieć nawet prawaik z Filadelfii. Kiedyś prowadziła tę klasę panna Rogerson i Ania zadała jej bobu. Nie miałam zamiaru prowadzić grupy, w której siedzi żywy znak zapytania. A poza tym uważałam, że pani Allan należy się maleńka nauczka. Pastorowe, jeśli od czasu do czasu ktoś im się nie sprzeciwi, skłonne są uważać, że mogą wszystkim i wszystkimi rządzić, jak chcą.

— Pani Allan — odpowiedziałam — nieważne, jak by było dla mnie lepiej, dla nich bowiem będzie lepiej, jeżeli to ja się nimi zajmę.

— W to nie wątpię, panno MacPherson — odparła uprzejmie pani Allan. Żeby żona pastora posuwała się do kłamstwa! Ponieważ, oczywiście, miała poważne wątpliwości. Uważała, że nie zdam egzaminu jako nauczycielka chłopców.

Ale tak się nie stało. Jeśli się do czegoś naprawdę przyłożę, zwykle mi to wychodzi. Jestem z tego znana.

— To wręcz wspaniałe, jak się zmienili chłopcy w pani klasie, panno MacPherson, to wspaniałe — powiedział w parę tygodni później pastor Allan. Nie zamierzał okazać, jak go to dziwi, że stara panna nienawidząca mężczyzn potrafiła poradzić sobie z chłopcami, ale zdradził go wyraz twarzy.

— Gdzie mieszka Kuba Spencer? — zapytałam ostrym tonem. Przyszedł tylko raz, trzy tygodnie temu, i odtąd się nie pojawił. Mam zamiar poznać powody.

Pastor Allan zakaszłał.

— O ile wiem, pracuje u Aleksandra Bennetta, którym ma farmę przy drodze do Białych Piasków.

— Wobec tego pójdę do Aleksandra Bennetta przy drodze do i Białych Piasków i dowiem się, czemu Kuba Spencer nie przychodzi do szkoły niedzielnej.

W oczach pastora Allana pokazał się figlarny błysk. Zawsze uważałam, że gdyby ten człowiek nie był pastorem, sływałyby z poczucia humoru.

— Nie jestem pewien, jak pan Bennett przyjmie pani życzliwe zainteresowanie. On... on, o ile wiem, jest bardzo uprzedzony do płci pięknej. Odkąd dwadzieścia lat temu umarła siostra pana Bennetta, w jego domu nie powstała noga kobiety.

— Aha, to ten — przypomniałam sobie. — Ten, który grozi, że jeśli na jego podwórzu pojawi się kobieta, to przegna ją widłami. *Mnie* nie przegna.

Pastor Allan zachichotał bardzo po kapłańsku, niemniej był to chichot. Trochę mnie tym zdenerwował, bo dał do zrozumienia, że nie poradzę sobie z panem Aleksandrem Bennettem. Ale nic pastorowi nie okazałam. To wielki błąd okazać mężczyźnie, że jest w stanie cię zdenerwować.

Następnego dnia zaprzęłam kucyka do dwukółki i pojechałam do Aleksandra Bennetta. Jak zwykle zabrałam ze sobą Williama Adolfa. Miałam sześć kotów, ale William Adolf był moim ulubieńcem. To czarny kot z białym kołnierzykiem i w pięknych białych skarpetkach. Siada koło mnie i wygląda znacznie bardziej po dżentelmeńsku niż większość mężczyzn.

Farma Aleksandra Bennetta była oddalona o jakieś trzy mile. Na pierwszy rzut oka rozpoznałam jego dom, taki był zaniedbany. Należałoby go jak najszybciej odmalować, okiennice były spaczone i powyginane, chwasty zarastały podwórze aż po same drzwi. Od razu było widać, że nie ma tu kobiety. Niemniej był to ładny dom, a zabudowania gospodarskie były wspaniałe. Ojciec mój mawiał, że jeśli obejście lepiej wygląda niż dom, oznacza to, iż zarobki gospodarza przewyższają wydatki. Niemniej i ono mogłoby wyglądać schludniej. Czegoż jednak można oczekiwać po człowieku, który nienawidzi kobiet?

— Niemniej Aleksander Bennett, chociaż jest wrogiem kobiet, musi być niezłym gospodarzem — powiedziałam do Williama Adolfa wysiadając z dwukółki i przywiązując kucyka do płotu.

Podjechałam do domu od tyłu i znalazłam się naprzeciwko bocznych drzwi, wychodzących na werandę. Uznałam, że mogę równie dobrze wejść z tej strony, wpakowałam więc Williama Adolfa pod ramię i ruszyłam ścieżką. W pół drogi zobaczyłam psa, który wybiegł zza domu i rzucił się w moją stronę. Był to najbrzydszy pies, jakiego widziałam w życiu — nie szczekał, tylko leciał w moją stronę z żądzą mordy w ślepiach.

Nie zatrzymałam się, bo nie da się porozumieć z psem, który nie szczeka. Mocno chwyciwszy Williama Adolfa pobiegłam nie w stronę drzwi, gdyż między nimi a mną znajdował się ten pies — tylko w stronę rosnącej przy rogu domu wiśni o rozłożystych gałęziach. Posadziłam Williama Adolfa na gałęzi nad moją głową i pospiesznie wdrapałam się na to błogosławione drzewo, nie zastanawiając się, co pomyśli Aleksander Bennett, jeśli przypadkiem wyjrzy przez okno.

Czas na refleksje nadszedł wówczas, gdy już siedziałam wysoko na drzewie, mając koło siebie Williama Adolfa. William Adolf nic się nie przejął i był zupełnie spokojny. Nie mogę tego powiedzieć o sobie. Muszę przyznać, że wręcz przeciwnie, byłam zupełnie rozstrojona.

Pies przysiadł pod drzewem, patrząc na nas spod oka i było jasne, że nie ma dziś w planie żadnych innych zajęć. Szczyrzył zęby i kiedy napotkał mój wzrok, warczał.

— *Wyglądasz na psa człowieka nienawidzącego kobiet* — powiedziałam. Miało to być obelgą, ale bestia uznała to za komplement.

Potem zaczęłam się zastanawiać, jak wybrnąć z tej sytuacji. I nie znalazłam wyjścia.

— Jak myślisz, Williamie Adolfie, może powinnam zacząć krzyczeć? — zapytałam. Ale ten inteligentny zwierzak pokręcił przecząco głową. Fakt. I musiałam się z nim zgodzić.

— Dobrze, Williamie Adolfie, nie zacznę krzyczeć. Zresztą nikt prócz Aleksandra Bennetta mnie nie usłyszy, a bardzo wątpię, żeby go to miało wzruszyć. Jasne jest, że nie możemy zejść z drzewa. Ale może spróbujemy wejść wyżej?

Spojrzałam w górę. Tuż nad moją głową znajdowało się otwarte okno, a pod nim solidnie wyglądająca gałąź.

— No co, Williamie Adolfie, spróbujemy? — spytałam.

William Adolf nie marnując czasu na rozmowy ruszył w górę. Poszłam za jego przykładem. Pies zaczął biegać wokół drzewa, wyglądało na to, że nam po cichu złorzeczy. Ulżyłoby mu pewnie, gdyby zaszczekał, ale wyraźnie sprzeciwiało się to jego zasadom.

Stosunkowo łatwo wlałam przez okno i znalazłam się w sypialni. Wszędzie pełno było kurzu i panował bałagan, jakiego w życiu nie widziałam. Ale nie traciłam czasu na rozglądanie się. Znów wzięłam Williama Adolfa pod pachę i zesłam na dół marząc, by nikogo nie spotkać.

Nie spotkałam. Sień na dole była pusta i zaśmiecona. Otworzyłam pierwsze drzwi z brzegu i weszłam do środka. Przy oknie siedział jakiś mężczyzna i wyglądał przez nie z nader posępną miną. Od razu wiedziałam, że jest to Aleksander Bennett, wszędzie bym go poznała. Był równie zaniedbany jak jego dom. I tak samo jak było widać, że dom mógłby być ładnym domem, on także gdyby był trochę schludniejszy, mógłby uchodzić za przystojnego mężczyznę. Jego włosy wyglądały tak, jakby nigdy nie widziały grzebienia, a bokobrody wręcz sterczały. Spojrzał na mnie osłupiałym wzrokiem.

— Gdzie jest Kuba Spencer? — spytałam. — Przyszłam tu z nim porozmawiać.

— Jakim cudem pies panią wpuścił?

— Wcale mnie nie wpuścił — odparłam. — Gonił mnie przez cały trawnik i rozszarpałby mnie na strzępy, gdybym się nie wdrapała na drzewo. Powinno się panu wymierzyć grzywnę za spuszczenie z łańcucha tej krwiożerczej bestii! Gdzie jest Kuba?

Aleksander Bennett zamiast mi odpowiedzieć, zaczął się nieprzyjemnie śmiać.

— Można być pewnym, że jak baba się uprze, to zawsze wlezie do domu mężczyzny.

Zobaczyłam, że chce mnie rozżościć, zachowałam więc kamienny spokój.

— Och, panie Bennett, bynajmniej nie zależało mi na odwiedzeniu pana domu. Nie miałam wyboru. Musiałam wejść, żeby nie spotkało mnie coś gorszego. Nie zamierzałam oglądać ani pana, ani pańskiego domu, choć muszę przyznać, że dom warto było zobaczyć, żeby przekonać się, do jakiego stopnia coś *może* zarosnąć brudem. Chodziło mi o Kubę. Po raz trzeci i ostatni pytam: gdzie Kuba?

— Kuby tu nie ma — odpowiedział opryskliwie pan Bennett, ale nie był już tak pewny siebie. — Tydzień temu odszedł i pracuje teraz w Nowych Mostach.

— W takim razie — oświadczyłam biorąc na ręce Williama Adolfa, który z pogardliwą miną przechadzał się po pokoju — nie będę panu dłużej przeszkadzać. Wracam do domu.

— Tak chyba będzie najlepiej — powiedział Aleksander Bennett tym razem bez opryskliwości, ale z namysłem, jakby się nad czymś zastanawiał. — Wypuszczę panią tylnymi drzwiami. Tak będzie bezpieczniej... chcę powiedzieć, tam nie napadnie na panią pies. Proszę wyjść szybko i cicho.

Zastanawiałam się, dlaczego Aleksander Bennett sądzi, że mogłabym zacząć pokrzykiwać. Uznałam jednak, że dostojniej będzie zbyć to milczeniem, i poszłam za nim do kuchni tak

szybko i cicho, jak tego pragnął.

Kiedy Aleksander Bennett otworzył zamknięte na klucz drzwi, przed dom zajęchała dwukółka, w której siedziało dwóch mężczyzn.

— Za późno! — jęknął. Doszłam do wniosku, że musiało się zdarzyć coś strasznego, nie przejęłam się jednak, gdyż nie sądziłam, by mogło to mnie dotyczyć. Odsunęłam Aleksandra Bennetta, który wyglądał tak, jakby go ktoś przyłapał na gorącym uczynku, i znalazłam się twarzą w twarz z wysiadającym z dwukółki mężczyzną. Był to stary doktor Blair z Carmody, który spojrzał na mnie jak na przestępczynię.

— Moja kochana Piotrusiu — oznajmił zatroskanym tonem — widzę cię tutaj z prawdziwą przykrością.

Przyznaję, że wpadłam w szal. Nie mówiąc o tym, że żaden mężczyzna, nawet mój rodzinny lekarz, nie ma prawa nazywać mnie „swoją kochaną Piotrusia”.

— Dlaczego z przykrością? — spytałam wyniosłym tonem. — Jeśli czterdziestoosmioletnia kobieta, członkini prezbiteriańskiego kościoła nie może przyjść do swego ucznia ze szkoły niedzielnej, nie łamią wymogów przyzwoitości, to ile według pana musi sobie liczyć lat, żel móc sobie pozwolić na podobny wyskok?

Doktor nie odpowiedział na moje pytanie. Spojrzał z wyrzutem na Aleksandra Bennetta.

— To tak dotrzymuje pan słowa, panie Bennett? — spytał. — Obiecał mi pan nie wpuszczać nikogo do domu.

— Nie wpuściłem jej — warknął pan Bennett. — Dobre nieba, ona weszła przez okno, mimo że na podwórzu był i policjant, i pies! Na taką babę nie ma rady.

— Nie rozumiem, co to wszystko znaczy? — spytałam doktora, ignorując całkowicie Aleksandra Bennetta. — Skoro jednak moja obecność tutaj wzbudza ogólne potępienie, łatwo przyjdzie temu zaradzić. Już sobie idę.

— O nie, moja kochana Piotrusiu — rzekł z powagą doktor — przykro mi, ale nie mogę do tego dopuścić. Ten dom objęty jest kwarantanną z powodu ospy. Będziesz musiała tu pozostać.

Ospa! Po raz pierwszy i ostatni w życiu straciłam panowanie nad sobą w obecności mężczyzny. Z wściekłością natarłam na Aleksandra Bennetta.

— Czemu mi pan tego nie powiedział?

— Powiedział... Kiedy zobaczyłem panią, było już na to za późno.. Uznałem, że najlepiej będzie trzymać język za zębami i pozwolić pani szybko odejść. Będzie to dla pani świetna nauka, by nie wdzierać się siłą do domu mężczyzny.

— No, no, moi drodzy, tylko się nie kłóćcie — zainterweniował doktor. — Będziecie musieli spędzić sporo czasu pod jednym dachem i kłótnie pogorszą tylko sytuację. To było tak, Piotrusiu. Pan Bennett pojechał wczoraj do miasta — gdzie, jak pewnie wiesz, wybuchła epidemia ospy — i zjadł obiad w hotelu, w którym zachorowała jedna z pokojówek. W nocy okazało się, że ma ospę. Komisja Zdrowia stara się odnaleźć wszystkich, którzy byli wczoraj w tym hotelu, gdyż muszą się poddać kwarantannie. Przyjechałem tu rano i wyjaśniłem panu Bennettowi całą sytuację. Przywiozłem Jeremiasza Jeffriesa, żeby pilnował frontu domu, i pan Bennett dał mi słowo honoru, że nikogo nie wpuści tylnym wejściem, a ja pojechałem załatwić jego sprawy i przywieźć drugiego policjanta. No i przywiozłem Tomasza Wrighta, i znalazłem kogoś, kto zajmie się gospodarstwem pana Bennetta i będzie zaopatrywał go w żywność. Nocą będą pilnowali domu Jakub Green i Kleofas Lee. Nie sądzę, aby pan Bennett miał dostać ospy, ale póki się to nie wyjaśni, ty, Piotrusiu, będziesz tu musiała zostać.

Słuchałam doktora i rozmyślałam gorączkowo. Jeszcze nigdy nie znalazłam się w tak przykrym położeniu, nie należało go więc jeszcze pogarszać. — Dobrze, panie doktorze — oświadczyłam spokojnie. — Tak, kiedy przed miesiącem zaczęło się mówić o ospie, zostałam zaszczepiona. Może będzie pan tak dobry i wracając z Avonlea zajrzy do Sary Pye i poprosi ją, żeby u mnie zamieszkała i zajęła się gospodarstwem, a zwłaszcza kotami. Dwa razy

dziennie piją nie zbierane mleko, a raz na tydzień dostają kawałek masła. Niech pan ją także poprosi, żeby zapakowała dwa ciemne szlafroki, parę fartuchów i trochę bielizny i przysłała mi tutaj. Do płotu jest przywiązany kucyk, trzeba go odprowadzić do domu. To by chyba było wszystko.

— Nie, nie wszystko! — wykrzyknął opryskliwie Aleksander Bennett. — Niech pani odeśle do domu tego kota. Nie zniosę w domu kota, już wolałbym ospę.

Zmierzyłam Aleksandra Bennetta wzrokiem od stóp do głów, ale bardzo powoli. Potem powiedziałam spokojnie:

— Niewykluczone, że będzie pan miał i kota, i ospę. W każdym razie William Adolf tu zostanie. I on podlega kwarantannie, tak samo jak pan i ja. Czy sądzi pan, że dopuszczę, żeby mój kot biegał po Avonlea roznosząc zarazki? *Ja* będę musiała znieść towarzystwo tego pańskiego psa. A pan Williama Adolfa.

Aleksander Bennett mruknął coś, ale zauważyłam, że mój wzrok zrobił swoje.

Doktor odjechał, a ja weszłam do domu nie chcąc się dłużej narażać na chichoty Tomasza Wrighta. Powiesiłam w sieni płaszcz i położyłam na stole w saloniku czepek, wytarłszy przedtem stół chusteczką do nosa. Miałam ochotę zabrać się zaraz do wielkich porządków, ale musiałam czekać, aż doktor wróci z moimi rzeczami. Nie mogłam przecież sprzątać w nowym kostiumie i jedwabnej bluzce.

Aleksander Bennett siedział na krześle i przyglądał mi się. Po chwili powiedział:

— *Nie* jestem z natury ciekawy, ale czy mogłaby mi pani powiedzieć, dlaczego doktor mówi do pani: Piotrusiu?

— Pewnie dlatego, że tak mam na imię — odparłam szykując dla Williama Adolfa poduszkę; gdy potrząsnęłam nią, wzbił się tuman kurzu.

Aleksander Bennett zakasłał.

— Czy nie jest to — yhy-yhy — dosyć dziwne imię dla kobiety?

— Jest — odparłam zastanawiając się, czy w domu znajdzie się dosyć mydła — o ile w ogóle jest tu mydło.

— Nie jestem z natury ciekawy — powtórzył Aleksander Bennett — ale chciałbym wiedzieć, jak to się stało, że otrzymała pani imię Piotr?

— Moi rodzice zamierzali nadać mającemu się urodzić synowi imię Piotr, na cześć bogatego wuja. Kiedy okazało się — na całe szczęście — że jestem dziewczynką, matka uparła się, żeby mnie nazwać Angeliką. Ochrzczono mnie obydwoma imionami i nazywano Angeliką, ale jak trochę podrosłam, zażądałam, żeby mówiono do mnie Piotr. Zawsze to trochę lepiej niż Angeliką.

— Niewątpliwie imię to bardziej do pani pasuje — zauważył Aleksander Bennett, wyraźnie chcąc być złośliwy.

— No właśnie — zgodziłam się spokojnie. — Nazywam się panna MacPherson i mieszkam w Avonlea. Ponieważ nie jest pan człowiekiem ciekawym, te informacje powinny panu wystarczyć.

— Aha! — Aleksander Bennett spojrzał tak, jakby nagle coś zrozumiał. — Słyszałem o pani. To pani... pani utrzymuje, że nie cierpi mężczyzn.

Utrzymuje! Trudno powiedzieć, jaki los spotkałby Aleksandra Bennetta, gdyby nic nie odwróciło mojej uwagi. Ale otworzyły się drzwi i wszedł pies — *ten* pies. Pewnie znudziło mu się czekać pod wiśnią na mnie i Williama Adolfa. W domu wydawał się jeszcze brzydszy.

— Och, Panie Riley, Panie Riley, widzisz, coś ty narobił! — powiedział z wymówką w głosie Aleksander Bennett.

Jednakże Pan Riley — skoro tak się ta bestia nazywała — nie zwrócił na Aleksandra Bennetta najmniejszej uwagi. Zobaczył zwiniętego w kłębek na poduszce Williama Adolfa i ruszył w jego stronę. William Adolf usiadł.

— Niech pan przytrzyma psa — powiedziałam ostrzegawczo do Aleksandra Bennetta.

— Niech go pani sama zatrzyma — odpowiedział. — Sprowadziła tu pani kota, to niech się pani nim opiekuje.

— Och, nie chodzi mi o Williama Adolfa — odparłam z uśmiechem. — William Adolf da sobie radę.

William Adolf dał sobie radę. Wygiął grzbiet, spląszczyły mu się uszy, zaklął i skoczył na Pana Riley'a. Wylądował na jego pasiastym grzbiecie i wczepił się weń, plując i miaucząc.

Nigdy nie widziałam bardziej przerażonego psa. Z przeraźliwym wrzaskiem uciekł do kuchni, z kuchni do sieni, z sieni z powrotem do pokoju, i tak w kółko. Za każdym okrażeniem biegł szybciej i wyglądał jak pasiasta smuga z biało-czarnym wykończeniem. Nigdy nie słyszałam takiego jazgotu i śmiałam się do łez. Pan Riley galopował w kółko, a William Adolf trzymał się go pazurami. Aleksander Bennett spurpurowiał ze złości.

— Kobieto odwołaj tego piekielnego kota, nim wykończy mojego psa.

— Och, nie zabije go — powiedziałam pocieszającym tonem. — Nie mam co wołać, nie usłyszysz. Jeśli pan, panie Bennett, zatrzyma psa, podejmuję się przemówić Williamowi Adolfowi do rozsądku, ale nie mogę dyskutować z błyskawicą.

Aleksander Bennett rzucił się na pasiastą smugę, gdy go mijala, ale stracił równowagę i runął na ziemię. Podbiegłam, by pomóc mu wstać, ale to jeszcze bardziej go rozwścieczyło.

— Kobieto — wrzasnął — chciałbym zobaczyć panią i tego diabelskiego kota w...

— W Avonlea — dokończyłam szybko, żeby nie dopuścić do bluźnierstwa. — Ja także pragnę tego, panie Bennett, z całego serca. Ale skoro jest to niemożliwe, musimy zachowywać się rozsądnie. I na przyszłość będzie pan uprzejmy pamiętać, że nie jestem kobietą, tylko panną MacPherson!

W tym momencie awantura się skończyła, co mnie ucieszyło, gdyż zwierzęta tak wrzeszczały, że obawiałam się, iż policjant nie zważając na ospę wpadnie do domu, by zobaczyć, czy Aleksander Bennett i ja nie mordujemy się nawzajem. Pan Riley nagle skręcił i wpadł do kąta między piec kuchenny i skrzynię na drzewo, a William Adolf przytomnie zeskoczył.

Potem już nie było z Panem Riley'em żadnych kłopotów. Trudno by było znaleźć potulniejszego psa. William Adolf odniósł zwycięstwo i nie dawał o tym zapomnieć.

Widząc, że zapanował spokój, a zbliża się piąta, postanowiłam przygotować podwieczorek. Oznajmiłam Aleksandrowi Bennettowi, że zajmę się wszystkim, jeśli pokaże mi, gdzie trzyma żywność.

— Nie ma powodu — odparł Aleksander Bennett. — Od dwudziestu lat sam sobie gotuję.

— Sobie, ale nie mnie — odpowiedziałam stanowczo. — Choćbym miała zagłodzić się na śmierć, nie tknę ugotowanej przez pana strawy. Jeśli szuka pan zajęcia, mógłby pan opatrzeć rany temu biednemu psu.

Aleksander Bennett mruknął coś, czego wolałam nie słyszeć. Widząc, że nie zamierza udzielić mi informacji, wybrałam się do spiżarni. Trudno opisać, jak ona wyglądała, i po raz pierwszy poczułam dla Aleksandra Bennetta coś w rodzaju litości. Kiedy człowiek żyje w podobnych warunkach, to nic dziwnego, że nienawidzi kobiet, dziwne jest raczej, że nie nienawidzi całej ludzkości.

Ale przygotowałam podwieczorek. Znana jestem z moich kolacji. Chleb pochodził z piekarni w Carmody, zrobiłam więc pyszne grzanki i zaparzyłam wyborną herbatę. Znalazłam słoik brzoskwini, pochodził on ze sklepu, więc się nie brzydziłam ich jeść.

Pod wpływem herbaty i grzanek Aleksander Bennett chcąc nie chcąc złagodniał. Zjadł wszystko do ostatniej kruszyny i nie protestował, gdy nalałam Williamowi Adolfowi resztę śmietanki. Pan Riley niczego się nie domagał. Nie miał apetytu.

Przyszedł chłopak od doktora z moją walizką. Aleksander Bennett zupełnie uprzejmie pokazał mi gościnny pokój z drugiej strony sieni. Poszłam tam i włożyłam szlafrok. Stały tam zupełnie przyzwoite meble i wygodne łóżko. Ale ten kurz! William Adolf poszedł za mną i na

podłódze widać było wyraźnie ślady jego łapek.

— No tak — powiedziałałam wróciwszy do kuchni. — Zabieram się do porządków i zacznę od kuchni. Więc lepiej, panie Bennett, żeby poszedł pan do saloniku i nie przeszkadzał.

Aleksander Bennett spojrział na mnie ostro.

— Nie będzie mi tu pani myszkowała po domu, warknął. — Mnie się podoba tak jak jest. A jeśli pani nie, to może pani się wynosić!

— Niestety, nie mogę. W tym sęk — odpowiedziałam uprzejmie. — Gdybym się stąd mogła wynieść, nie zostałabym ani sekundy. A ponieważ nie mogę, dom musi być czysty. Kiedy nie mam innego wyjścia, mogę znieść obecność mężczyzn i psów, ale nie mam zamiaru znosić brudu i kurzu. Proszę iść do saloniku.

I Aleksander Bennett poszedł. Kiedy zamykał drzwi słyszałam jak mówi: CO ZA STRASZNA BABA!

Wyszorowałam kuchnię i spiżarnię. Skończyłam o dziesiątej, a Aleksander Bennett nic już nie mówiąc poszedł spać. Zamknęłam Pana Rileya w jednym pokoju. Williama Adolfa w drugim i też poszłam się położyć. Nigdy dotąd nie czułam się tak zmęczona. Był to ciężki dzień.

Ale następnego ranka wstałam rześka, przygotowałam pyszne śniadanie i Aleksander Bennett raczył je zjeść. Kiedy na podwórzu pojawił się człowiek, który miał nas zaopatrywać w żywność, zawołałam z okna, by przyniósł mi po południu duży zapas mydła, i zabrałam się do saloniku.

Doprowadzenie domu do porządku zajęło mi blisko tydzień, były to gruntowne porządki. Wszystko robię gruntownie, jestem z tego znana. Dom był czysty od strychu po piwnicę. Aleksander Bennett nic nie mówił, ale często i głośno pojękiwał i obrzucał sarkazmami biednego Pana Rileya, który po otrzymanej od Williama Adolfa nauczce nie śmiał mu odpowiadać.

Aleksandrowi Bennettowi należały się pewne względy, gdyż szczepionka przyjęła się i ramię było czerwone i obolałe, przygotowywałam więc wykwintne danki, i tak zresztą nie miałam nic do roboty. W domu pełno było prowiantów, Aleksander Bennett nie skąpił, to muszę mu przyznać. W sumie nie było mi tak źle. Kiedy Aleksander Bennett nie miał ochoty na rozmowę, zostawiałam go w spokoju, a kiedy się odzywał, odpowiadałam sarkazmami na jego sarkazmy, ale uprzejmie i z uśmiechem. Widziałam, że zaczął się mnie bać. Ale od czasu do czasu zapominał o swoich uprzedzeniach i mówił jak człowiek. Odbyliśmy więc parę interesujących rozmów. Aleksandrowi Bennettowi nie brak było inteligencji, choć została ona wypaczona. Powiedziałam mu kiedyś, że musiał być zupełnie miłym chłopcem.

Któregoś dnia zadziwił mnie pojawiając się na obiedzie w białym kołnierzyku i starannie uczesany. Mieliśmy tego dnia wspaniały obiad, a deser był stanowczo zbyt dobry dla mężczyzny nienawidzącego kobiet. Aleksander Bennett zjadł dwie porcje, westchnął i powiedział:

— Trzeba przyznać, że umie pani gotować. Szkoda, że poza tym jest z pani taka dziwaczka.

— Bardzo jest wygodnie być dziwaczką — odpowiedziałam. — Każdy uważa, żeby mi się nie narazić. Powinien pan to wiedzieć z własnego doświadczenia.

— Ja nie jestem dziwakiem — niechętnie mruknął Aleksander Bennett. — Pragnę tylko, żeby mi dano święty spokój.

— To najgorszy rodzaj dziwactwa — oznajmiłam. — Ktoś, kto chce, by mu dano święty spokój, rzuca wyzwanie Opatrzności, która uznała, że nikogo, dla jego własnego dobra, nie należy pozostawiać własnemu losowi. Ale niech się pan pocieszy, panie Bennett. We wtorek skończy się kwarantanna i przez resztę życia będzie pan miał święty spokój, przynajmniej o ile chodzi o Williama Adolfa i o mnie. Będzie się mógł pan tarzać w kurzu i rozkoszować brudem.

Aleksander Bennett znów warknął, jakby ta perspektywa wcale go nie zachwycała, tak jak tego oczekiwałam. Potem zrobił coś bardzo dziwnego. Nalał na spodeczek śmietankę i postawił go przed Williamem Adolfem. William Adolf wychleptał śmietankę, jednym okiem spoglądając na pana Bennetta, na wypadek gdyby ten miał zmienić zdanie. Nie chciałam dać się prześcignąć i rzuciłam Panu Rileyowi kość.

Ani Aleksander Bennett, ani ja nie przejmowaliśmy się zbyt ospą. Nie wierzyliśmy, że zachoruje, gdyż nawet nie widział tej pokojówki. Ale zaraz następnego dnia rano usłyszałam, jak woła mnie z podestu schodów.

— Panno MacPherson — powiedział tak łagodnym tonem, że poczułam się nieswojo. — Jakie są objawy ospy?

— Dreszcze, bóle pleców, rąk i nóg, mdłości i wymioty — odpowiedziałam natychmiast, gdyż wyczytałam to w poradniku medycznym.

— To mam ospę — odpowiedział Aleksander Bennett słabym głosem.

Sądziłam, że mnie to przerazi, ale nie przerażyło. Po doświadczeniach z człowiekiem nienawidzącym kobiet, pasiastym psem i tym strasznym brudem — a wyszłam z nich zwycięsko — ospa wydawała mi się błahym drobiazgiem. Podeszłam do okna, zawołałam Tomasza Wrighta i kazałam mu wezwać doktora.

Doktor po obejrzeniu Aleksandra Bennetta zszedł na dół z ponurą miną.

— Trudno mi w tej chwili coś powiedzieć. Nie ma pewności, póki nie pojawi się wysypka. Ale wszystko wskazuje, że to ospa. Nieszczęśliwie się składa, bo będą kłopoty z pielęgniarką. Wszystkie pielęgniarki w mieście, które zgadzają się pielęgnować chorych na ospę, są w tej chwili zajęte, epidemia trwa. Niemniej pojedę tam dziś wieczorem i zobaczę, co się da zrobić. Chwilowo panu Bennettowi nic nie trzeba, więc ty, Piotrusiu, nie zbliżaj się do niego.

Nie zamierzałam słuchać rozkazów żadnego mężczyzny, zatem kiedy tylko doktor wyszedł, poszłam z tacą do pokoju Aleksandra Bennetta. Zrobiłam cytrynowy budyń i uważałam, że nawet jeśli ma ospę, może go spokojnie zjeść.

— Niech pani się nie zbliża — jęknął. — Rzykuje pani życie.

— Nie mam zamiaru patrzeć, jak ktoś kona z głodu, nawet jeśli tym kimś jest mężczyzna — odparłam.

— Najgorsze jest to — oznajmił Aleksander Bennett między jedną a drugą łyżką budyniu — że doktor chce mi sprowadzić pielęgniarkę. Do pani już przywykłem, ale strach pomyśleć, że pojawi się tu jeszcze jedna kobieta. Czy nakarmiła pani mojego biednego psa?

— Zjadł lepszy obiad niż wielu chrześcijan — odparłam ostro. Aleksander Bennett niepotrzebnie niepokoił się myślą o następnej kobiecie w domu. Doktor wrócił wieczorem z zafrasowaną miną.

— Nie wiem, co robić. Nie mogę nikogo znaleźć.

— Sama będę pielęgnować pana Bennetta — powiedziałam z godnością. — To mój obowiązek, a jestem znana z tego, że wypełniam swoje obowiązki. Jest mężczyzną, ma ospę i antypatycznego psa, ale to nie powód, żebym patrzyła, jak umiera z braku opieki.

Pielęgnowałam Aleksandra Bennetta przez cały okres choroby i nie narzekałam. W chorobie był dużo miłszy niż zwykle, a przebieg choroby był łagodny. Na dole rządziłam niepodzielnie i Pan Riley wraz z Williamem Adolfem leżeli sobie jak lew z jagnięciem. Pan Riley dostawał regularne posiłki i raz, kiedy wyglądał bardzo smutno, pogłaskałam go ostrożnie. I nie było to wcale takie przykre. Pan Riley podniósł łeb z takim wyrazem w ślepiach, że przestałam się dziwić, czemu Aleksander Bennett jest do tej bestii tak przywiązany.

Kiedy Aleksander Bennett mógł już usiąść, zaczął nadrabiać stracony czas. Cała rekonwalescencja upłynęła pod znakiem sarkazmów, trudno to sobie nawet wyobrazić. Ja się tylko śmiałam, bo zauważyłam, że to go najbardziej irytuje. Żeby go jeszcze bardziej zirytować, znów zrobiłam generalne porządki. Najbardziej jednak gniewało go, że Pan Riley



chodzi za mną i wymachuje szczątkami ogona.

— Nie dość, że wtargnęła pani do mojego spokojnego domu i wyróciła go do góry nogami, to jeszcze odebrała mi pani przywiązanie psa — skarżył się Aleksander Bennett.

— Jak wrócę do domu, znów będzie pana kochał — pocieszyłam go. — Psy już takie są. Zależy im jedynie na kościach. Tylko koty kochają bezinteresownie. William Adolf jest do mnie nadal niezachwianie przywiązany, choć ukradkiem karmi go pan w spiżarni śmietanką.

Aleksander Bennett zrobił głupią minę. Nie przypuszczał, że wiem.

Nie dostałam ospy i w jakiś tydzień później doktor odesłał policjantów. I ja, i William Adolf przeszliśmy dezynfekcję i mogliśmy wrócić do domu.

— Do widzenia, panie Bennett — powiedziałam podając mu na znak wybaczenia rękę. — Na pewno cieszy się pan, że może się pan mnie pozbyć, ale nie bardziej niż ja. Nie wątpię, że za miesiąc dom będzie jeszcze brudniejszy, niż był, a Pan Riley postrada tę odrobinę manier, których nabył.

Z tym pożegnalnym sarkazmem wyszłam, będąc pewna, że nigdy już nie zobaczę tego domu ani Aleksandra Bennetta.

Cieszyłam się oczywiście, że wróciłam do siebie, ale wkrótce poczułam się jakoś dziwnie i samotnie. Koty zaledwie mnie poznały, a William Adolf krążył niespokojnie i zachowywał się jak wygnaniec. Gotowanie sprawiało mi mniej przyjemności, jakoś głupio było gotować tylko dla siebie. Każda kość przypominała mi biednego Pana Riley'a. Sąsiedzi unikali mnie, gdyż wciąż się bali, że dostanę ospy.

Ktoś inny objął moją klasę w szkole niedzielnej i czułam się jak wyrzutek społeczeństwa.

Tak minęły dwa tygodnie, aż nagle pojawił się Aleksander Bennett. Przyszedł któregoś dnia o zmierzchu i z początku go nie poznałam, tak był wyelegantowany. Jednakże William Adolf poznał go do razu. Trudno w to uwierzyć, ale William Adolf, mój własny William Adolf, otarł się o spodnie tego człowieka mruczając z zadowolenia.

— Musiałem przyjść, Angeliko — powiedział Aleksander Bennett. — Nie mogę tak dłużej żyć.

— Mam na imię Piotr — oświadczyłam chłodno, ale poczułam śmieszne zadowolenie.

— Nie! — odparł uparcie Aleksander Bennett. — Dla mnie jesteś i pozostaniesz Angeliką. Nigdy nie nazwę cię Piotrem. Imię Angelika pasuje do ciebie, a jeszcze bardziej będzie pasowało Angelika Bennett. Wróć, Angeliko. Pan Riley osowiał z tęsknoty, a ja teraz, kiedy mnie do takich zbytków przyzwyczaiłaś, nie potrafię obyć się bez kogoś, kto docenia moją ironię.

— A co z moimi pięcioma kotami? — spytałam. Aleksander Bennett westchnął.

— Cóż, pewnie się bez nich nie obejdzie — westchnął. — Choć gotowe wygnać biednego Pana Riley'a. Ale mogę żyć bez Pana Riley'a, a nie mogę bez ciebie. Kiedy za mnie wyjdiesz?

— Jeszcze nie powiedziałam, że w ogóle wyjdę, prawda? — odparłam cierpko, by okazać stałość charakteru.

— Nie powiedziałaś, ale przecież to zrobisz? — spytał niespokojnie Aleksander Bennett. — Bo jeśli nie, to wolałbym, żebyś mi dała spokojnie umrzeć na ospę. Proszę cię, kochana Angeliko, wyjdź za mnie!

Pomyśleć, że jakiś mężczyzna ośmielił się mnie nazwać „kochaną Angeliką”. I że nie miałam mu tego za złe!

— Gdzie ja pójdę, tam pójdzie William Adolf — oświadczyłam. Ale pozostałe pięć kotów oddam... Zrobię to dla Pana Riley'a.

## NABYTEK PA SLOANE'A

— Coś mi się zdaje, że kończy się melasa — zauważył Pa Sloane. — Może po południu skoczę do Carmody.

— Jeszcze mamy dobry litr — stwierdziła bezlitośnie Ma Sloane.

— Tak? Zauważyłem, że kanister z naftą jest jakiś lekki. Pewnie przydałoby się go napelnić...

— Nafty starczy nam na najbliższe dwa tygodnie. — Ma jadła obiad z obojętnym wyrazem twarzy, ale w jej oczach pojawił się figlarny błysk. Nie chciała, by zauważył to Pa, wpatrywała się zatem w talerz.

Pa Sloane westchnął. Co by tu jeszcze wymyślić? Skupił się i po paru minutach zauważył:

— Przedwczoraj wspomniałaś, że zabrakło nam muszkatołowej gałki?

— Wczoraj kupiłam ją od handlarza jaj — odpowiedziała Ma, z najwyższym wysiłkiem powstrzymując uśmiech. Zastanawiała się, czy ta trzecia porażka powstrzyma wreszcie Pa.

— No cóż — rozjaśnił się Pa, którego nawiedziło natchnienie. — Muszę i tak jechać do Carmody podkuć kasztanek, więc jeśli ci, Ma, potrzeba czegoś ze sklepu, napisz mi na karteczce.

Sprawa podkucia kobyły nie leżała w kompetencjach Ma, choć podejrzewała ona, że kasztance bynajmniej nie potrzeba nowych podków.

— Przystań kołować, Pa — napomniała z wzdrgliwą litością — i powiedz wprost, czemu chcesz jechać do Carmody. Chcesz pójść na tę licytację gratów Garlanda; oto co zamierzasz, Pa Sloane.

— Może i zajrzę tam po drodze. Ale kasztanek naprawdę trzeba podkuć, Ma — bronił się Pa.

— Jak masz na coś ochotę, zawsze znajdziesz jakiś pretekst — gderała Ma. — Masz hysia na punkcie licytacji i to doprowadzi cię do ruiny! Pięćdziesięcioletni mężczyzna powinien już mieć trochę rozumu. A ty im jesteś starszy, tym gorszy. Ja przynajmniej, gdybym już tak wariowała za licytacjami, wybrałabym sobie jakąś porządną, a nie marnowała czasu na Garlanda.

— Właśnie u Garlanda może się znaleźć jakaś tania okazja — bronił się Pa.

— Wiesz co, Pa Sloane, nie kupisz nawet najtańszego grata, bo pojedę z tobą, żeby cię przypilnować. Wiem, że nie powstrzymam cię od wyjazdu, równie dobrze mogłabym się starać zatrzymać wiatr. Ale pojedę z tobą w samoobronie, ten dom już i tak jest pełen rupieci, które naznosiłeś z licytacji.

Pa Sloane znów westchnął. Licytacja w obecności Ma nie przedstawiała się różowo. Ma nie pozwoli mu wziąć w niej udziału. Ale wiedział, że kiedy Ma raz już coś postanowiła, żadnemu śmiertelnikowi nie uda się jej od tego odwieść. Poszedł zatem zaprząć kasztanek.

Pa Sloane uwielbiał licytacje, była to prawdziwa namiętność i zwykle kupował to, czego nikt inny nie chciał. Ma Sloane przez trzydzieści lat cierpliwie walczyła z tą namiętnością, ale z umiarkowanym powodzeniem. Czasem Pa aż sześć miesięcy opierał się żądzy uczestniczenia w licytacji, a potem nadrabiał to i jeździł na wszystkie, które odbywały się względnie blisko, i wracał do domu z wozem pełnym rupieci. Jego ostatnią zdobyczą była przedpotopowa maślnica za pięć dolarów — chłopcy dla żartu podbili cenę — i przywiózł ją oburzonej Ma Sloane, która już od dawna wyrabiała masło w nowoczesnej maślnicy. Krzywda była jednocześnie zniewagą, gdyż to już drugi raz Pa Sloane przywiózł z licytacji starą maślnicę. Był to rozstrzygający moment. Ma oświadczyła, że odtąd Pa nie znajdzie się bez niej na żadnej licytacji.

Ale tego dnia czuwał Anioł Stróż Pa. Kiedy Pa podjechał wozem pod drzwi, przed którymi

czekała Ma, wpadł na podwórze zadyszany malec i rzucił się między Ma a wóz.

— Pani Sloane, czy może pani zaraz do nas przyjść? — wyjąkał. — Nasz dzidzius ma kolkę i mama płacze, i on aż poczerniał na buzi.

Ma poszła czując, że złe gwiazdy sprzysięgły się przeciwko kobiecie, j która stara się wypełnić swój obowiązek wobec męża. Ale przedtem] napomniała jeszcze Pa:

— Muszę cię puścić samego. Ale pamiętaj, że masz *niczego* nie kupować — słyszysz?

Pa słyszał i solennie obiecał, zamierzając dotrzymać obietnicy. Potem radośnie odjechał. Przy każdej innej okazji cieszyłby się z towarzystwa Ma. Ale na licytacji!

Kiedy Pa podjechał pod sklep w Carmody, zobaczył, że na podwóreczku Garlanda jest tłok. Licytacja już się widać zaczęła i Pa nie tracąc czasu poszedł tam. Kasztankę podkuje potem.

Ma niewątpliwie miała rację wyrażając się wzgardliwie o licytacji sprzętów Garlanda. Rzeczywiście była nędzna, zwłaszcza w porównaniu z licytacją u MacDonaldów, która odbyła się miesiąc temu, a Pa do dziś dnia przeżywał ją jeszcze w szczęśliwych snach.

Horacy Garland i jego żona byli ubogimi ludźmi. Kiedy umarli, jedno na gruźlicę, a drugie w sześć tygodni później na zapalenie płuc, zostawili po sobie tylko długi i trochę sprzętów. Dom wynajmowali.

Licytacja była mało ożywiona, panował nastrój posępnej determinacji. Mieszkańcy Carmody wiedzieli, że trzeba sprzedać te sprzęty na pokrycie długów, a zatem należy je kupić.

Z domu wyszła kobieta niosąc półtoraroczne dziecko i usiadła na ławce pod oknem.

— O, patrz, Marta Blair z tym małym Garlandów — pokazał Pa Robert Lawson. — Ciekaw jestem, co się z tym biedaczną stanie?

— Nie ma żadnej rodziny, która by go zabrała? — spytał Pa.

— Nie. Horacy, o ile wiadomo, nie miał krewnych. Pani Horacowa miała brata, ale on przed laty wyjechał do Manitoby i nikt nie wie, co się z nim dzieje. Ktoś będzie się musiał tym malcem zająć, ale nikt się do tego nie pali. Ja tam bym go wziął, bo to miły brzdąc, ale sam mam ośmioro dzieci.

Pa, któremu dźwięczały wciąż w uszach przestrogi Ma, nie brał udziału w licytacji, choć nikt sobie nie wyobraża, ile go to kosztowało. Dopiero kiedy przyszła kolej na doniczki, pomyślał, że może sobie pofolgować. Ale żona Józefa Sloane kazała mu te doniczki nabyć i Józef Sloane przelicytował Pa.

— To by było wszystko — oznajmił licytator, ocierając twarz z potu, bo jak na październik dzień był wręcz upalny.

— Chyba że wystawimy na sprzedaż tego malca!

Zebrani zaczęli się śmiać. Licytacja była nudna i wszyscy mieli ochotę na jakąś rozrywkę. Ktoś zawołał: — Dawaj go, Jakubie! — Ten żart się spodobał i rozległy się następne zachęty.

Jakub Blair wziął małego Edzia z objęć Marty i postawił na stojącym pod drzwiami domu stole, podtrzymując go wielką brunatną łapą. Malec miał jaśniutkie loczki, różową buzię i wielkie błękitne oczy. Zaśmiał się do stojących wokół mężczyzn i zaczął wymachiwać łapkami. Pa Sloane pomyślał, że nigdy nie widział ładniejszego dzieciaka.

— Oto wspaniały okaz dziecka — zawołał licytant. — Prawdziwe, mało używane dziecko. Mówi i chodzi. Kto przystępuje do licytacji? Co ja słyszę, dolar? Jaki to skąpiec ofiarowuje dolara? Nie, proszę pana, dzieci nie sprzedaje się tak tanio, zwłaszcza takich prima sort z loczkami. Zebrani znów się roześmieli. Pa Sloane, żeby uczestniczyć w żarcie, wykrzyknął: — Pięć dolarów!

Wszyscy na niego spojrzeli. Pomyśleli, że Pa Sloane deklaruje w ten sposób chęć zabrania dziecka do domu. Był zamożnym człowiekiem, a jego jedyny syn był już żonaty.

— Sześć! — wrzasnął Jan Clark stojący z drugiej strony podwórza. Jan Clark mieszkał w Białych Piaskach i państwo Clarkowie nie mieli dzieci. Ta oferta Jana Clarka zgubiła Pa. Pa

Sloane nie potrafiłby nikogo nienawidzić, ale z Janem Clarkiem od dawna rywalizował. Na wszystkich aukcjach Jan Clark starał się go przelicytować. I na ostatniej udawało mu się to za każdym razem, gdyż *on* nie bał się swojej żony. Pa poczuł żądzę walki; zapomniał o Ma, zapomniał, co jest przedmiotem licytacji, zapomniał o całym świecie, wiedział tylko, że nie dopuści, aby Jan Clark miał raz jeszcze zatriumfować.

— Dziesięć! — zawołał przenikliwym głosem.

— Piętnaście! — wrzasnął Clark.

— Dwadzieścia! — wykrzyknął Pa.

— Dwadzieścia pięć! — zagrział Clark.

— Trzydzieści! — ryknął Pa. Omal nie dostał udaru, ale odniósł zwycięstwo. Clark odwrócił się ze śmiechem, wzruszając ramionami i licytant, który cały czas bawił zebranych dowcipami, przyznał malca Pa. Dawno nie było na żadnej licytacji w Carmody takiej świetnej zabawy.

Pa Sloane został wypchnięty naprzód. Podano mu chłopca i zrozumiał, że wszyscy liczą na to, że go zabierze, a był zbyt oszołomiony, żeby zaprzeczyć, zresztą serce wyrywało mu się do dziecka.

Pa wyjął pieniądze i licytant spojrzał na nie z powątpiewaniem.

— Przecież to były żarty — zauważył.

— Wcale nie — oświadczył Robert Lawson. — I tak nie starczy na zapłacenie długów. Ta sumka akurat wyrówna rachunek lekarza.

Pa Sloane wracał do domu z nie podkutą kasztanką, malcem i węzełkiem dziecinnych szmatek. Malec nie naprzykrzał mu się, w ciągu ostatnich dwóch miesięcy przywykł do obcych twarzy i wkrótce usnął oparłszy główkę na ramieniu Pa, tego jednak nic nie było w stanie uradować, gdyż cały czas widział twarz Ma Sloane.

Kiedy wjechał na podwórze, Ma czekała na niego przed drzwiami domu. Na widok malca okazała najwyższe zdziwienie.

— Pa Sloane! — zawołała. — Czyje to dziecko i co ono tu robi?

— Ja... Ja... Widzisz, Ma, kupiłem je na licytacji — wyszeptał Pa i czekał na wybuch. Ale wybuch nie nastąpił. Ma zabrakło słów.

Westchnąwszy wzięła dziecko z ramion Pa i kazała mu odprowadzić kasztankę do stajni. Kiedy Pa wrócił do kuchni, Ma położyła dziecko na kozetce, obstawiała ją krzesłami, by malec nie spadł, i dała mu ciasteczko.

— Teraz, Pa Sloane, wyjaśnisz mi może, co się stało?

Pa wyjaśnił. Ma słuchała w ponurym milczeniu. Potem surowo spytała:

— I myślisz, że my to dziecko zatrzymamy?

— N—nie wiem — wyjąkał Pa. Naprawdę nie wiedział.

— *Nie* zatrzymamy. Wychowałam jednego chłopca i wystarczy. Nie myślę jeszcze raz się tak męczyć. Nigdy nie przepadałam za dziećmi. Mówisz, że Maria Garland miała brata w Manitobie? No to do niego napiszemy, że musi się zająć swoim siostrzeńcem.

— Ale, Ma, nikt nie zna jego adresu — zaprotestował Pa patrząc rzewnie na śliczne, roześmiane dziecko.

— Zdobędę jego adres, choćbym miała dawać ogłoszenia do gazet — odpowiedziała Ma. — A ciebie, Pa, należałoby oddać do czubków! Na następnej licytacji gotów jesteś kupić sobie żonę!

Pa zmiażdżony ironią Ma przysunął do stołu krzesło. Ma wzięta dziecko i posadziła je na stole. Mały Edzio roześmiał się i uszczypnął ją w policzek. Uszczypnął Ma! Ma miała ponurą minę, ale nakarmiła dziecko równie zręcznie, jak trzydzieści lat temu. Kobieta, która raz była matką, zachowuje tę zręczność na resztę życia.

Po herbacie Ma posłała Pa do Williama Aleksandra, by pożyczył wysokie dziecinnie krzeselko. Kiedy Pa wrócił o zmierzchu, malec znów siedział na kozetce obstawionej

krzesłami, a Ma krzątała się po strychu. Zniosła na dół dziecinne łóżeczko, w którym ongi sypiał jej synek, i ustawiła w ich sypialni. Potem rozebrała dziecko i ułożyła je do snu nucąc starą kołysankę. Pa Sloane siedział cicho i nadśluchiwał, snując piękne wspomnienia o tamtych dawnych czasach, kiedy on i Ma byli młodymi dumnymi rodzicami, a brodaty William Aleksander kędzierzawym malcem, takim jak ten.

Ma nie musiała dawać ogłoszeń, by odszukać brata pani Garlandowej. Zobaczył nekrolog i napisał do poczmistrza prosząc o bliższe informacje. List odesłano Ma i Ma nań odpowiedziała.

Napisała, że chwilowo opiekują się dzieckiem, ale nie mają zamiaru go zatrzymać i zapytuje wuję, co zamierza z nim zrobić. Potem zalepiła i zaadresowała pewną ręką kopertę i spojrzała na Pa, który siedział w fotelu z dzieckiem na kolanach. Wspaniale się bawili. Pa zawsze uwielbiał dzieci. I teraz wyglądał na młodszego o dziesięć lat.

Spojrzenie Ma zmiękło.

List spotkał się z natychmiastową odpowiedzią. Wuj Edzia pisał, że sam ma sześcioro dzieci, ale chętnie zaopiekuje się siostrzeńcem. Nie może jednak po niego przyjechać. Wiosną Józef Spencer z Białych Piasków wybiera się do Manitoby. Gdyby do tego czasu państwo Sloane mogli się zaopiekować dzieckiem, byłby bardzo wdzięczny. Może zresztą jakaś okazja pojawi się wcześniej.

— Na pewno nie będzie wcześniej żadnej okazji — powiedział z zadowoleniem Pa Sloane.

— Niestety! — odparła szorstko Ma.

Minęła zima. Edzio rósł i rozwijał się, a Pa Sloane go uwielbiał. Ma zresztą też była dla niego bardzo dobra i Edzio kochał ją tak samo jak Pa.

Kiedy zaczęła zbliżać się wiosna, Pa posmutniał. Często wzdychał, zwłaszcza gdy słyszał o wyjeździe pana Józefa Spencera.

Któregoś ciepłego majowego popołudnia pojawił się Józef Spencer. Ma siedziała w kuchni robiąc na drutach, Pa drzemał nad gazetą, a malec bawił się z kotem na podłodze.

— Dzień dobry, pani Sloane — powiedział z wyszukaną uprzejmością Józef Spencer. — Wpadłem tu w sprawie tego młodego człowieka. Zamierzamy wyjechać w przyszłą środę, więc może go nam państwo odeślą w poniedziałek lub wtorek, żeby miał czas się do nas przyzwyczaić i...

— Ma! — wyszeptał błagalnie Pa zerwawszy się na równe nogi. Ma przeszła go wzrokiem.

— Usiądź, Pa — nakazała. Nieszczęśliwy Pa usiadł.

Wówczas Ma spojrzała na uśmiechniętego Józefa, który z miejsca poczuł się tak, jakby go przyłapała na kradzieży owiec.

— Bardzo pan jest uprzejmy, panie Spencer — oświadczyła lodowatym tonem Ma — ale to dziecko należy do nas. Kupiliśmy je i zapłaciliśmy gotówką. Co umowa, to umowa. Kiedy kupuję dziecko, coś mi się za moje pieniądze należy. Mamy zamiar zatrzymać tego chłopca, choćby miał w Manitobie stu wujów. Czy jasno się wyraziłam, panie Spencer?

— Tak, tak — wyjąkał nieszczęśnik, czując się coraz bardziej winny — ale myślałem, że go państwo nie chcą — pisali państwo do wuję — sądziłem, że...

— Stanowczo za wiele pan myśli — powiedziała życzliwie Ma. — Musi panu być z tym ciężko. Może zostanie pan u nas na podwieczorku?

Nie, Józef nie mógł zostać. Był szczęśliwy, że może uciec, zachowując resztki szacunku dla samego siebie.

Pa Sloane wstał i podszedł do krzesła Ma. Położył jej na ramieniu drżącą rękę.

— Dobra z ciebie niewiasta, Ma — oświadczył z czułością.

— Daj spokój, Pa — odpowiedziała Ma.

## JAK STEFAN CLARK UBIEGAŁ SIĘ O RĘKĘ PRISSY STRONG

Dostałam strasznych newralgicznych bólów twarzy i nie mogłam pójść na wieczorne nabożeństwo, ale Tomasz się wybrał, a kiedy wrócił, tak mu błyszczały oczy, że zaraz wiedziałam, iż ma dla mnie jakieś nowiny.

— Jak sądzisz, kogo Stefan Clark odprowadził po nabożeństwie do domu? — spytał chichocząc.

— Janinę Mirandę Blair — odpowiedziałam bez zastanowienia. Żona Stefana Clarka zmarła przed dwoma laty i choć on wciąż jeszcze nie zwracał uwagi na żadną kobietę, mieszkańcy Carmody już dawno uznali, że najstosowniejszą żoną będzie dla niego Janina Miranda Blair. Ja też bym tak pewnie uważała, gdyby życie nie nauczyło mnie, że kiedy chodzi o małżeństwo, mężczyźni są zupełnie niepoczytalni.

Tomasz znów zachichotał.

— O nie. Podszedł do Prissy Strong. Odgrzebuje stare dzieje.

— Prissy Strong! — wzniosłam ku niebu ręce. Potem roześmiałam się. — Nic z tego nie będzie. Dwadzieścia lat temu, kiedy zaczął się o nią starać, Emmelina zdławiła jego zaloty jeszcze w zarodku i na pewno znów to uczyni.

— Emmelina jest starą jędzą! — mruknął Tomasz. Nie cierpiał Emmeliny, nigdy nie mógł jej znieść.

— Jest, jest — zgodziłam się — i właśnie dlatego robi z Prissy, co zechce. Zapamiętaj sobie moje słowa: jak się tylko dowie, położy temu kres.

Tomasz przyznał mi rację.

Kiedy wieczorem się położyłam, długo nie mogłam zasnąć i rozmyślałam o Prissy i Stefanie. Zwykle nie zaprzątam sobie głowy

cudzymi sprawami, ale Prissy jest tak bezradną istotą, że nie mogłam przestać się nią trapić.

Dwadzieścia lat temu Stefan Clark próbował zalecać się do Prissy Strong. Prissy mieszkała z Emmeliną. Emmelina była o dziesięć lat starsza, miała wówczas trzydzieści lat, i trudno by było znaleźć dwie tak różniące się od siebie siostry.

Emmelina wdała się w ojca, miała ciemne włosy, była wielka, brzydka i niesłuchanie autorytatywna. Żelazną ręką rządziła biedną Prissy.

Tymczasem Prissy była ładną dziewczyną, a przynajmniej tak wszyscy uważali. Osobiście wolę bardziej wyrazistą urodę. Prissy była szczuplutka, miała różową buzię, błagalnie patrzące błękitne oczy i jasnożółte włosy, które dziecinnymi loczkami okalały jej twarz. Była tak potulna i bojaźliwa, jak na to wyglądała, i nikomu nie wyrządziłaby najmniejszej krzywdy. Zawsze lubiłam Prissy, choć nie zachwyciałam się jej urodą.

Niemniej na pewno zachwycił się nią Stefan Clark. Zaczął się do niej zalecać i wyraźnie podobał się Prissy. Ale Emmelina szybko położyła temu kres. Z czystej złośliwości. Stefan był dobrą partią i nikt nie mógłby powiedzieć o nim złego słowa. Emmelina postanowiła po prostu, że Prissy nie wyjdzie za mąż. Bo sama nie mogła znaleźć męża i bardzo ją to bolało.

Oczywiście, gdyby Prissy miała odrobinę charakteru, nie ustąpiłaby tak łatwo. Ale nie miała. Gdyby Emmelina kazała jej obciąć nos, natychmiast by to wykonała. Była taka sama jak jej matka. Nazwisko, które nosiła, zupełnie do niej nie pasowało. Prissy Strong\*! A była taka słaba.

Któregoś wieczoru po nabożeństwie Stefan jak zwykle podszedł do Prissy i spytał, czy może odprowadzić ją do domu. Tomasz i ja siedzieliśmy z tyłu — było to jeszcze przed naszym ślubem — i wszystkimi słyszeli. Prissy spojrzała na Emmelinę wystraszoną,

---

\* Strong (ang.) — silny.

blagalnym wzrokiem i powiedziała:

— Nie, dziękuję panu, dziś nie. — Stefan odwrócił się na pięcie i odszedł. Był bardzo dumny i wiedziałam, że nie wybaczy jej tej publicznej zniewagi. Gdyby miał więcej rozsądku, wiedziałby, że to sprawka Emmeliny, ale nie miał, zaczął chodzić do Althei Gillis i po roku się pobrali. Althea była płocha, ale bardzo miła i jak mi się wydaje, żyli z sobą szczęśliwie. W życiu często się tak układa.

Później nikt już nie próbował zdobyć Prissy. Myślę, że wszyscy bali się Emmeliny. Uroda Prissy szybko minęła. Nadal miała tę pełną słodczy buzię, ale znikła z niej świeżość młodości. I z każdym rokiem Prissy stawała się jeszcze bardziej bojaźliwa i bezwolna. Nie zapytawszy Emmeliny o zgodę nie ośmielała się włożyć lepszej sukienki. Uwielbiała koty, ale Emmelina nie pozwalała jej trzymać kota. Emmelina nim dała Prissy do przeczytania religijny tygodnik, wycinała odcinek powieści, uważała bowiem, że powieści czytać nie należy. Obserwowałam to z bezsilną wściekłością. Kiedy wyszłam za Tomasza, stały się moimi najbliższymi sąsiadkami i często do nich wpadałam. Złościła mnie bezradność Prissy, ale cóż, nic nie mogła na to poradzić, taka się już urodziła.

A teraz Stefan jeszcze raz zamierzał próbować szczęścia. Było to dosyć śmieszne.

Stefan czterokrotnie odprowadził Prissy po nabożeństwie, nim to wykryła Emmelina. Emmelina przez całe lato nie chodziła do kościoła, bo obraziła się na pastora Leonarda. Wyraziła swą dezaprobatę, że pochował Naomi Clark na cmentarzu w zatoce, „jakby była chrześcijanką”, a pastor powiedział wtedy coś, czego nie mogła mu wybaczyć. Nie wiem co, ale wiem, że kiedy pastora Leonarda *zmusi się*, żeby kogoś napomniał, ten ktoś długo o tym pamięta.

Prissy przestała przychodzić na nabożeństwa, więc od razu wiedziałam, że Emmelina musiała się dowiedzieć o zalotach Stefana.

Bardzo mnie to zmartwiło i choć Tomasz prosił, żebym nie wtykała nosa w cudze sprawy, uważałam, że powinnam coś zrobić. Stefan Clark był porządnym człowiekiem, Prissy miałaby piękny dom, a dwóm synkom Althei była bardzo potrzebna matka. I wiedziałam, że Prissy marzy w głębi duszy, by wyjść za męża. Tak zresztą jak Emmelina, ale tej nikt nie próbowałby pomóc zdobyć męża.

Po dłuższych rozmyślaniach zaprosiłam Stefana Clarka, by po nabożeństwie przyszedł do nas na obiad. Usłyszałam pogłoskę, że chodzi do Lizy Pye w Avonlea, i doszłam do wniosku, że najwyższy czas się wtrącić. Gdyby chodziło o Janinę Mirandę, pewnie bym dała spokój, ale Liza Pye zupełnie się nie nadawała na macochę dla synków Althei. Była z niej złośnica i takie skąpiradło, że żałowała nawet odciąganego mleka.

Stefan przyszedł. Był ponury i zdenerwowany, wyraźnie nie miał ochoty na rozmowę. Po obiedzie powiedziałam Tomaszowi:

— Idź się zdrzemnij. Mam do pogadania ze Stefanem. Tomasz wzruszył ramionami i poszedł. Pewnie uważał, że szykuję sobie kłopoty, ale nie powiedział słowa. Kiedy zostawił nas samych, zauważyłam obojętnym tonem, że ponoć Stefan zamierza nas pozbawić milej sąsiadki i choć mi jej będzie brak, bardzo się z tego cieszę.

— Nie będzie ci jej brak — zauważył ponuro Stefan. — Powiedziano mi, że nie jestem tu mile widziany.

Zdziwiłam się, że Stefan jest tak szczery, myślałam, że długo potrwa, nim coś z niego wyciągnę. Stefan nie należał do ludzi, którzy się łatwo zwierniają. Ale wydawało się, że tym razem rozmowa przynosi mu ulgę, nigdy nie widziałam tak rozgoryczonego człowieka. Opowiedział mi wszystko.

Prissy napisała do niego list — wyciągnął go z kieszeni i dał mi do przeczytania. Niewątpliwie był to charakter pisma Prissy, małe wyraźne literki, oznajmiała w tym liście, że jego „zainteresowanie nie jest mile widziane”, i prosi, by „był tak uprzejmy i przestał jej się narzucać”. Nic dziwnego, że biedak wybrał się do Lizy Pye.

— Stefanie, dziwię ci się, że przypuszczasz, że to Prissy napisała ten list.

— To jej charakter pisma.

— Oczywiście. Ręka jest ręką Ezawa, ale głos głosem Jakuba — oznajmiłam, choć wcale nie byłam pewna, czy ta przenośnia tu pasuje. — Emmelina skomponowała list i kazała go Prissy przepisać. Jestem tego tak pewna, jakbym to widziała na własne oczy, i ty także powinieneś mieć dosyć rozumu, żeby to pojąć.

— Gdybym w to uwierzył, pokazałbym Emmelinie, że choćby stawała na głowie, potrafię zdobyć Prissy — zapalczywie oświadczył Stefan. — Ale skoro Prissy mnie nie chce, nie zamierzam się jej narzucać.

Cóż, pogadałszy o tym chwilę i zobowiązałam się wybadać Prissy. Byłam pewna, że nie będzie to zbyt trudne, i nie było. Następnego dnia zobaczyłam, że Emmelina jedzie do sklepu, i pobiegłam do ich domu. Prissy siedziała sama, zszywając ze szmatek dywanik. Emme—

lina stale jej to kazała robić, pewnie dlatego, że Prissy tego nie cierpiała. Kiedy weszłam, Prissy płakała i w parę minut wiedziałam już, jak się mają Sprawy.

Prissy chciała wyjść za mąż — chciała wyjść za mąż za Stefana — a Emmelina nie pozwalała!

— Prissy Strong! — zawołałam zniecierpliwiona — byle mysz ma więcej charakteru niż ty! Jak mogłaś napisać do niego *taki* list?

— Emmelina mi kazała — oświadczyła Prissy, jakby każde słowo Emmeliny było święte — i istotnie dla Prissy było.

Zrozumiałam, że jeśli Stefan chce się zobaczyć z Prissy, Emmelina nie może o tym wiedzieć! Powiedziałam mu to następnego dnia, kiedy rai rżał i oświadczył, że przyszedł pożyczyć motykę. Dość daleko wybrał się po tę motykę.

— No to co mam zrobić? — spytał. — Nie mogę napisać, bo Emmelina otworzy list. Teraz już nigdzie nie puści Prissy samej, a skąd mam wiedzieć, kiedy ta stara kocica wyjdzie z domu.

— Bądź uprzejmy nie obrażać kotów — zaprotestowałam. — Powiem ci, co zrobimy. Od siebie widzisz wierzchołek naszej stodoły, prawda? Jeśli wywieszę flagę, to powinieneś przez lornetkę zobaczyć.

Stefan przypuszczał, że powinien.

— No więc od czasu do czasu zerkaj. Jak tylko Emmelina zostawi Prissy samą, od razu ci to zasygnalizuję.

Przez dwa tygodnie taka okazja nie nastąpiła. Wreszcie zobaczyłam nad wieczorem, jak Emmelina idzie polami koło naszego domu. Gdy tylko znikła, pobiegłam do Prissy.

— Tak, Emmelina poszła spędzić noc przy chorej Jance Lawson — powiedziała rozdygotana Prissy.

— Włóż muślinową sukienkę i uczesz się — nakazałam. — Wracam do domu i poproszę Tomasza, żeby coś przywiązał do świetlika w dachu.

Myślicie, że Tomasz mnie posłuchał? Nie. Uznał, że nie pozwala mu na to jego pozycja członka rady kościelnej. W końcu musiałam sama wleźć na drabinę, choć tego nie cierpię. Przywiązałam czerwony szalik Tomasza i zaczęłam się modlić, żeby Stefan to zauważył. Widać zauważył, bo w niespełną godzinę przyjechał i zostawił konia w naszej stajni. Wystroił się i podniecony był jak chłopak. Poszedł do Prissy, a ja z czystym sumieniem zabrałam się do pikowania nowej kołdry.

Nigdy się nie dowiem, skąd mi nagle przyszło do głowy iść na strych sprawdzić, czy do skrzyni z kocami nie dostały się mole, ale sądzę, że tak chciała Opatrzność. Wyrzałam przez okienko i zobaczyłam, że Emmelina Strong wraca do domu.

Jak na skrzydłach zbiegłam ze schodów i przeleciałam przez brzezinę. Wpadłam do kuchni Strongów, gdzie siedzieli sobie spokojnie Prissy i Stefan.

— Stefan, szybko! Emmelina nadchodzi! — zawołałam. Prissy wyrzała przez okno i



załamała ręce.

— Jest już na naszej alejce — jęknęła. — Zobacz go, jak będzie wychodził. Rozanno, co robić?

Doprawdy nie wiem, co by się stało z tą parą, gdybym nie istniała i nie mogła podsuwać im pomysłów.

— Ukryj Stefana na strychu — zarządziłam. — Ale szybko! Prissy pospieszyła się, ale i tak ledwie zdążyła wrócić do kuchni, gdy pojawiła się Emmelina, wściekła jak pies, bo ktoś wyprzedził ją i siedział już przy Jance Lawson, i straciła jedyną okazję, żeby pomyszkować po domu, gdy Janka zaśnie. Spojrzała na Prissy i od razu ogarnęły ją podejrzenia. Nic dziwnego, Prissy wystroiła się, zaróżowiły się jej policzki, błyszcząły oczy. Drżała z podniecenia i ubyłoby jej dziesięć lat.

— Priscillo Strong, czekasz na Stefana Clarka! — wrzasnęła Emmelina. — Jesteś wstrętnym, podstępny i niewdzięcznym stworzeniem!

I zaczęła obsypywać Prissy obelgami, a ta płakała i bałam się, że za chwilę się zdradzi.

— Emmelino, to są sprawy między wami — oświadczyłam — i nie zamierzam się do nich wtrącać. Ale chciałabym, żebyś do mnie wpadła i pokazała mi nowy wzór pikowania kołdry, którego cię nauczono w Avonlea. Czy nie mogłabyś przyjść zaraz, nim się ściemni?

— No dobrze — odparła niechętnie Emmelina — ale Priscilla musi pójść ze mną, bo widzę, że nie mogę jej spuścić z oka.

Miałam nadzieję, że Stefan zobaczy nas przez świetlik w dachu i wymknie się. Ale nie mogłam być tego pewna i kiedy Emmelina zabrała się do mojej kołdry, znalazłam jakąś wymówkę i wybiegłam. Na szczęście moje drzwi kuchenne są z drugiej strony domu, ale i tak drżałam biegnąc na farmę Strongów i wdrapując się na strych Emmeliny. Całe szczęście, że przyszłam, bo Stefan nie wiedział, że dom jest pusty. Prissy ukryła go za warształem tkackim i nie śmiał się ruszyć, żeby Emmelina nie usłyszała, jak skrzypią deski podłogi. Wyglądał jak strach na wróble, cały był pokryty pajęczynami.

Sprowadziłam go na dół, ukryłam w naszej stajni i przesiedział tam, póki się nie ściemniło i panny Strong nie wróciły do domu. Słyszałam, jak zaraz za moimi drzwiami Emmelina zaczęła wymyślać Prissy.

Potem przyszedł Stefan i zrobiliśmy naradę wojenną. Okazało się, że dobrze wykorzystali tę krótką, spędzoną razem chwilę. Prissy obiecała, że wyjdzie za niego za męża, i pozostało tylko zastanowić się, jak doprowadzić do tego, żeby udało się dopełnić tej ceremonii.

— Łatwo nie pójdzie — ostrzegłam go. — Teraz kiedy Emmelina zaczęła coś podejrzewać, nie spuści Prissy z oczu, aż ty się z kimś nie ożenisz, choćby miało to trwać wiele lat. Znam Emmelinę. I znam Prissy. Każda inna dziewczyna poradziłaby sobie jakoś, choćby miała uciec z domu, ale Prissy nigdy tego nie robi. Zanadto przywykła ulegać we wszystkim Emmelinie. Będiesz miał posłuszną żonę, Stefanie, jeśli kiedyś uda ci się z nią wziąć ślub.

Stefan zrobił zadowoloną minę. Pło'tka głosiła, że Althea lubiła się rządzić. Nie wiem. Pewnie tak i było.

— Czy masz jakiś pomysł, Rozanno? — spytał. — Tyle nam już pomogłaś, nigdy ci tego nie zapomnę.

— Chyba powinieneś wziąć licencję na ślub, pogadać z pastorem Leonardem i bacznie śledzić dach naszej stodoły. Przy pierwszej okazji wywieszę szalik.

Ja obserwowałam farmę Strongów, Stefan obserwował naszą stodołę, pastor Leonard został wciągnięty do spisku. Zawsze lubił Prissy, a chociaż był prawie święty, był także człowiekiem i nie mógł wzbudzić w sobie miłości do Emmeliny, zwłaszcza że stale miała mu coś za złe.

Jednakże Emmelina była mocnym przeciwnikiem. Nie spuszczała Prissy z oczu. Gdziekolwiek szła, zabierała ją ze sobą. Minął miesiąc i poczułam rozpacz. Pastor Leonard

miał za tydzień wyjechać, a sąsiedzi Stefana zaczęli o nim plotkować. Uważali, że mężczyzna, który cały dzień wałęsa się po podwórzu z lornetką i zostawia całe gospodarstwo najemnemu chłopcu, musiał postradać zmysły.

Więc kiedy zobaczyłam, że Emmelina wyjeżdża sama, nie chciałam wierzyć własnym oczom. Kiedy tylko znikła, wybiegłam z domu, a za mną Ania Shirley i Diana Barry.

Akurat tego popołudnia mnie odwiedziły. Matka Diany była moją daleką kuzynką i często bywałyśmy u siebie, więc dobrze znałam Dianę. Ale dotąd nigdy nie widziałam Ani Shirley, choć mnóstwo się o niej nasłuchiwałam i wychodziłam ze skóry z ciekawości. Więc kiedy dowiedziałam się, że przyjechała na lato z uniwersytetu w Redmond, poprosiłam Dianę, żeby się nade mną zlitowała i ją przyprowadziła.

Nie rozczarowałam się. Wiele osób nie dostrzegało urody Ani, ale ja uznałam ją za piękność. Miała wspaniałe rude włosy i największe, najbardziej błyszczące oczy, jakie można sobie wyobrazić. Kiedy się śmiała, czułam się tak, jakbym znów była młoda. Obie z Dianą zaśmiewały się tego popołudnia, bo pod sekretem opowiedziałam im historię miłości Prissy Strong. Więc oczywiście chciały pójść ze mną.

Zadziwił mnie widok domu. Zamknięte okiennice, zamknięte drzwi. Pukałam i stukałam, głucha cisza. Obeszłam dookoła dom aż pod okienko na piętrze, w którym nie było okiennic. Wiedziałam, że jest to okienko w niższej sypialni dziewcząt. Stałam pod nim i zaczęłam wołać Prissy. Prissy zaraz otworzyła okienko. Była blada i tak przygnębiona, że poczułam litość w sercu.

— Prissy, dokąd pojechała Emmelina?

— Do Avonlea, do państwa Pye. Mają odry, a ja nie przechodziłam odry, więc nie mogła mnie z sobą zabrać.

Biedna Prissy. Nigdy nie przeszła przez nic, przez co człowiek powinien przejść.

— Wobec tego otwórz drzwi i chodź szybko do mnie — zawołałam z zachwytem. — Zaraz wywieszę znak i Stefan z pastorem szybko się pojawią.

— Nie mogę wyjść. Emmelina zamknęła mnie na klucz w sypialni — odpowiedziała z płaczem Prissy.

Prawdziwy kłopot! Żadna ludzka istota większa od niemowlęcia nie przedostałaby się przez to okienko.

— No cóż — oświadczyłam w końcu. — Wywieszę szalik, żeby Stefan przyszedł, i potem zastanowimy się, co robić.

Nie wiedziałam, jak uda mi się wywiesić ten szalik, bo miałam tego dnia zawroty głowy i gdybym się wdrapała na drabinę, mielibyśmy zamiast ślubu pogrzeb. Ale Ania Shirley oświadczyła, że się tym zajmie, no i zajęła się. Nigdy ani przedtem, ani potem nie widziałam tej dziewczyny, ale przekonana jestem, że nie było rzeczy, której by nie potrafiła zrobić, kiedy już raz postanowiła.

Stefan pojawił się wkrótce wraz z pastorem. I wszyscy — nie wyłączając Tomasza, który wbrew samemu sobie wciągnął się w nasze poczynania — poszliśmy pod dom Strongów i odbyliśmy pod okienkiem wojenną naradę.

Tomasz proponował, by wywalić drzwi i porwać Prissy, ale widziałam, że pastor nie sprzyja tym zamiarom, a nawet Stefan uważał, że można się będzie uciec do tego tylko w ostateczności. Zgodziłam się z nim. Wiedziałam, że Emmelina gotowa by mu wytoczyć sprawę o włamanie. Będzie tak wściekła, że przed niczym się nie cofnie. I wówczas Ania Shirley, która była tak podekscytowana, jakby to ona miała wyjść za mąż, wpadła na świetny pomysł.

— Może podstawimy drabinę pod okienko, pan Clark na nią wejdzie i pastor będzie mógł udzielić im ślubu. Prawda, panie pastarze?

Pastor Leonard przyznał rację. Pastor Leonard wygląda na świętego, ale zobaczyłam, że w jego oczach pojawił się figlarny błysk.

— Tomaszu, idź po drabinę — poprosiłam.

Tomasz zapomniał, że zasiada w radzie kościelnej, i jak na grubasa przyniósł drabinę bardzo szybko. Okazało się, że jest za krótka, ale nie było czasu iść po inną. Stefan wdrapał się na ostatni szczebel i wyciągnął rękę do góry, Prissy wyciągnęła rękę w dół i te dwie ręce z trudem się spotkały. Nigdy nie zapomnę, jak wyglądała Prissy. Okienko było tak małe, że wysunęła przez nie tylko głowę i jedną rękę. Widać było, że jest śmiertelnie przerażona.

Pastor Leonard stanął pod drabiną i udzielił im ślubu. Zwykle długo celebruje tę ceremonię, ale tym razem ograniczył się do najniezbędniejszych słów. I dobrze się stało, bo gdy ogłosił ich mężem i żoną, w alejce pojawiła się Emmelina. Zobaczyła pastora z błękitną księgą w ręku i od razu wiedziała, co się stało. Nie powiedziała słowa. Otworzyła drzwi i pomaszerowała na piętro. Chwała Bogu, że okienko było tak małe, bo pewna jestem, że wyrzuciłaby przez nie Prissy.

Skoro nie mogła, wzięła ją za ramię, sprowadziła na dół i popchnęła w stronę Stefana.

— Zabieraj swoją żonę — oświadczyła. — Jutro spakuję jej manatki i odeślę. I póki żyję, nie chcę was więcej widzieć.

Potem zwróciła się do mnie i do Tomasza.

— Pomogliście tej kretynce, więc zabierajcie się stąd i niech wasza noga więcej tu nie postanie.

— Cała przyjemność po naszej stronie, ty stara czarownico! Może nie powinien tego powiedzieć, ale wszyscy jesteśmy ludźmi, nawet członkowie rady kościelnej.

Dziewczęta nie uciekły. Emmelina spojrzała na nie, jakby chciała je zasztyletować.

— Będziecie miały o czym opowiadać w Avonlea. Tamtejsze plotkarki będą miały o czym paplać. Tylko po to mieszkańcy Avonlea chodzą do innych wsi — żeby potem mleć ozorem o cudzych sprawach.

Na koniec zostawiła sobie pastora.

— Odtąd będę chodzić do kościoła baptystów w Spencervale — oznajmiła. A w jej tonie brzmiała groźba. Wpadła do domu i zatrzasnęła drzwi.

Pastor Leonard spojrzał na nas z miłosiernym uśmiechem, Stefan wsadzał właśnie pół omdlałą Prissy do dwukółki.

— Żal mi baptystów — oświadczył.

## CUD W CARMODY

Salomea wyjrzała przez kuchenne okno i na jej czole pojawiła się zmarszczka niepokoju.

— Oj, co ten Lionel Ezechiasz znów przeskrobał? — zapytała niespokojnie.

Odruchowo sięgnęła po kulę, ale kula upadła na podłogę, a Salomea bez kuli nie mogła zrobić kroku.

— Cóż, Judyta go i tak prowadzi do domu — stwierdziła. — Tym razem musiał zrobić coś strasznego, bo ona wygląda na bardzo zagniewaną. Czasem zaczynam mieć wątpliwości, czy powinniśmy go były zaadoptować. Może rzeczywiście dwie stare panny nie potrafią wychować chłopca. Bo on nie jest złym dzieckiem i na pewno mógłby się dobrze sprawować, gdybyśmy umiały do niego podejść.

Monolog Salomei przerwało wejście Judyty, która mocno trzymała Lionela Ezechiasza za tłustą łapkę.

Judyta Marsh była o dziesięć lat starsza od Salomei i różniły się jak dzień i noc. Salomea mimo swych trzydziestu pięciu lat wyglądała niemal dziewczęco. Była niewysoka, o różowych policzkach, przypominała polny kwiatusek, jasne, niemal dziecinne kędziorki okalały jej twarz, oczy były wielkie, błękitne i łagodne. Na twarzy malował się wyraz słodczy, choć może brakowało jej charakteru.

Judyta była wysoka i smągła, miała brzydką, posępną twarz i szpakowate włosy. Czarne oczy ponuro spoglądały na świat, każdy rys twarzy świadczył o żelaznej woli. Teraz, jak to zauważyła Salomea, wyglądała na rozwścieczoną, patrzyła na małego grzesznika tak gniewnie, że nawet najbardziej zatwardziały kryminalista mógłby się przerazić, a Lionel Ezechiasz w ciągu sześciu lat swego życia nie stał się jeszcze zatwardziałym kryminalistą.

Lionel Ezechiasz miał może wiele wad, ale był ładnym dzieckiem. Krępy i mocno zbudowany miał złociste kędziorki, które doprowadzały go do rozpacz, a Salomeę napawały dumą. Okrągła buzia pełna była uśmiechów i rozkosznych dołeczków.

Teraz jednak Lionel Ezechiasz schwytyany na gorącym uczynku bardzo się wstydził. Spuścił główkę i aż podkurczył paluszki nóg widząc, że w oczach Salomei maluje się wymówka. Kiedy Salomea patrzyła na niego takim wzrokiem, czuł, że nie opłacała mu się zabawa.

— Jak myślisz, na czym go przyłapałam? — spytała Judyta.

— N—nie wiem — wyjąkała Salomea.

— Na drzwiach kurnika wymalował cel. I zaczął rzucać świeżo zniesionymi jajkami — powiedziała Judyta podkreślając każde słowo. — Poszły wszystkie jajka. A jak wyglądają drzwi...

Judyta urwała i machnęła z oburzeniem ręką dając do zrozumienia, że brak jej słów i Salomea sama musi to sobie wyobrazić.

— Lionelu Ezechiaszu, jak mogłeś to zrobić? — spytała zrozpaczona Salomea.

— Nie wiedziałem, że to coś złego — szepnął Lionel Ezechiasz, wybuchając płaczem. — Myślałem, że to będzie pyszna zabawa. Czy każda pyszna zabawa jest czymś złym?

Salomea nie potrafiła oprzeć się łzom i Lionel Ezechiasz dobrze o tym wiedział. Objęła płaczącego winowajcę i przytuliła go do siebie.

— On nie wiedział, że to coś złego — oświadczyła wyzywająco Judycie.

— To się teraz dowie — odparła Judyta. — Nie, Salomeo, musi ponieść karę. Pójdzie do łóżka bez kolacji i ma tam zostać aż do rana.

— Och, nie bez kolacji! — błagała Salomea. — Może mu to zaszkodzić!

— Powiedziałam: bez kolacji — powtórzyła twardo Judyta. — Lionelu Ezechiaszu, idź na górę i połóż się natychmiast do łóżka.

Lionel Ezechiasz poszedł na górę i natychmiast się położył. Zawsze był posłuszny i nigdy

nie kaprysił. Salomea słuchała, jak idzie szlochając po schodach, i jej oczy napełniły się łzami.

— Na litość boską, Salomeo, nie becz — powiedziała Judyta zirytowanym tonem. — I tak mu się upiekło. Święty by z nim stracił cierpliwość, a ja nie należę do świętych — dorzuciła mówiąc szczerą prawdę.

— Ależ on nie jest zły — błagała Salomea. — Jak już wie, że czegoś nie wolno, nigdy więcej tego nie robi.

— Ale zaraz wymyśla coś jeszcze gorszego. Nigdy nie widziałam dziecka z taką inwencją, co chwila wymyśla nową psotę. Salomeo, zastanów się, przypomnij sobie wszystkie jego wybryki w ciągu ostatnich dwóch tygodni! Przyniósł do domu żywego węża i dostałaś z przerażenia konwulsji. Wypił butelkę płynu do nacierania i o mało co się nie otruł. Wziął do łóżka trzy żywe ropuchy. Wdrapał się na daszek kurnika, deski się pod nim załamały, spadł i zabił kurę. Pomalował sobie twarz twoimi wodnymi farbami. I wreszcie, dzisiaj *ten* wyczyn! A jajka kosztują obecnie dwadzieścia osiem centów tuzin.

Lionel Ezechiasz jest bardzo kosztownym luksusem.

— Ale nie mogłybyśmy bez niego żyć. — protestowała Salomea.

— Ja bym mogła. Ale ponieważ ty nie możesz czy też wyobrazasz sobie, że nie możesz, musimy go zatrzymać. Obawiam się jednak, że jeśli nie chcemy postradać zmysłów, musimy go uwięzić na podwórku i wynająć kogoś, kto go będzie pilnował.

— Przecież na pewno jest jakiś sposób, żeby go poskromić — szepnęła z rozpaczą Salomea. Obawiała się, że Judyta poważnie myśli o uwiązaniu malca. Judyta zwykle mówiła wszystko ze śmiertelną powagą. — Może mały po prostu nie ma się czym zająć i dlatego wymyśla takie niestworzone rzeczy. Gdybyśmy mu znalazły jakieś zajęcie... może by go posłać do szkoły...

— Jest na to za mały. Ojciec zawsze twierdził, że dziecko nie powinno iść do szkoły, nim nie ukończy siedmiu lat, więc nie posłę tam Lionela Ezechiasza. No cóż, wezmę wiadro i szczotkę i zobaczę, co się da zrobić z tymi drzwiami. Miłe popołudniowe zajęcie.

Judyta oparła kulę Salomei o jej krzesło i poszła szorować drzwi kurnika. Kiedy tylko znikła, Salomea wzięła kulę i pokusztowała pod schody. Nie mogła wejść na górę, żeby utulić w płaczu Lionela Ezechiasza, choć pragnęła tego z całego serca. Judyta dlatego właśnie posłała malca na górę. Salomea już od piętnastu lat nie mogła wejść na schody. A nie śmiała wywołać chłopca na podest, bo Judyta w każdej chwili mogła wrócić. No i naprawdę należała mu się kara.

— Tak bym chciała przemycić mu coś do zjedzenia — szepnęła siadając na najniższym stopniu i nad słuchując. — Nic nie słyszę. Biedulek zmęczył się pewnie płaczem i zmorzył go sen. Jest rzeczywiście psotny, ale wszystkie jego psoty zdradzają niezwykłą żywość umysłu, gdybyż tylko dało się ją skierować w odpowiednią stronę... Chciałabym, żeby Judyta pozwoliła mi o mm porozmawiać z pastorem Leonardem! Czemuż to Judyta tak nie cierpi pastorów? Mniejsza o to, że nie pozwala mi chodzić do kościoła, i tak zanadto kuleję, żeby tam dojść, ale jest wiele spraw, o których chciałabym porozmawiać z pastorem. Nie wierzę, żeby ojciec i Judyta mieli rację. Bóg istnieje i obawiam się, że niechodzenie do kościoła jest wielkim grzechem. Ale tylko cud mógłby przekonać Judytę... Tak, Lionel Ezechiasz musiał usnąć...

Salomea wyobraziła sobie długie rzęsy na poplamionych łzami policzkach i zaciśnięte tłuste piąstki. Poczuła, że po macierzyńsku ścisła jej się serce.

Rodzice Lionela Ezechiasza, Abner i Marta Smith, umarli rok temu pozostawiając dom pełen dzieci i niewiele poza tym. Mieszkańcy Carmody zaadoptowali dzieci i Salomea zadziwiła Judytę prosząc, żeby wolno jej było wziąć pięcioletniego beniaminka. Z początku Judyta wyśmiała siostrę, ale kiedy zorientowała się, że Salomea naprawdę tego pragnie, ustąpiła jej. Judyta zawsze ustępowała Salomei, tylko na punkcie kościoła była

nieprzejednana.

— Jeżeli tak ci zależy, to zgoda. Wolalabym jednak, żeby się jakoś kulturalniej nazywał. Już Lionel to dziwaczne imię, Ezechiasz jest jeszcze gorszy, ale te imiona dwa razem plus nazwisko Smith to barbarzyńska kombinacja i tylko Marta Smith mogła wpaść na podobny pomysł. Nie popisała się ani wyborem męża, ani imion dzieci.

I tak Lionel Ezechiasz zamieszkał w domu Judyty i w sercu Salomei. Salomea mogła go do woli kochać, Judyta jednak sprawowała nadzór nad jego wychowaniem. Może i dobrze, bo inaczej Salomea popsułaby malca zbytnią pobłażliwością. Salomea, która zawsze podzielała opinie Judyty, choćby buntowała się przeciw nim cała jej natura, ulegle stosowała się do jej nakazów, kiedy jednak Lionel Ezechiasz zostawał ukarany, cierpiała nad tym bardziej niż on.

Długo siedziała na schodach, w końcu więc usnęła i głowa opadła jej na ramię. I tak zastała ją Judyta, gdy triumfalnie wróciła uporawszy się z drzwiami kurnika. Miała surowy wyraz twarzy, ale gdy spojrzała na Salomeę, surowość zamieniła się w czułość.

„Ona wciąż jeszcze jest dzieckiem — pomyślała z litością — dzieckiem, któremu bez jego winy odebrano dalsze życie. A ludzie powiadają, że istnieje dobry i sprawiedliwy Bóg. Jeżeli istnieje, to jest okrutnym i zazdrosnym tyranem, a ja Go nienawidzę.

Judyta wiele miała do zarzucenia Wszechmocnemu, ale przede wszystkim kalectwo Salomei. Salomea przed piętnastu laty była najszcześliwszą z dziewcząt, pełną radości życia. Och, gdyby Salomea mogła chodzić! Judyta czuła, że wówczas mogłaby przestać nienawidzić surowego Wszechmogącego Boga.

Przez następne cztery dni skruszony Lionel Ezechiasz zachowywał się jak aniołek. Potem przytrafiła mu się kolejna przygoda. Wrócił z jakiejś wyprawy popłakując, a w jasnych kędziorach pełno było ostów. Judyty nie było w domu, Salomea szydełkowała i z przerażenia wypuściła z rąk robótkę.

— Lionelu Ezechiaszu, coś ty znów zmalował?

— Bawiłem się w wodza Indian i zrobiłem sobie opaskę z ostów — wyszłochał Lionel Ezechiasz. — Była to pyszna zabawa, ale nie mogę wyjąć ostów i to strasznie boli.

Ani Salomea, ani Lionel Ezechiasz nie zapomną nigdy następnej godziny. W końcu Salomei za pomocą grzebienia i nożyczek udało się wyjąć z czupryny Lionela Ezechiasza wszystkie osty. Trudno powiedzieć, które z nich bardziej się nacierpiało. Salomea płakała równie rzeświście jak Lionel Ezechiasz i za każdym razem, kiedy musiała wyszarpywać oset z jedwabistych włosów albo obcinać loczek, ścisnęło jej się serce. Po zakończeniu operacji czuła się całkiem wyczerpana, ale wzięła zmęczonego Lionela Ezechiasza na kolana i przytuliła mokry policzek do jego jasnej główki.

— Czemu ty musisz zawsze coś spsocić? — westchnęła. Lionel Ezechiasz zastanowił się, marszcząc buzię.

— Nie wiem — oświadczył wreszcie. — Może dlatego, że nie posyłacie mnie do szkoły niedzielnej.

Salomea podskoczyła, jakby ją przeszył prąd.

— Lionelu Ezechiaszu — wyjąkała — skąd ci to przyszło do głowy?

— Wszyscy chłopcy chodzą — odparł — i żaden nie jest taki psotny jak ja. Więc to chyba dlatego. Edzio Markham powiada, że wszyscy mali chłopcy powinni chodzić do szkoły niedzielnej, bo inaczej trafią do tego paskudnego miejsca. Więc jak ja mam się dobrze sprawować, kiedy nie chodzę do szkoły?

— Chciałbyś chodzić? — spytała niemal szeptem Salomea.

— Byczo byłoby chodzić! — odparł Lionel Ezechiasz.

— Nie używaj takich okropnych słów — napomniała bezradnie Salomea. — Zobaczę, co się da zrobić. Pogadam — z twoją ciocią Judytą.

— Och, ciocia Judyta mi nie pozwoli — oznajmił z przygnębieniem Lionel Ezechiasz. — Ciocia Judyta nie wierzy w Pana Boga ani w to paskudne miejsce. Edzio Markham tak

powiedział. I powiedział, że jest złą kobietą, bo nigdy nie chodzi do kościoła. Więc ciocia, ciociu Salomeo, też pewnie jest złą kobietą, bo ciocia także nie chodzi. Dlaczego ciocia nie chodzi?

— Twoja ciocia Judyta mi nie pozwala — wyjąkała Salomea, która nigdy jeszcze nie czuła się tak zakłopotana.

— A w dodatku wcale się w niedzielę nie bawicie — zauważył roztropnie Lionel Ezechiasz. — Ja bym się bawił. Może dlatego, że jesteście paniami. Cieszę się, że jestem mężczyzną. O. Abel Blair to wspaniale spędza niedziele. Nigdy nie chodzi do kościoła, tylko na ryby i na walki kogutów, a wieczorem się upija. Kiedy dorosnę, też będę tak w niedzielę robił. Nie zależy mi na kościele, ale chciałbym chodzić do szkoły niedzielnej.

Salomea słuchała go z rozpaczą. Każde słowo Lionela Ezechiasza było ciosem dla jej sumienia. Jej uległość wobec Judyty sprawiła, że to niewinne dziecko uważało ją za złą kobietę i co gorsze obrało sobie za wzór do naśladowania starego wykolejńca, Abła Blaira. Czy już za późno, żeby to naprawić? Kiedy Judyta wróciła, Salomea wszystko jej opowiedziała. — Lionel Ezechiasz musi chodzić do szkoły niedzielnej — zakończyła błagalnym tonem.

Twarz Judyty skamieniała.

— Nie, nie będzie chodził — oświadczyła stanowczo. — Nikt, kto mieszka pod moim dachem, nie będzie chodził do kościoła ani do szkoły niedzielnej. Ustąpiłam ci, kiedy chciałaś nauczyć go modlitw, choć uważam je za niemądry przesąd, ale nie licz na dalsze ustępstwa. Wiesz dokładnie, co o tym myślę. Podzielam zdanie ojca. Wiesz, że nienawidził kościołów. A nie było lepszego człowieka.

— Matka wierzyła w Boga i zawsze chodziła do kościoła — nalegała Salomea.

— Matka była słaba i przesądna, tak jak ty. Powiadam ci,

Salomeo, że nie wierzę w Boga. Ale jeśli istnieje, jest okrutny i niesprawiedliwy i nienawidzę Go.

— Judyto! — jęknęła Salomea, przerażona bluźnierstwem. Nie zdziwiłaby się, gdyby siostra padła u jej stóp rażona gromem.

— Nie masz co wołać: Judyto! — wykrzyknęła Judyta z gniewem, który wzbudzała w niej każda wzmianka o kościele. — Ja naprawdę tak myślę. Przedtem, nim dotknęło cię kalectwo, nie miałam jeszcze wyrobionego zdania. Ale od tego czasu wiem, że to ojciec miał rację.

Przez chwilę Salomea wahała się. Czuła, że nie potrafi, nie ośmieli sprzeciwić się Judycie. I gdyby nie myśl o Lionelu Ezechiaszu, nigdy by tego nie zrobiła. Zaciśnęła ręce.

— Judyto, jutro pójdę do kościoła! — zawołała. — Pójdę. Nie będę dłużej dawała złego przykładu Lionelowi Ezechiaszowi. Nie wezmę go z sobą wbrew twojej woli, bo to ty odziewasz go i żywisz. Ale ja pójdę.

— Salomeo Marsh, jeśli tak postąpisz, nigdy ci tego nie wybaczę! — odparła Judyta, a jej twarz pociemniała z gniewu. I szybko wyszła, żeby nie powiedzieć za dużo.

Salomea wybuchnęła płaczem i przepłakała niemal całą noc. Ale nie zmieniła postanowienia. Ze względu na ukochanego chłopca pójdzie do kościoła.

Przy śniadaniu Judyta nie odezwała się do niej ani słowem i Salomea czuła, że pęka jej serce, nie uległa jednak. Po śniadaniu pokuszyła się do swego pokoju i choć każdy ruch sprawiał jej ból, ubrała się do wyjścia. Kiedy była gotowa, wyjęła ze skrzyni starą zniszczoną biblię. Była to biblia jej matki i Salomea w tajemnicy przed Judytą co wieczór odczytywała jeden z wersetów.

Kiedy kusząjąc weszła do kuchni, Judyta spojrzała na nią z kamienną twarzą. W oczach jej zapalił się gniew, wyszła do saloniku i zamknęła za sobą drzwi, pokazując, że wyrzuca siostrę ze swego serca. Salomea zrozumiała to. Przez chwilę wahała się — nie, nie potrafi sprzeciwić się Judycie. Już miała wrócić do swej sypialni, kiedy wbiegł Lionel Ezechiasz i zatrzymał się, patrząc na nią z zachwytem.

— Byczo ciocia wygląda, ciociu Salomeo! — zawołał. — Gdzie ciocia idzie?

— Nie używaj takich słów — upomniała go Salomea. — Idę do kościoła.

— Niech mnie ciocia zabierze — poprosił Lionel Ezechiasz. Salomea pokręciła przecząco głową.

— Nie mogę, kochanie. Ciocia Judyta nie życzy sobie. Może za jakiś czas się zgodzi. Pamiętaj, żebyś był grzeczny podczas mojej nieobecności. Nie zrób nic złego.

— Nie psociłbym, gdybym wiedział, co jest złe — odparł Lionel Ezechiasz. — Ale cały kłopot, że nie wiem...

Salomea przekuszytykała przez podwórze i alejką wysadzaną astrami i złotymi różgami. Na szczęście kościół był blisko, po drugiej stronie drogi, ale Salomea doszła doń z najwyższym trudem. Czuła się zupełnie wyczerpana i kiedy szła główną nawą do ławki matki, każdy krok sprawiał jej ból. Położyła kulę na ławie i wtuliła się w kąć z westchnieniem uigi.

Umyślnie przyszła wcześniej, nim zgromadzą się wierni. Kościół był zatem pusty, tylko z tyłu siedziała grupka dzieci ze szkoły niedzielnej wraz z nauczycielką. Przerwały lekcję i patrzyły, zdumione niezwykłym widokiem kulawej Salomei Marsh w kościele.

W wielkim budynku, ciemnym, gdyż wokół rosły stare wiązy, panowała cisza. Z pokoju za ołtarzem, gdzie siedziała druga grupa szkoły niedzielnej, dobiegał słaby pomruk. Przed ołtarzem stała żardyniera, a w niej wielkie białe pelargonie. Przefiltrowane przez witraże światło padało na posadzkę. Salomeę ogarnęło uczucie spokoju i szczęścia. Nawet gniew Judyty nie mógł zakłócić tego uczucia. Oparła głowę o parapet okna i oddała się wspomnieniom.

Przypomniała sobie lata dzieciństwa, kiedy co niedzielę siadywała tu z matką. Czasem przychodziła też Judyta, o tyle starsza, że wydawała się Salomei kimś dorosłym. Nigdy nie przychodził tu wysoki, zamknięty w sobie ojciec. Salomea wiedziała, że mieszkańcy Carmody nazywają go poganinem i uważają za złego człowieka... Choć był dobry i uczynny.

Ich słodka mateczka umarła, kiedy Salomea miała dziesięć lat, ale Judyta opiekowała się nią z taką czułością, że dziecku nie brakowało macierzyńskiej troski. Bo Judyta Marsh naprawdę po macierzyńsku kochała małą siostrzyczkę. Judyta była nieładną, niezbyt sympatyczną dziewczyną, mało osób ją lubiło, żaden chłopak nie ubiegał się o jej względy i postanowiła, że Salomea uzyska to wszystko, co nie stało się jej udziałem — przyjaźń, zachwyt i miłość, i wszystko przebiegało zgodnie z planami Judyty aż do chwili, kiedy Salomea skończyła osiemnaście lat. Potem posypały się nieszczęścia. Ojciec, którego Judyta namiętnie kochała i z którym świetnie się rozumieli — umarł. Ukochany Salomei zginął w katastrofie kolejowej. A wreszcie Salomeę zaczęło boleć biodro, choroba zaczęła się niewinnie, ale uczyniła z niej kalekę.

Zrobiono dla Salomei wszystko, co było w ludzkiej mocy. Judyta odziedziczyła po zmarłej ciotce okrągłą sumkę i nie szczędziła pieniędzy, by leczyć siostrę. Ale najlepsi lekarze nic nie wskórali.

Judyta, mimo że bardzo cierpiała, dzielnie zniosła śmierć ojca, z rozdartym sercem obserwowała chorobę siostry, ale wciąż jeszcze nie poddawała się zgorzknieniu. Kiedy jednak dowiedziała się, że Salomea zbuntowała się przeciwko Bogu, który dopuścił do podobnego nieszczęścia. Nie złorzeczyła, ale odtąd nigdy już nie poszła do kościoła i wkrótce całe Carmody ogłosiło, że Judyta Marsh jest taką samą poganką jak jej ojciec, a nawet gorszą, bo także i Salomei zabrania chodzić do kościoła, a gdy pastor przyszedł je odwiedzić, zatrzasnęła mu przed nosem drzwi.

— Powinam była stawić jej czoło — robiła sobie wymówki Salomea. — Boże, Boże, teraz ona mi tego nie wybaczy i jak ja będę żyć. Ale muszę to znieść ze względu na Lionela Ezechiasza, i tak pewno już ucierpiał z powodu mojej uległości wobec Judyty. Podobno dziecko nigdy nie zapomni tego, czego się nauczyło w ciągu pierwszych siedmiu lat, zatem Lionel Ezechiasz ma przed sobą zaledwie jeden rok. Może już za późno!



Kiedy wierni zaczęli się schodzić, Salomea boleśnie przeżywała ich zaciekawiony wzrok. Gdziekolwiek spojrzeła, widziała utkwione w niej oczy, wreszcie zarumieniła się i zaczęła wyglądać przez okno. Widziała swój dom i podwórze, na którym Lionel Ezechiasz stawił babki z piasku. Po chwili zobaczyła wychodzącą z domu Judytę, która udała się do sosnowego lasu. Judyta w chwilach smutku i rozterki szła zawsze do lasu.

Salomea pochłonięta przyjemnością, jaką sprawiał jej złoty blask słońca we włosach Lionela Ezechiasza, zapomniała, gdzie się znajduje, zapomniała, że wszyscy na nią patrzą.

Nagle Lionel Ezechiasz przestał robić babki i podszedł do letniej kuchni. Wdrapał się na płot, a z niego na stromy dach. Prerażona Salomea zacisnęła ręce. Dziecko gotowe jest spaść! Dlaczego Judyta zostawiła go samego! Co będzie jeśli, jeśli... i kiedy tak zastanawiała się nad tysiącem możliwych katastrof, katastrofa zdarzyła się. Lionel Ezechiasz poślizgnął się, zamachał rączkami i spadł z dachu prosto do ustawionej pod rynną wielkiej beczki, która zwykle pełna była wody i w której mogłoby się utopić sześciu malców bawiących się na dachu w niedzielne przedpołudnie.

I wtedy zdarzyło się coś, o czym do dziś opowiadają mieszkańcy Carmody, klóćąc się zaciekle, każdy bowiem opowiada to trochę inaczej. Salomea Marsh, która od piętnastu lat nie mogła bez kuli zrobić kroku, z krzykiem zerwała się z ławki i wybiegła z kościoła. Za nią pobiegli wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci znajdujący się w owej chwili w kościele w Carmody, a nawet pastor, który właśnie zabierał się do rozpoczęcia nabożeństwa. Kiedy znaleźli się przed kościołem, Salomea pędziła już alejką, nękana przeraźliwą myślą. A jeśli Lionel Ezechiasz utonie, nim ona przyjdzie mu z pomocą? Otworzyła furtkę podwórza i właśnie biegła w stronę beczki, kiedy zza domu wyszła zasępiiona kobieta, która zatrzymała się jak wryta, nie wierząc własnym oczom.

Ale Salomea nikogo nie widziała. Dobiegła do beczki i zajrzała do niej. Na dnie siedział Lionel Ezechiasz, a woda sięgała mu tylko do pasa. Był oszołomiony, ale widać było, że nic mu się nie stało.

Na podwórzu pełno było ludzi, nikt jednak nie zdołał jeszcze wykrztusić słowa, przerażenie i zdziwienie odebrało im mowę. Pierwsza odezwała się Judyta. Rozpychając tłum podeszła do Salomei. Była śmiertelnie blada, a jej oczy patrzyły tak, że „człowieka przechodziły ciarki”, jak to później określiła pani Williamowa Blair.

— Salomeo — spytała przenikliwym nieswoim głosem — gdzie jest twoja kula?

Salomea oprzytomniała. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że przyszła tu, nie przyszła, przybiegła bez żadnej pomocy. Zbladła, zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Judyta nie chwyciła jej w ramiona.

Szybko zjawił się przy nich stary doktor Blair.

— Wnieście ją do domu — zarządził. — I nie tłóczycie się. Potrzebny jej spokój.

Większość obecnych posłusznie wróciła do kościoła i oprzytomniawszy zaczęła komentować wydarzenie. Kilka kobiet pomogło Judycie wnieść Salomeę do kuchni i ułożyć na kozetce, za nimi kroczył doktor i ociekający wodą Lionel Ezechiasz, którego pastor wyciągnął z beczki, ale na którego nikt nie zwracał uwagi.

Salomea opowiedziała, co zaszło, a słuchacze zareagowali bardzo różnie.

— To cud — oświadczył Sam Lawson natchnionym głosem. Doktor Blair wzruszył ramionami.

— Żaden cud — zawyrokował. — Medycyna zna takie wypadki. Czas uleczył biodro. Ale długo nie używane mięśnie nie chciały pracować, nastąpiło coś w rodzaju paraliżu. I ten paraliż ustąpił pod wpływem szoku. Salomeo, wstań i przejdź się po kuchni.

Salomea posłusznie wstała. Teraz, kiedy działanie szoku minęło, szła potykając się, sztywnym, wolnym krokiem, ale szła. Doktor z zadowoleniem skinął głową.

— Masz co dzień chodzić, póki się nie zmęczysz, i wkrótce będziesz skakać. Nie potrzebna ci już kula, ale nie jest to żaden cud.

Judyta Marsh spojrzała na niego. Od chwili, gdy zapytała Salomeę o kulę, nie odezwała się słowem. Teraz oznajmiła z pasją:

— To był cud. Sprawił go Pan Bóg, żeby pokazać mi, że istnieje. Stary doktor znów wzruszył ramionami. Był mądrym człowiekiem i wiedział, kiedy ma trzymać język za zębami.

— Połóż Salomeę do łóżka, powinna zaraz zasnąć. Jest zupełnie wyczerpana. I niech ktoś się zlituje nad tym biednym dzieckiem i przebierze go w suche ubranko, nim się przeziębą na śmierć.

Tego wieczoru, kiedy Salomea leżała w łóżku, szczęśliwa i uspokojona, do jej sypialni weszła Judyta. Miała na sobie najlepszą suknię i najpiękniejszy kapelusz i trzymała za rękę Lionela Ezechiasza. Uśmiechnięta buzia malca była tak wyszorowana, że aż błyszczała, a kędziory ślicznie się układały na koronkowym kołnierzyku aksamitnego ubranka.

— Jak się czujesz, Salomeo? — spytała czule Judyta.

— Lepiej już, świetnie spałam. Ale dokąd ty idziesz, Judyto?

— Idę do kościoła — oświadczyła Judyta — i zabieram z sobą Lionela Ezechiasza.

## KONIEC KLÓTNI

Nancy Rogerson usiadła na progu frontowych drzwi Luizy Shaw, rozejrzała się dokoła i westchnęła z zachwytem nie pozbawionym domieszki bólu. Wszystko wyglądało tak samo, kwadratowy ogród był tak samo kwadratowy i tak samo niesforny, mnóstwo kwiatów wokół drzew owocowych, krzaki porzeczek, a wśród nich kępy chińskich lilii, tu i ówdzie koślawa stara jabłoń, a na samym dole gąszcz wiśni. A z tyłu spiczaste jodły odcinały się ostro na tle zróżowiałego od zachodzącego słońca nieba i nie wyglądały ani o dzień starzej niż wówczas, kiedy dwadzieścia lat temu młodzianka Nancy spacerowała pod nimi snując marzenia. Na rosnącej z lewej strony płaczącej wierzbie było pewno tyleż liszek, co dawniej. Nancy pomyślała o tym drżąc ze wstrętu, bowiem wielu rzeczy nauczyła się w ciągu tych dwudziestu lat spędzonych z dala od Avonlea, ale nie potrafiła się wyzbyć wstrętu do liszek.

— Nic się tu nie zmieniło, Luizo — oświadczyła opierając brodę o pulchne białe ręce i wdychając rozkoszny zapach rozdeptanej przez Luizę mięty. — Bardzo się z tego cieszę, bałam się wrócić, drżałam, że uporządkowałeś ogród, albo, co gorsze, zastanę tu przyszyty trawnik. A tu ten sam cudowny bałagan i chwiejący się płot. Wiem, że to nie może być ten sam płot, ale wygląda identycznie. Tak, nic się tu nie zmieniło. Dziękuję ci, Luizo.

Luiza nie miała zielonego pojęcia, za co dziękuje jej Nancy. Nigdy jej zresztą nie rozumiała, choć bardzo lubiła za tamtych dziewczynskich czasów, choć *jej*, w przeciwieństwie do Nancy, wydawały się one bardzo odległe. Bowiem czas, który upłynął, wypełniły jej małżeństwo i macierzyństwo, a dla Nancy był on tylko pasemkiem pustych lat.

— Ty też się nie zmieniłaś, Nancy — oznajmiła patrząc z zachwytem na zgrabną sylwetkę Nancy w stroju pielęgniarki, który tamta włożyła, by pokazać go kuzynce, na jędrną, lekko zaróżowioną, jasną twarz i błyszczące fale złocistych włosów. — Wspaniale się trzymasz.

— Prawda? — powiedziała z zadowoleniem Nancy. — Kremy i masaże zapobiegły zmarszczkom i kurzym łapkoms i na szczęście mogę polegać na słynnej cerze Rogersonówien. Nie dałabyś mi trzydziestu ośmiu lat, co? Trzydzieści osiem! Dwadzieścia lat temu każda trzydziestoosmioletnia kobieta wydawała mi się żeńskim Matuzalemem. A teraz, Luizo, czuję się śmiesznie młoda. Co rano muszę sobie trzy razy powtarzać: Nancy Rogerson, jesteś już starą panną. Bo inaczej gotowa bym zrobić jakieś głupstwo.

— Ale nie martwisz się, że jesteś starą panną, prawda? — spytała Luiza wzruszając ramionami. Ona za nic nie chciałaby być starą panną, niemniej zazdrościła Nancy gładkiego czoła, życia w wielkim świecie, swobody i bez troski.

— Owszem, martwię się — wyznała szczerze Nancy. — To okropne być starą panną, nienawidzę tego!

— Więc dlaczego nie wyjdiesz za mąż? — spytała Luiza, a czas teraźniejszy pytania był mimowolnym hołdem złożonym możliwościom Nancy.

Nancy pokręciła głową.

— Nie, to nie dla mnie. Nie mam ochoty na małżeństwo. Pamiętasz, jak Ania Shirley opowiadała o swojej uczennicy, która chciała być wdową, bo „jak jesteś mężatką, to mąż cię tłucze, a jak nie wyjdiesz za mąż, to cię nazywają starą panną”. To właśnie mój przypadek. Chciałabym być wdową. Miałabym swobodę kobiety niezamężnej i szacunek należny zamężnej. Mogłabym zjeść ciastko i mieć je dalej. Och, żeby tak być wdową!

— Nancy! — zgorszyła się Luiza.

— Widzę, że wciąż jeszcze się gorszysz! Dawniej też wołałaś „Nancy!” takim tonem, jakbym przekroczyła wszystkie dziesięć przykazań naraz.

— Wygadujesz takie dziwaczne rzeczy — zaprotestowała Luiza. — Najczęściej w ogóle nie wiem, co chcesz powiedzieć.

— Pociesz się, najczęściej sama nie wiem. Może zakręciło mi się w głowie z radości, że tu jestem. Odnalazłam moje dzieciństwo. W tym ogrodzie nie mam trzydziestu ośmiu lat, nie, to niemożliwe. Mam osiemnaście lat i o pięć centymetrów mniej w talii. Patrz, zachodzi słońce. Widzę, że ostatnie promienie wciąż padają na farmę Wrightów. A propos, Luizo, czy dalej tam mieszka Piotr Wright?

— Tak. — Luiza z nagłym zainteresowaniem spojrzała na pozornie obojętną Nancy.

— Pewnie się ożenił i ma pół tuzina dzieci? — szepnęła Nancy zrywając kilka ździebeł mięty i przypinając je na piersi. Schyliła się i może to dlatego na twarzy jej pojawił się rumieniec. Ale choć Luiza nie była ponoć zbyt bystra, dobrze wiedziała, co sądzić o nagłych rumieńcach. Od razu obudziła się w niej dusza swatki.

— Ależ nie. Piotr Wright pozostał wierny twej pamięci.

— Faj! Mówisz tak, jakbym leżała na cmentarzu, a nad moim grobem rosła płacząca wierzba — wdrygnęła się Nancy. — Kiedy się mówi, że mężczyzna pozostał wierny pamięci jakiejś kobiety, oznacza to zwykle, że żadna inna go nie chciała.

— To nie dotyczy Piotra! — zaprotestowała Luiza. — Jest dobrą partią i wiele kobiet z radością by za niego wyszło. Nawet dzisiaj. Ma zaledwie czterdzieści trzy lata! Ale odkąd— go rzuciłaś, Nancy, nigdy nie zainteresował się żadną kobietą.

— Ależ ja go nie rzuciłam. To on mnie rzucił — oświadczyła żałośnie Nancy patrząc przez pola i porośłą świerczkami dolinkę na białe budynki farmy Wrightów, które poróżowiały od słońca, choć reszta Avonlea spoczywała w cieniu. W jej oczach pojawił się uśmiech. Luiza nie potrafiła odgadnąć, co kryje się pod tym uśmiechem.

— Bzdury — zawołała Luiza. — O coście się pokłócili? — spytała z nie tajoną ciekawością.

— Często sama się nad tym zastanawiałam — odparła Nancy.

— I nigdy go później nie spotkałaś?

— Nie. Czy bardzo się zmienił?

— Trochę. Posiwał i wygląda na zmęczonego. Nie dziwota — skoro żyje tak, jak żyje. Odkąd dwa lata temu zmarła jego ciotka, nie ma gospodyni. Mieszka sam i sam sobie gotuje. Nigdy u niego nie byłam, ale ludzie powiadają, że dom wygląda jak chlew.

— Tak, Piotr nie został stworzony na dobrą gospodynię! — zaśmiała się Nancy zrywając znów miętę. — Pomyśl, Luizo, gdyby nie ta sprzeczka, byłabym teraz panią Piotrową Wright, matką wspomnianego pół tuzina dzieci i wychodziłabym ze skóry, żeby gotować, cerować skarpetki i dbać o krowy.

— Pewnie, że lepiej ci tak, jak jest — stwierdziła Luiza.

— Nie wiem. — Nancy znów spojrzała na biały dom na wzgórzu. — Niby w pełni korzystałam z życia, ale jakoś nie czuję się zadowolona. Jeśli mam być szczerą — a wiesz przecież, Luizo, że kobiety rzadko bywają szczerą mówiąc o mężczyznach — myślę, że wolałabym sprzątać Piotrowi dom i mu gotować. Przez ten czas nauczyłam się paru rzeczy i wiem teraz, że lepiej, by mężczyzna mówił niegrammatycznie, niż żeby obsypywał cię wyzwiskami. Powiedz, czy Piotr dalej robi tyle błędów językowych?

— N—nie wiem — bezradnie odpowiedziała Luiza. — *Ja* nigdy nie zauważyłam, że robi błędy.

— Czy wciąż mówi: „poszłem” i „tą razą” i „żeby mogłem”? — spytała Nancy.

— Nie wiem — wyznała Luiza.

— Szczęśliwa Luiza! Gdybym to ja urodziła się z taką umiejętnością niezauważania! Bardziej się ona przydaje kobiecie niż uroda i mądrość. Ja zauważałam każdy błąd Piotra. Kiedy mówił „poszłem”, aż podskakiwałam. Próbowałam, ach, bardzo taktownie, zwrócić mu na to uwagę. Piotr nie lubi uwag, Wrightowie, jak wiesz, zawsze byli zadowoleni z siebie. W gruncie rzeczy o tośmy się właśnie pokłócili. Piotr oznajmił, że muszę go zaakceptować takim, jakim jest, razem z jego błędami językowymi, albo mogę zniknąć z jego życia.

Zniknęłam. I od tej chwili wciąż się zastanawiam, czy naprawdę tego żałuję, czy tylko oddaję się sentymentalnym wspomnieniom. Pewnie to ostatnie. Nie, Luizo, widzę po twoich oczach, że zaczynasz coś knuć. Nie próbuj nas połączyć, na nic się nie zda, jeśli go zaprosisz na herbatę, tak jak to w tej chwili planujesz.

— Muszę iść wydoić krowy — westchnęła Luiza, rada że ma pretekst do zniknięcia. Nancy zawsze umiała czytać w jej myślach i zawsze ją to przerażało. Bała się pozostać dłużej w towarzystwie kuzynki, żeby ta nie poznała wszystkich jej sekretów.

Po odejściu Luizy Nancy długo jeszcze siedziała na schodkach domu, siedziała, póki nie zapadła noc, ciemna i słodka, i nad wierchołkami jodeł nie zamrugały gwiazdy. To tutaj przecież był jej dom w czasach dzieciństwa. Tutaj mieszkała i prowadziła dom ojcu. Kiedy umarł, Curtis Shaw, który właśnie ożenił się z jej kuzynką Luizą, odkupił farmę. Nancy jeszcze jakiś czas mieszkała z nimi, ale wkrótce miała wyprowadzić się do swego nowego domu. Była zaręczona z Piotrem Wrightem.

Potem nastąpiła owa tajemnicza sprzeczka, o której nikt z rodziny nigdy się niczego nie dowiedział. Nancy spakowała rzeczy i opuściła Avonlea. Przejechała siedemset mil do szpitala w Montrealu, gdzie wstąpiła na kurs pielęgniarski. W ciągu następnych dwudziestu lat ani razu nie odwiedziła Avonlea. Tego lata przyjechała w nagłym przystępie tęsknoty do ogrodu. Nie myślała o Piotrze. Prawdę mówiąc, w ciągu tych piętnastu lat rzadko myślała o Piotrze. Była pewna, że zapomniała o nim. Ale teraz, kiedy siedziała na progu, gdzie ongi często siadywała z Piotrem, poczuła, że wspomnienia trącają struny jej serca. Spojrzała na widniejące w oddali światło w kuchni Wrightów i wyobraziła sobie siedzącego tam Piotra, samotnego i zaniedbanego, nad jakimś mało atrakcyjnym, zimnym posiłkiem, który sobie musiał sam przygotować.

— Powinien był się ożenić! — powiedziała. — Nie będę się teraz zamartwiała, że jest samotnym starym kawalerem. Przez wszystkie te lata byłam przekonana, że jest szczęśliwym ojcem rodziny. Dlaczego przynajmniej nie wzdał sobie gospodyni? Stać go na to, farma wygląda na zamożną. Hm... Mam spore konto w banku i zwiedziłam świat, ale choć tego nie widać, mam już mnóstwo siwych włosów i dręczy mnie świadomość, że gramatyka nie jest znów taka ważna. Ale nie będę już dłużej roztkliwiać się na tej rosie. Pójdę i poczytam najmodniejszą i najgłupszą z powieści, jakie przywiozłam.

Cały następny tydzień Nancy spędziła bardzo miło, robiąc tylko to, na co miała ochotę. Czytała i bujała się w hamaku zawieszonym między dwiema jodłami. I odbywała długie spacery do lasu i na uroczyska.

— Naprawdę wolę to niż życie towarzyskie — tłumaczyła Luizie, kiedy ta namawiała ją, żeby złożyć komuś wizytę. — Nie mam ochoty nikogo widywać, a zwłaszcza mieszkańców Avonlea. Moje koleżanki wyjechały albo wyszły za mąż i zmieniły się nie do poznania, a młodzi nie należą do tych, którzy „znają Józefa”, i czuję się przy nich osobą w średnim wieku, a nie jest to przyjemne uczucie. To o wiele bardziej przykre być osobą w średnim wieku niż zwyczajnie starą. A w lesie czuję się wiecznie młoda. I rozkoszuję się tym, że nie muszę mierzyć nikomu temperatury ani spełniać niczyich kaprysów. Pozwól mi, najdroższa Luizo,— mieć własne kaprysy, a kiedy się spóźnię na posiłek, możesz mnie ukarać, podając zimne resztki. Nie zamierzam już nawet chodzić więcej do kościoła. Wczoraj było tam okropnie. Kościół jest obrzydliwie nowoczesny.

— Wszyscy uważają, że to najładniejszy kościół w okolicy — zaprotestowała urażona Luiza.

— Kościół nie ma być ładny — ma być stary i piękny swoją starością. Nowe kościoły to ohyda.

— Czy widziałas Piotra Wrighta? — spytała Luiza. Roznosiła ją ciekawość. Nancy skinęła głową.

— O tak. Siedział blisko mnie, w narożnej ławce. Niezbyt się zmienił. Te szpakowate

włosy bardzo do niego pasują. Ale rozczarowałam się samą sobą. Myślałam, że przesyje mnie romantyczny dreszcz, a tymczasem po prostu się ucieszyłam jak na widok starego przyjaciela. Choć bardzo się starałam, o żadnym dreszczu nie było mowy.

— Czy podszedł do ciebie? — spytała Luiza, która nie miała zielonego pojęcia, o jakich dreszczach wygaduje Nancy.

— Niestety nie. Nie z mojej winy. Stałam pod drzwiami kościoła z najmiłym wyrazem twarzy, na jaki mnie było stać, ale Piotr przeszedł obok, nawet na mnie nie spojrzawszy. Moja próżność bardzo by chciała myśleć, że postąpił tak z urażonej dumy albo żeby mi zrobić na złość. Ale, droga Lu, jest smutną prawdą, że wyglądało tak, jakby zwyczajnie nie przyszło mu to na myśl. Był dużo bardziej zainteresowany rozmową o sianokosach z Oliwierem Sloanem, który, nawiasem mówiąc, jest jeszcze bardziej niż kiedykolwiek Sloanem.

— Ale dlaczego sama do niego nie podeszłaś? Tamtego wieczoru mówiłaś mi, co czujesz...

— Ale już nie czuję! To był przejściowy nastrój. Ty, złotko, nie wiesz nic o przejściowych nastrojach. Nie wiesz, co to znaczy marzyć

nieprzytomnie o czymś, co w godzinę później staje ci się zupełnie obojętne.

— To czysta głupota — zawyrokowała Luiza.

— Tak, głupota! Ale rozkoszna głupota po dwudziestu latach rozsądku. Lu, dziś po południu wybieram się na poziomki. Nie czekaj na mnie z podwieczorkiem, bo nie wrócę przed zmierzchem. Mam już tylko cztery dni i chcę je w pełni wykorzystać.

Tego popołudnia Nancy długo się błąkała. Napełniła dzban poziomkami i dalej spacerowała bez celu. W pewnym momencie znalazła się na leśnej ścieżce prowadzącej wzdłuż pola, na którym jakiś mężczyzna grabił siano. *Tym* mężczyzną był Piotr Wright Kiedy Nancy go rozpoznała, zaczęła iść szybciej, nie oglądając się za siebie i wkrótce zniknęła w gęstwinie paproci w klonowym gaju.

Przypomniała sobie, że jest to teren należący do Piotra Morrisona i że jeśli pójdzie prosto przed siebie, powinna wyjść z lasu tam, gdzie kiedyś stała farma starego Morrisona. Odrobinię się pomyliła, wyszła o pięćdziesiąt metrów na południe od opuszczonego domostwa Morrisonów, prosto na podwórze Piotra Wrighta.

Mijając dom — ten dom, którego miała być panią — dała się skusić ciekawości. Nikt nie mógł jej tu zobaczyć i postanowiła — o zgrozo — zajrzeć przez okno do kuchni Piotra. Ale widząc, że drzwi są otwarte, weszła, przystanęła na progu i rozejrzała się.

Kuchnia istotnie przedstawiała żalony widok. Co najmniej od dwóch tygodni nikt nie zamykał podłogi. Na nie nakrytym stole stały resztki obiadu Piotra, obiad ten pewnie nawet przedtem nie wyglądał zachęcająco.

— Żaden człowiek nie powinien wracać do tak żalonego domu — jęknęła Nancy. — A ten popiół w piecu! Nic dziwnego, że Piotr osiwiął. Całe popołudnie będzie ciężko pracował przy sianie i do *czego* tu wróci?

Nagle wpadł jej do głowy pomysł. Najpierw ją przeraził. Potem zaśmiała się i spojrzała na zegarek.

— Zrobię to! Dla kawału. No i z litości. Jest pół do trzeciej, a Piotr wróci najwcześniej o czwartej. Mam dobrą godzinę i zdążę w porę zniknąć. Nikt się nigdy nie dowie!

Nancy weszła, zdjęła kapelusz i chwyciła za szczotkę. Zamiotła podłogę, potem rozpałała ogień, postawiła na nim czajnik z wodą i zabrała się do brudnych naczyń. Było ich tyle, że doszła do słusznego wniosku, że Piotr co najmniej od tygodnia nie zmywał.

— Pewnie zmywa tylko wówczas, gdy już nie ma czystego talerza — zaśmiała się. — Ciekawa jestem, gdzie chowa ścierki, jeżeli je w ogóle ma!

Okazało się, że nie ma. A w każdym razie Nancy nie udało się ich znaleźć. Śmiało weszła do zakurzonej jadalni, przeszukała szuflady starego kredensu i wreszcie wyjęła stamtąd ręcznik. Krzątając się podśpiewywała, oczy błyszczały jej z podniecenia, poruszała się lekko i

zręcznie. Wyraźnie świetnie się bawiła. Sytuacja nie była pozbawiona pikanterii.

Zmywszy naczynia, wyszukała w kredensie czysty, acz poślizgnięty i wyraźnie z dawna nie używany obrus, nakryła stół i przygotowała podwieczorek. Ze spiżarni przyniosła chleb i masło, w piwnicy odkryła dzban śmietanki i wysypała na półmisek swoje poziomki. Zaparzyła herbatę i postawiła ją na ciepłym piecu. Wreszcie przeszukała zaniedbany ogródek i na środku stołu ustawiła bukiet pąsowych róż.

— Pora na mnie — powiedziała głośno. — Ciekawa jestem, jaką minę zrobi Piotr, gdy wróci do domu. Hm, świetnie się ubawiłam, ale właściwie dlaczego? Nancy Rogerson, nie zaprzataj sobie głowy zbędnymi rozważaniami. Włóż kapelusz i zabieraj się do domu, musisz jeszcze wymyślić jakąś wymówkę dla Luizy, dlaczego nie masz poziomek.

Nancy przystanęła i rozejrzała się.

Kuchnia była czysta, wesolutka i przytulna. Znów poczuła ucisk w sercu. Mogłaby przecież mieszkać w tym domu i czekać na Piotra z podwieczorkiem. Mogłaby... i nagle Nancy odwróciła się z przerażeniem, domyślając się, co zobaczy. W drzwiach stał Piotr Wright.

Twarz Nancy spurpurowiała. Po raz pierwszy w życiu zabrakło jej słów. Piotr patrzył na nią, potem spojrzał na stół, na kwiaty i owoce.

— Dziękuję ci — powiedział grzecznie.

Nancy opanowała się. Zawstydzona rozeźmiała się i wyciągnęła rękę.

— Mam nadzieję, że nie oskarżysz mnie o włamanie. Byłam beczelnie ciekawa i zajrzałam do twojej kuchni. Przyszło mi na myśl, że dla kawału wejść tu i przygotuję ci podwieczorek. Chciałam, żebyś się zdziwił, i myślałam, że zdążę zniknąć, nim wrócisz do domu.

— Nie zdziwiłbym się — oświadczył Piotr, ściskając jej rękę. — Widziałem, jak szłaś wzdłuż pola, przywiązałem konie i „poszłem” za tobą lasem. I cały czas siedziałem na płocie, przyglądając się twoim poczynaniom.

— Dlaczego wczoraj nie podszedłeś do mnie po nabożeństwie? — spytała Nancy.

— Bałem się, żeby nie strzelić jakiego gramatycznego byka — odparł Piotr.

Twarz Nancy znów oblał purpurowy rumieniec.

— Piotrze, jesteś okrutny.

Piotr rozeźmiał się. Był to chłopięcy śmiech.

— Aha! Ale musiałem wyładować gniew i złość, które zbierały się przez dwadzieścia lat. Teraz już będę tak miły, jak mnie na to stać. Ale, Nancy, tyle się namordowałaś szykując mi podwieczorek, musisz więc zostać i pomóc mi go zjeść. Poziomki wyglądają pysznie, jeszcze ich tego lata nie jadłem, nie miałem czasu na zbieranie.

Nancy została. Usiadła na honorowym miejscu i nalewała Piotrowi herbatę. Dowcipnie opowiadała o swych wrażeniach z Avonlea, o tym, jak zmienili się starzy znajomi. Piotr wtórował jej, zachowywał się swobodnie i zjadał podwieczorek z zadowoleniem człowieka, który się dobrze czuje w swojej skórze. Nancy zaś czuła się równocześnie szczęśliwa i nieszczęśliwa. Co za groteskowy zbieg okoliczności, że oto zajmuje honorowe miejsce przy stole Piotra, a przecież wydawało się to czymś najbardziej naturalnym. Chwilami chciało jej się płakać — potem znów zaśmiewała się jak młoda dziewczyna. Zawsze poczucie humoru walczyło w niej z wrodzonym sentymentalizmem.

Kiedy Piotr skończył poziomki, oparł się łokciami o stół i wpatrzył z zachwytem w Nancy.

— Nancy, bardzo ci pasuje to honorowe miejsce przy stole. Jak się to stało, że od dawna nie zajmujesz tego miejsca we własnym domu? Na pewno spotkałaś w tym twoim wielkim świecie mnóstwo mężczyzn, którzy znali się na gramatyce.

— Przestań, Piotrze! — poprosiła Nancy, mrugając oczyma. — Byłam niemądrą gąską.

— Nie, miałaś rację. To ja byłem durniem. „Żeby miałem” krztynę rozsądku, cieszyłbym się, że chce ci się mnie poprawiać, i zamiast się

wściekać, próbowałbym poprawiać błędy. Teraz już „pewnikiem” za późno.

— Za późno na co? — spytała Nancy. Ośmieliła się spytać, bo wyczuła coś w tonie i spojrzeniu Piotra.

— Na poprawienie błędów.

— Gramatycznych?

— Nie. Na to jestem za stary. Ale tego najgorszego błędu, Nancy! Co byś rzekła, „żeby cię poprosiłem” o wybaczenie i o rękę.

— Chwyciłabym cię za słowo, zanimbyś zdążył zmienić zdanie — zawołała całkiem bezwstydnie Nancy. Próbowwała spojrzeć Piotrowi w oczy, ale opuściła wzrok.

Piotr zerwał się, przewracając krzesło, i podbiegł do niej.

— Mojaś ty, Nancy! — zawołał.